

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 11/566**

**1994**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. HURWIC:

**SZKIC AUTOBIOGRAFICZNY (FRAGMENTY)**

L. UNGER: **CZY KOMUNIŚCI MOGĄ ZBUDOWAĆ KAPITALIZM W JEDNYM KRAJU?**

K. WOLICKI: **BIJATKA W WARSZAWIE**

R. SURMACZ: **ŚLĄSK KATOWICKI**

## SPIS RZECZY

|                                    |   |     |
|------------------------------------|---|-----|
| Józef Hurwic:                      | <i>Szkic autobiograficzny (fragmenty)</i> ...                                 | 3   |
| Gustaw Herling-Grudziński:         | <i>Błogosławiona, święta</i> .....  | 30  |
| <b>WIERSZE</b>                     |   |     |
| Stanisław Dłuski:                  | <i>Kościół Świętego Bartłomieja w Dębowcu</i>                                 | 50  |
| Wojciech Kawiński:                 | <i>Kamienie lata</i> .....  | 51  |
| Joanna Kurowska-Młynarczyk:        | <i>Przekład</i> .....   | 51  |
| Leszek Szaruga:                    | <i>Jeszcze jedne przedśmiertne urodziny</i>                                   | 52  |
| <b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>         |   |     |
| Leopold Unger:                     | <i>Widziane z Brukseli</i> .....  | 53  |
| <b>KRAJ</b>                        |   |     |
| Krzysztof Wolicki:                 | <i>Bijatyka w Warszawie</i> .....   | 70  |
| SMECZ:                             | <i>Z ukosa</i> .....  | 78  |
| <b>SPRAWY I TROSKI</b>             |   |     |
| Ewa Berberysz:                     | <i>Kartki ze skażonej strefy</i> .....  | 90  |
| Ryszard Surmacz:                   | <i>Śląsk katowicki</i> .....  | 93  |
| <b>SĄSIEDZI</b>                    |   |     |
| Adam Kruczek:                      | <i>Notatki rosyjskie</i> .....  | 99  |
| Bohdan Osadczyk:                   | <i>Ukraina: Program reform Kuczmy</i> ...                                     | 104 |
| Andrzej Stach:                     | <i>Kronika niemiecka</i> .....  | 109 |
| <b>KRONIKA KULTURALNA</b>          |   |     |
| Teresa Halikowska-Smith:           | <i>Uparty w swoim postępiństwie: Adam Czerniawski, tłumacz i krytyk</i> ..... | 112 |
| Joanna Szczepińska-Tramer:         | <i>Wystawa dzieł Augusta Zamoyskiego w Warszawie</i> .....                    | 115 |
| Stanisław Dłuski:                  | <i>Kresy — fenomen kulturowy</i> .....  | 117 |
| —                                  | <i>Nowa placówka Biblioteki Narodowej</i>                                     | 119 |
| —                                  | <i>Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim</i>                                    | 120 |
| <b>CI, CO ODESZLI</b>              |   |     |
| Henryk Siewierski:                 | <i>Wspomnienie o profesorze Agostinho da Silva</i> .....                      | 121 |
| <b>KSIĄŻKI</b>                     |   |     |
| Leszek Szaruga:                    | <i>Kolejna ważna publikacja</i> .....   | 124 |
| Maria Danilewicz Zielińska:        | <i>Wiadomości bibliograficzne</i> .....                                       | 128 |
| Alicja Iwańska:                    | <i>Kolaże Macieja Kledzika, kronikarza Powstania Warszawskiego</i> .....      | 133 |
| —                                  | <i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> .....                                     | 145 |
| <b>NOTATKI REDAKTORA</b> .....     |   |     |
| <b>POLEMIKI</b>                    |   |     |
| Józef Lipski:                      | <i>Uwagi do artykułu Stanisława Polaczka</i>                                  | 151 |
| —                                  | <i>Wydarzenia miesiąca i Kronika kandyjska</i> .....                          | 154 |
| <b>W.S. Adamus, A.T. Bąkowski:</b> |   |     |
| —                                  | <i>Listy do Redakcji</i> .....  | 158 |
| —                                  | <i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....  | 159 |

# KULTURA

Szkie • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad/Novembre 1994

INSTYTUT  LITERACKI

Varsovie W006

## WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

|   |    |          |
|---|----|----------|
| Michalina i Peter Ageros, Bruksela — zamiast kwiatów na grób Wandy z Langrodów Fursay .....   | F. | 200,00   |
| Wiesław K. Brodowski-Prus, East Flat Rock, NC (USA) — zamiast bukietów niezapominajek na groby: mego Braciszka 15-letniego Grzesia Brodowskiego-Prusa, zamordowanego w grudniu 1970 roku; Wielkiego Rotmistrza, malarza pisarza, a przede wszystkim Pięknego Człowieka Józefa Czapskiego oraz Niezrównanego Erudyty, Intelektualisty, Pisarza, Ukochanego Jędrusia Bobkowskiego — dol. 150,00 ..... | F. | 765,00   |
| Dla uczczenia pamięci przyjaciela i niezwykłego człowieka Andrzeja Semkowa — Maria i Wojciech Topperman, Downsview, ON (Kanada) .....   | F. | 204,21   |
| Dla uczczenia pamięci prof. Andrzeja Zahorskiego w drugą rocznicę Jego śmierci (15.12.1992) — Maria Podhorska, Londyn .....   | F. | 500,00   |
| Ludwik Flaszen, Paryż .....   | F. | 700,00   |
| Adw. Adam Grossfeld, Jerozolima — przekazał dodatkową sumę ze spadku po Szoszanie Heiman pozostawionego na „Fundusz Kultury” (vide <i>Kultura</i> nr 10/565) .....  | F. | 1.069,32 |
| Helena Lemańska, Paryż — zamiast kwiatów na grób Anny Sussman, zmarłej w Warszawie 3 października 1994 r. ....  | F. | 300,00   |
| Józef Lewandowski, Skogas (Szwecja) — dla uczczenia pamięci Norberta Żaby .....   | F. | 300,00   |
| Ilse Maybach, Heilbronn/N (Niemcy), po raz 31-szy .....   | F. | 569,77   |
| Od Zygmunta i Marysi Brzezińskich, Cromwell, CT (USA) — zamiast kwiatów na grób naszej przyjaciółki p. Lenkszewicz, która zmarła 28 sierpnia 1994 r. w Sztokholmie. Była Ona naprawdę ząną niewiastą, pomagała bardzo dużo Polakom tak w Kraju jak i za granicą — dol. 100,00 .....   | F. | 510,00   |
| Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego w Dzień Zaduszny — Żona .....  | F. | 150,00   |
| Eugenia Pińska, Münster (Niemcy) — dla uczczenia pamięci dr. Mariana Pińskiego, chirurga i poety w pierwszą rocznicę Jego śmierci (12.12.93 r.) Żona i dzieci, Niemcy, USA .....  | F. | 320,00   |
| W bolesną rocznicę śmierci Fryderyka Topolskiego — Żona, Córka, Zięć i Wnuki z Toronto .....  | F. | 204,21   |
| Herakliusz Zwirello, Nowy Jork, po raz 2-gi — dol. 100,00 .....   | F. | 510,00   |
| Longin L. Sztachański, St. Petersburg, FL (USA):<br>— na Fundusz <i>Kultury</i> po raz 35-ty — dol. 20,00 .....   | F. | 120,00   |
| — na pomoc Polakom w Rosji — dol. 20,00 .....   | F. | 120,00   |
| Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) — na pomoc Polakom w Rosji — £ stg. 20,00 .....   | F. | 166,00   |

DZIĘKUJEMY

## Szkic autobiograficzny

(FRAGMENTY)

MARZEC 1968

9 marca 1968 roku siedziałem w restauracji hotelu „Bristol” z B.G. Kuzniecowa, sowieckim filozofem i historykiem nauki, autorem znakomitej książki o Einsteinie, przetłumaczonej również na polski. Przyjechał na kilka dni do Polski na zaproszenie chyba Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Czekał na prezesa Towarzystwa profesora Czesława Bobrowskiego. Zjawił się z kilkugodzinnym spóźnieniem. Jako dziekan Wydziału Ekonomicznego na Uniwersytecie Warszawskim znalazł się w samym centrum wybuchu tzw. wydarzeń marcowych. Wzburzony opowiedział nam o wystąpieniach studentów na dziedzińcu Uniwersytetu i zajęciach, które po tym nastąpiły. Ja się tym ogromnie przejąłem, a Kuzniecowa nic z tego nie mógł zrozumieć.

Po kilku dniach i ja jako dziekan (w trzeciej kolejnej kadencji) Wydziału Chemicznego Politechniki zostałem bezpośrednio wciągnięty w „wypadki marcowe”. Nie będę tu opisywał wydarzeń, które są dość dobrze znane. Ograniczę się do kilku uwag, o tym, co się działo na Politechnice, oraz omówię moją sytuację osobistą.

9 marca w południe odbył się w hallu Politechniki (nazywanym po wojnie „wielką aulą”) pierwszy wiec studentów tej uczelni. Jednomyślnie wyrażono solidarność z kolegami z uniwersytetu, brutalnie poprzedniego dnia pobitymi przez milicję i bojówki przedstawiane jako aktyw robotniczy. Domagano się zwolnienia aresztowanych studentów i żądano

sprostowania przez prasę kłamliwego obrazu wydarzeń, jaki podała. Po wiecu uformował się pochód, który przeszedł ulicą Polną i skierował się na Marszałkowską. Przed lokalem redakcji „Życia Warszawy” skandowano „Prasa kłamie”. Nie siono również transparenty tej samej treści. Na jednym można było przeczytać: „Tylko «Świerszczyk» mówi prawdę”. Ulica wyrażała sympatię.

Pamiętam dobrze wiec, który się odbył 11 marca. Studenci szczerze wypełnili parter w hallu i galeryjki na piętrach. Panowała atmosfera protestu nacechowanego powagą i poczuciem odpowiedzialności. Olsniła mnie zadziwiająca dojrzałość polityczna i autentyczna czystość moralna młodzieży. Spłynęła po niej niemal bez śladu propaganda, której była poddana w organizacjach typu: ZSP, ZMS, ZMW do których przynależność była przymusowa lub półprzymusowa. Odwoływano się do takich wartości, jak prawda, wolność, sprawiedliwość. Odważnie protestowano przeciwko naruszaniu praworządności, odcinano się od antysemityzmu, wyrażano niesmak wobec obłudy i zakłamania.

21 marca rano rozpoczął się protestacyjny strajk okupacyjny, który miał trwać 48 godzin. Odczuwało się jakąś szczególną solidarność. Solidarność ze strajkującymi studentami okazywali również mieszkańcy Warszawy. Ludzie znosili i podawali przez kraty żywność. 22-go późnym wieczorem wobec ultimatum władz (grożono rozwiązaniem uczelni i ogłoszeniem nowych zapisów) i obawy ataku milicji, która w hełmach i z pałkami wypełniała plac przed gmachem głównym, postanowiono zakończyć przedterminowo strajk. Chciałbym tu podkreślić niezwykle serdeczny stosunek do studentów byłego rektora Jerzego Bukowskiego i troskę, by nie pozwolić młodzieży wyjść bezbronną przeciwko pałkom milicyjnym. Sam poprowadził sznur autobusów podstawionych przez Miejskie Zakłady Komunikacyjne; odwieziono nimi znaczną część studentów do domów akademickich. Po północy zdesperowanych i zmęczonych studentów Wydziału Chemicznego, którzy się wokół mnie skupili, pieszą kolumną wyprowadziłem przez ogród i ulicę Koszykową do domu akademickiego „Riwiera”, gdzie na szczyrach rozmowach spędziliśmy resztę nocy.

Wydarzenia marcowe wyzwoliły studentów z nacisków wywieranych przez organizacje młodzieżowe. A i niższe instancje tych organizacji stały się bardziej ludzkie. 12 kwietnia otrzymałem złożony kartonik odręcznie ilustrowany jajkiem wielkanocnym i napisem „Wesołego Alleluja”, a wewnątrz

następujący tekst: „Najserdeczniejsze życzenia świąteczne przesyła w imieniu studentów Wydziału Chemicznego Rada Wydziałowa Zrzeszenia Studentów Polskich”. Pierwszy raz dostałem takie pismo z ZSP.

W tym samym mniej więcej czasie odbyło się na Politechnice zebranie partyjne z udziałem Zenona Kliszki. Jako bezpartyjny nie uczestniczyłem w zebraniu, ale ktoś z obecnych poinformował mnie o przebiegu. Dowiedziałem się, iż w referacie wygłoszonym przez pierwszego sekretarza komitetu uczelnianego znalazł się ustęp, w którym „stwierdzono”, że jakobym w czasie wypadków marcowych był nieobecny w sytuacjach, które wymagały mego udziału z racji pełnionych funkcji. Później przybędą poważniejsze zarzuty.

Znaleźli się „życzliwi”, którzy radzili rzec się stanowiska dziekana; chciałoby się powiedzieć „życzliwi” przez „rz” (Tuwim napisał kiedyś, iż „w mowie pewnych ludzi słychać błędy ortograficzne”). W ówczesnej sytuacji bardzo pragnąłem przestać być dziekanem, nie chciałem jednak dobrowolnie ustąpić, gdyż mogłoby to być uznane za przyznanie się do nie popełnionych grzechów. Na stanowisku dziekana pozostawiono mnie do końca roku akademickiego, a nawet powierzono mi delikatne zadanie rekrutacji na studia przy nowym systemie punktacji.

*Problemy* funkcjonowały w tym czasie bez zakłóceń. W związku z nadchodzącym 50-leciem odzyskania przez Polskę niepodległości zamierzaliśmy zamieścić w listopadowym zeszycie artykuł nt.: „Pół wieku nauki polskiej”. O napisanie go zwróciłem się w czerwcu do prezesa PAN — profesora Janusza Groszkowskiego. Przyjął mnie bardzo serdecznie w swoim olbrzymim gabinecie, który Infeld przyrównał do gabinetu milionera amerykańskiego — Williama Marschalla Bullita w Louisville w stanie Kentucky, właściciela czy prezesa pewnego towarzystwa ubezpieczeniowego. Ścisłej mówiąc, porównanie Infelda było odwrotne. W książce wspomnieniowej „Szkice z przeszłości” w ten sposób pisze on o wrażeniu, jakie wywarło na nim biuro Bullita: „zobaczyłem gabinet równie wielki, równie piękny jak pokój biurowy prezesa Akademii Nauk w Polsce”.

Groszkowski przyjął moją propozycję.

— Jako prezes PAN — powiedział — mam nawet pewien obowiązek taki artykuł napisać, a wolę go opublikować w *Problemach* niż, dajmy na to w *Nowych Drogach*.

Dodał, iż za kilka dni pojedzie na wypoczynek do Bułgarii. Tam przemyśli zagadnienie, a po powrocie uzgodni ze mną

swój plan i parę dni później dostarczy gotowy tekst.

Po kilku tygodniach, zgodnie z umową, zgłosiłem się do Groszkowskiego. W gabinecie był też wiceprezes Anatol Listowski, którego również dobrze znałem. Obaj robili wrażenie bardzo wzburzonych. Groszkowski wyrzucił z siebie słowa, których zupełnie nie oczekiwałem:

— Nie napiszę artykułu, którego sobie pan życzył. Mogę napisać artykuł „Koniec nauki polskiej”.

I zaczął się uskarżać, że bez jakiegokolwiek porozumienia narzucono mu dyrektora, że stał się figurantem, któremu podsuwa się do podpisania dokumenty o treści mu nie odpowiadającej. Zakończył, oświadczając, że ma dość takiego prezesowania, że nie zgodzi się kandydować na następną kadencję, że poświęci się niepodzielnie pracy badawczej na Politechnice.

Z jakichś jednak względów pozostał nadal prezesem.

*Problemy* zaś musiały się w numerze listopadowym z 1968 roku zadowolić refleksjami polityczno-historycznymi profesora Bogusława Leśnodorskiego pt. „50 lat Polski Odrodzonej”.

Grudzień był jednym z ostatnich miesięcy mego „redaktorowania” w *Problemach*. Przygotowywaliśmy zeszyt styczniowy następnego roku. Do artykułu profesora Tadeusza Tomaszewskiego „Co to znaczy być dorosłym?” potrzebna była jako ilustracja-ozdobnik fotografia jakichś dzieci. W szufladzie biurka znajdowały się zdjęcia moich dzieci, gdy były małe. Wybraliśmy dwa, które nadawały się znakomicie.

W drukarni podczas składania numeru jeden z drukarzy dowiedział się od redaktora technicznego, że są to, o zgrozo! dzieci profesora Hurwica, i doniósł o tym, gdzie należy. W rezultacie ówczesny sekretarz redakcji — Czesław Nowicki, jedyny partyjny pracownik, został wezwany do wydziału propagandy Komitetu Warszawskiego, gdzie niejaki Jan Grzelak nie poskąpił mu ostrych wymówek, że nie czuwa nad stroną ideologiczną pisma i polecił mu spowodować usunięcie nieprawomyślnych fotografii. Z zakłopotaniem Nowicki mi to zakomunikował. Nigdy przedtem partia się do redagowania pisma nie wtrącała, a w żadnym razie nie używała pośrednictwa Nowickiego. Czasy się jednak zmieniły. Zagadnienie było drobne i zasadniczy protest nie miałyby wielkiego sensu. Postanowiłem więc wymienić w złamanym już numerze owe zdjęcia na jakąś z trudem na poczekaniu znalezionej fotografię dwóch blondasów w kojcu; zdjęcie było mdłe, ale „aryjskość” dzieci nie budziła wątpliwości.

Znacznie później, przeglądając prasę polską, często natrafiałem na nazwisko Jana Grzelaka, który niezależnie od składu ekipy rządzącej — nieustannie awansował w hierarchii partyjnej „po linii ideologicznej”.

W latach sześćdziesiątych cierpiałem na kamicy nerkową. W związku z tym przez kilka lat z rzędu jeździłem na kurację do sanatorium w Szczawnie-Zdroju. Wśród kuracjuszy znajdowali się, nie w tym samym czasie, ekonomista katolicki — Konstanty Łubieński i znakomity matematyk, wówczas profesor Uniwersytetu Wrocławskiego — Bronisław Knaster. Odbywałem i z jednym i z drugim długie spacery, podczas których wiedliśmy ożywione rozmowy. Szczególnie dużo mieliśmy sobie do powiedzenia z Knasterem: „plotkowaliśmy” o wspólnych znajomych (m.in. o Hugonie Steinhausie i o Bogusławie i Włodzimierzu Trzebiatowskich), o języku, o sztuce, zwłaszcza o malarstwie i teatrze, o wiele zaś rzadziej o matematyce. Okazało się, że jego ojciec, znany pediatra warszawski, leczył mnie w dzieciństwie. Sam Bronisław Knaster miał również, poza matematyką, której się poświęcił później, wykształcenie lekarskie. Medycyną się interesował całe życie. W 1961 roku Akademia Medyczna we Wrocławiu nadała mu doktorat honorowy.

W lipcu 1968 roku również pojechałem na leczenie sanatoryjne do Szczawna-Zdroju. Gdy w drugiej połowie sierpnia wróciłem do Warszawy, wręczono mi na Politechnice pismo ministra oświaty i szkolnictwa wyższego odwołujące mnie... z chwilą doręczenia ze stanowiska dziekana bez sformułowania jakichkolwiek zarzutów, nie mówiąc już o tym, że bez przeprowadzenia ze mną uprzednio jakiejkolwiek rozmowy w tej sprawie. Pismo przyjąłem w swej naiwności z gorzką satysfakcją, iż będę miał więcej czasu na pracę badawczą i dydaktyczną. Minister, którego znałem od bardzo dawna, który przysyłał mi swe publikacje z niezmiernie serdecznymi dedykacjami, z którym często się spotykałem, nie zdobył się choćby na to, by do mnie zatelefonować i powiedzieć, że wysłał to pismo, bo był do tego zmuszony. Na dokumencie zanotowałem: „doręczone 20.VIII.1968 r. o godz. 12 min. 30 przez prorektora Henryka Śmigielskiego” i udałem się do dziekanatu. Wziąłem 11 blankietów z nagłówkiem „Dziekan Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej” i do dziekanów pozostałych wydziałów wysłałem jednakowo brzmia-

cy list: „Szanowny Kolego Dziekanie, uprzejmie komunikuję, że w dniu dzisiejszym o godz. 12 min. 30 zostałem odwołany ze stanowiska dziekana”. Jeden z dziekanów odczytał list na radzie wydziału; później mu to wyrzucano.

W dniach 18–21 września wziąłem udział, na zaproszenie organizatorów, w konferencji dydaktyczno-wychowawczej Politechniki Warszawskiej. Ogłoszono tam wyniki anonimowej ankiety przeprowadzonej wśród studentów; uznano mnie za jednego z dwóch najlepszych wykładowców wydziału (drugim był matematyk profesor Tadeusz Traczyk). Nie przeszkodziło to jednak temu, bym dwa dni później, tj. 23 września, został wezwany do Departamentu Studiów Technicznych w Ministerstwie Oświaty i Szkolnictwa Wyższego. Dyrektor departamentu — Mieczysław Derentowicz, zażenowany misją, jaką mu zlecono, w ten sposób rozpoczął rozmowę:

— Panie profesorze, mam panu zakomunikować przykrą wiadomość.

— No cóż — zażartowałem — życie nie romans, nie składa się z samych przyjemności.

— Mam panu zaproponować — kontynuował dyrektor Derentowicz — zrzeczenie się stanowiska profesora.

Oczekiwałem wprawdzie niemiłej informacji, ale nie czegoś takiego. Gdy nieco ochłonąłem, zapytałem, jakie są wobec mnie zarzuty. Usłyszałem w odpowiedzi, że nie ma żadnych, a tylko żądanie partii. Odmówiłem. Derentowicz na to:

— Nie będę owijał rzeczy w bawełnę. Pan i tak nie będzie uczył polskiej młodzieży. Mamy sposoby, by zmusić pana do rezygnacji. Po co, opierając się, ma pan narażać się na dodatkowe przykrości.

— Gotów jestem — odpowiedziałem — ponieść przykrości.

Po dłuższym milczeniu dyrektor się odezwał:

— Mogę panu ostatecznie zaproponować co innego. Sprowadzi się to do tego samego, ale będzie dla pana może strawniejsze. Proponuję, mianowicie, złożenie prośby o przeniesienie na bezterminowy urlop.

Zdałem sobie sprawę, że na nic się nie zda dalszy opór. Niełatwo mi jednak było się zgodzić. Działalność dydaktyczną i badawczą rozpocząłem w sanacyjnej Polsce, by po wojnie przejść drogę od starszego asystenta do profesora zwyczajnego, zawsze na wniosek środowiska naukowego. Należało to wszystko teraz porzucić. Poprosiłem o kilka dni namysłu. Dyrektor Derentowicz się zgodził, ale odpowiedź

chciał mieć przed 1 października, bo „na początek roku akademickiego sprawa ma być załatwiona”.

Radziłem się rodziny, przyjaciół. Opinia była jedno-myślna: nie ma co bić głową o mur. Władze nie cofną się przed żadną prowokacją, przed żadnym łajdactwem, by osiągnąć swój cel. Można mnie oskarżyć, że na przykład, wyciągnąłem komuś portfel z kieszeni, i znajdzie się „poszkodowany”; można mnie oskarżyć, że zgwałciłem jakąś studentkę na egzaminie, i znajdzie się ktoś, kto to potwierdzi; nie mówiąc już o „banalnych” szykanach.

25 września, ku wielkiej uldze Derentowicza, wyraziłem zgodę. Polecił mi więc napisać podanie. Powiedziałem, by mi podyktował bo nie wiem, co mam napisać.

— Po prostu: — odrzekł — „Do Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, drogą służbową (przez Departament Studiów Technicznych nie zaś przez Politechnikę!), Proszę o udzielenie mi z dniem 1 października br. bezterminowego urlopu z pracy w Politechnice Warszawskiej”.

— Jakie podać uzasadnienie?

— Nie trzeba uzasadniać.

Z datą tego samego dnia otrzymałem pismo ministra o treści następującej: „Przychylając się do prośby Obywatela Profesora, udzielam Mu z dniem 1 października 1968 r. bezterminowego urlopu z pracy w Politechnice Warszawskiej”. Zastanawiałem się, czy nie powinienem podziękować Panu Ministrowi za łaskawe przychylenie się do mojej „prośby”, ale dałem temu spokój. Dodam, iż urlop okazał się ponadto... bezpłatny, o czym dowiedziałem się z pisma rektora zawiadomieniem o wstrzymaniu wypłaty poborów z dniem... 1 października (!). Pozbawi mnie to w przyszłości prawa do emerytury za wieloletnią pracę na Politechnice.

Za odebraniem mi profesury poszły inne fakty tego rodzaju, choć mniejszej doniosłości. Przytoczę kilka. Telewizja rozwiązała zawartą ze mną umowę na wykłady Politechniki Telewizyjnej, które — nawiasem mówiąc — uznano za najlepsze. Pogadanka radiowa nt. popularyzacji wiedzy, zapowiedziana i nagrana na taśmę, nie została nadana. Rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w maju 1968 roku w niezmiernie ugrzecznionym liście zaprosił mnie do wygłoszenia referatu na sesji związanej z obchodami 50-lecia uczelni, a kilka miesięcy później odwołał to zaproszenie motywując to rzekomą zmianą profilu sesji. Dorzuć, iż pierwszy list Jego Magnificencja zakończył „wyrazami szacunku i poważania”, w drugim zaś liście uważał już dodanie

tej formułki grzecznościowej za zbyt czyste. Oba listy pokazałem profesorowi Szaferowi.

— Jego Magnificencja! — powiedział z grymasem obrzydzenia, tfu, splunąć się chce.

W żadnym z pism odwołujących mnie z różnych stanowisk ani w żadnej z rozmów oficjalnych, jak ta z Derentowiczem, nie wysunięto wobec mnie jakichkolwiek zarzutów. Robiono to jednak poza moimi plecami.

W posiedzeniu Rady Wydziału Chemicznego w dniu 22 października w 1968 roku już nie uczestniczyłem, ale koledzy dostarczyli mi protokół. Jeden z profesorów zapytał dziekana o powody odebrania mi profesury. Z zaprotokołowanej odpowiedzi, jakiej udzielił mój następca na stanowisku dziekana (który niepoślednią rolę odegrał w usunięciu mnie z Politechniki), dowiedziałem się, że jakoby podczas pobytu za granicą, i to gdzie? — w Związku Radzieckim — miałem skarżyć się na antysemityzm w Polsce.

Żona jednego z profesorów fizyki na Politechnice, wypoczywając w Mądralinie, w podwarszawskim domu pracy twórczej dla pracowników nauki, rozповідаła wszystkim, którzy mieli ochotę jej słuchać, różne brednie, jak na przykład, że z każdej zagranicznej podróży służbowej przywoziłem auto. Jedno ze swoich opowiadań zakończyła autorytatywnym stwierdzeniem, że jestem ... przewodniczącym gminy żydowskiej w Warszawie. O wypowiedziach tych wiem z kilku niezależnych, lecz pokrywających się relacji. Pani ta nie najlepszy wpływ wywierała na swego męża, który nie odznaczał się silnym charakterem. Widziałem ją tylko trzy razy w życiu: raz, gdy jej mnie przedstawił jej mąż, i dwa razy minęliśmy się na ulicy.

Organizacja partyjna Politechniki nie mogła odżalować, że nie byłem członkiem partii. Nie można więc było mnie wykluczyć, tzn. nie można było zorganizować surrealistycznego spektaklu wyrzucania z partii, gdzie najbardziej bezsensowne insynuacje były możliwe, z obowiązkowym rytuałem „samokrytyki” itd. Opowiadano mi, iż podczas takiej imprezy w Instytucie Badań Jądrowych jednemu z „podsądnych” postawiono „zarzut”, że jego brat mieszka w Izraelu. Na odpowiedź indagowanego, iż jest jedynakiem, przewodniczący zebrania spektaklu miał bez krzty zażenowania oświadczyć:

— Nieważne, znajdziemy co innego.

Nie cofnięto się przed obrzydliwą prowokacją wobec mego 11-letniego (!) wówczas syna, by ugodzić ojca. Chłopiec

częszczał do szkoły podstawowej przy ulicy Polnej (szkoła ćwiczeń przy studium nauczycielskim). Ze szkoły byliśmy zadowoleni, ale w 1967 roku zlikwidowano ją. Trzeba było oddać dziecko gdzie indziej. Żona wybrała szkołę na tzw. Latawcu koło placu Zbawiciela, w pobliżu naszego mieszkania. Oleś zaczął tam naukę we wrześniu. Któregoś dnia jeden z kolegów, z którym nie utrzymywał żadnych stosunków (a w ogóle chodził do szkoły zaledwie kilka miesięcy i nie zdążył zawrzeć nowych znajomości i przyjaźni), zagadnął go:

— Prawda, Olek, jak to fajnie było, gdy milicja waliła studentów pałkami.

Na to mój syn:

— Mnie się to wcale nie podobało.

Rozmowa szybko przeszła na tematy ogólnopolityczne. Dwóch „politików”, z których Oleś miał niespełna 11 lat, a jego kolega był, zdaje się, o dwa lata starszy, zacierzwiało się w „dyskusji”, aż Oleś oświadczył, że Gomułka jest głupi. Następnego dnia był o tym powiadomiony kierownik szkoły. Natychmiast poszukał Olka i go zapytał, czy istotnie tak powiedział. Chłopiec, przyzwyczajony do mówienia prawdy, potwierdził. Wezwano rodziców do szkoły. Poszła moja żona. Po dłuższej rozmowie kierownik zgodził się nie wyciągać z wydarzenia żadnych konsekwencji pod warunkiem, że Oleś przyrzeknie, iż więcej czegoś takiego nie powie. Oleś przyrzekł i wydawało się, że na tym się skończyło.

Ale po dwóch tygodniach zaprowadzono klasę do Muzeum Martyrologii w gmachu Ministerstwa Oświaty przy Alei Szucha. Nazajutrz ten sam, co poprzednio, kolega oświadczył w szkole, iż Olek Hurwic miał powiedzieć, że... Niemcy dobrze robili, męcząc Polaków. Nonsensowność oskarżenia jest zbyt oczywista, bym potrzebował ją uzasadniać. Kierownik ponownie wezwał Olka i zapytał, czy się rzeczywiście tak wyraził. Oleś zaprzeczył — on w ogóle z nikim nie rozmawiał; po poprzedniej przygodzie raczej unikał rozmów z kolegami. Kierownik i tym razem zgodził się przejść do porządku nad wydarzeniem, jeżeli Olek przyrzeknie, że to się więcej nie powtórzy. Ale cóż miał teraz przyrzec?

W tej sytuacji przenieśliśmy syna do innej szkoły, przy ulicy Górnośląskiej. Tutaj nie był narażony na przykrości, ale wydarzenia z poprzedniej szkoły pozostawiły uraz, chyba na zawsze.

Ciekawe, co wyrosło z chłopca, którego użyto do prowokacji.

W opisanych warunkach, po ciężkiej walce wewnętrznej, postanowiłem skorzystać wraz z rodziną z możliwości opuszczenia kraju, gdzie byłem niepożądanym, pod pozorem wyjazdu do Izraela — tylko na wyjazd w tym kierunku mogłem otrzymać zezwolenie. W rzeczywistości, na zaproszenie rządu francuskiego, osiadłem we Francji. Na decyzję wyjazdu nie była bez wpływu interwencja wojsk Paktu Warszawskiego w Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku.

Wyjeżdżając, pozostawiłem pod opieką mojej siostry ciężko chorą matkę. Pożegnanie było, niestety, rozstaniem na zawsze. Gdy w 1973 roku zakończy życie, nie będę nawet mógł być na jej pogrzebie.

Uważam za swój obowiązek zaznaczyć, iż omówione fakty dyskryminacji nie spotkały się z aprobatą środowiska, w którym się obracałem. Wręcz przeciwnie, moi wychowankowie, współpracownicy, koledzy i nawet ludzie zupełnie obcy, z nielicznymi wyjątkami, czuli się zażenowani, wyrażali sympatię, uznanie i solidarność.

W moim marsylskim mieszkaniu wisi na ścianie miedziany talerz, na którym wyobrażono syrenę, a dookoła niej umieszczono napis: „Warszawa - Stolica Polski”. Na spodniej części wyryto następujący tekst:

*„Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,  
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny,  
Dzisiaj was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —  
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.*

J. Słowacki

Prof. dr. HURWICOWI

Doktoranci

Warszawa, 16 - VI - 1969 r.”

Talerz z tą piękną strofą, rozpoczynającą „Testament mój”, wręczyli mi na pożegnanie uczniowie.

Podam kilka innych faktów, które złagodziły opisane wyżej przykrości.

Gdy, jeszcze jako student, pracowałem na Politechnice w zakładzie profesora Malinowskiego, w pobliskim pokoju prowadził badania niskich temperatur (w Zakładzie Fizyki, którym kierował profesor Mieczysław Wolfke) docent Józef Mazur. Był tęgi, zawsze krótko ostrzyżony; miał okrągłą rumianą twarz nie wskazującą na inteligenta. Spotykając go na korytarzu, kłaniałem się z szacunkiem. Raz czy dwa mnie zagadnął. Do tego sprowadzała się nasza znajomość. Okres

wojny Mazur spędził w Anglii, oddając duże usługi w opracowaniu sposobu odmglenia lotnisk. Kilka lat po zakończeniu wojny wrócił do Polski. Pozostał starym kawalerem. Powołano go na katedrę uniwersytecką we Wrocławiu. Od czasu do czasu spotykaliśmy się na posiedzeniach Komitetu Fizyki PAN i na obronach prac doktorskich. Moje stosunki z nim były dość luźne. A mimo to, gdy dowiedział się, że usunięto mnie z Politechniki, natychmiast przyleciał do mnie do domu, by mi wyrazić solidarność.

— Jako Polak i katolik — wołał zasapany — nie mogę się z takim łajdactwem pogodzić.

Pobiegł do prezesa Polskiej Akademii Nauk, którym był wtedy Janusz Groszkowski, by ten zadziałał. Groszkowski odpowiedział, że podziela jego stanowisko, ale jako bezpartyjny, jest całkowicie bezsilny. Mazur, nie dając za wygraną, zgłosił się do partyjnego, bardzo wpływowego uczonego, który miał o mnie raczej dobrą opinię. Na nalegania Mazura nie znalazł jednak innej odpowiedzi, jak... „partia wie, co robi”. Ten sam pan nastawał na usunięcie mego nazwiska jako współautora referatu „Pół wieku Polskiego Towarzystwa Chemicznego”, który wraz z Alicją Dorabalską przygotowaliśmy na zjazd jubileuszowy w 1969 roku. Profesor Dorabalska przez solidarność ze mną wycofała swoje nazwisko. W rezultacie w zbiorowej publikacji ten jeden rozdział jest nie podpisany.

Któregoś wieczora w 1966 roku zatelefonował do mnie profesor Ignacy Malecki, który był wówczas zastępcą sekretarza naukowego PAN, zajmującym się m.in. stosunkami z zagranicą. Zawiadomił mnie, że zamierza w imieniu Akademii wysunąć moją kandydaturę do nagrody Kalinga. Odpowiedziałem, że czuję się tym bardzo zaszczycony, ale wniosek byłby nie na miejscu, skoro zasiadam w jury tej nagrody; jeżeli natomiast po upływie mojej kadencji Akademia nie zmieni swego zdania, będę ogromnie rad. Na początku 1968 roku ustąpiłem z jury, nie było więc przeszkód, by PAN mogła wysunąć moją kandydaturę na rok 1968, a pewne szanse na przyznanie nagrody miałem; jako były członek jury, znając stosowane kryteria, miałem podstawy tak sądzić. Ale byłem już wtedy wyklęty. Ku wielkiemu jednak memu zdumieniu, Malecki, gorliwy członek partii, podtrzymał swój wniosek i poprosił profesora Bogdana Suchodolskiego, który również do opozycjonistów nie należał, o opracowanie mojej charakterystyki. Wniosek, oczywiście, z Polski nie wyszedł. Ważniejsze było, bym ja nie dostał nagrody, niż żeby Polska miała ewentualnie laureata.



A oto inny fakt. W kwietniu 1969 roku, a więc gdy się już przygotowywałem do wyjazdu, na kopercie jednego z listów, który otrzymałem, jako nadawca figurował Wydział I Nauk Społecznych PAN. — Jeszcze jedno odwołanie z jakiejś funkcji — pomyślałem. Było to pismo sekretarza Wydziału, a brzmiało ono: „Uprzejmie informuję, że uchwałą Sekretariatu Naukowego Wydziału I Nauk Społecznych z dnia 12 marca 1969 r. został Obywatel Profesor powołany na członka Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN na okres nowej kadencji (1969–1971)”. Sekretarzem Wydziału był Józef Chałasiński, a wnioskodawcą ówczesny przewodniczący Komitetu — Jerzy Bukowski. Obaj wiedzieli, że w czasie tej nowej kadencji nie będzie mnie już w Polsce.

Wiem, że Bukowski interweniował, gdzie mógł, w mojej sprawie, oczywiście, bezskutecznie.

Przytoczę fragment listu, który Bukowski przyśle mi wiele lat później do Marsylii na wiadomość, że ukończywszy 68 lat, przechodzę w stan spoczynku:

„...Nie uwierzy Pan, jak zafrasowała mnie wiadomość o przejściu Pana Profesora już w tym roku na emeryturę «bez emerytury»\*. Wywołać to musiało jakże smutne reminiscencje wypadków sprzed dziesięciu lat i uświadomić krzywdę, jaka Pana spotkała. Proszę wybaczyć niedyskretne pytanie. Jak się przedstawia aktualnie Państwa «przynależność państwowa»? I drugie: Czy Pan absolutnie wyklucza powrót do kraju? Byłaby to sprawa na pewno bardzo nieprosta, bo chyba precedensowa, ale gotów bym był wyzyskać wszystkie wpływy i koneksje, jakie mi pozostały, aby podjąć próbę zainstalowania Pana na jakimś stanowisku profesorskim lub podobnym, gdzie limit wieku wynosi 70 lat, i w ten sposób uzyskanie praw emerytalnych. Może to jest fantazja. (...) Ale reakcja moja jest odruchowa i proszę ją wybaczyć, jeżeli jest zgoła niestosowna. Wśród wielu ówczesnych emigracji, Pańska przymusowa ciąży na społeczności, do której bądź co bądź należałem i należę. (...)”

Profesor Bogusław Bobrański, redaktor naczelny *Wiadomości Chemicznych* przez ponad rok po moim wyjeździe świadomie pozostawiał mnie w spisie członków Rady Redakcyjnej czasopisma.

Przez długi czas będę otrzymywał w Marsylii liczne wyrazy sympatii z Polski w listach, których nadawcy wiedzieli, że są one kontrolowane.

\* Wiadomość była nieścista: emeryturę otrzymałem.

I wreszcie dodam, że w 1973 roku w 500-lecie urodzin Mikołaja Kopernika ktoś wypuścił koperty filatelistyczne z okolicznościowym, dość zresztą banalnym, cytatem z mego tekstu o wielkim astronomie, uwidoczniając autora cytatu.

Powziąwszy decyzję wyjazdu, postanowiłem powiadomić o tym profesora Tadeusza Kotarbińskiego, byłego prezesa PAN, którego bardzo cenilem i z którym się zaprzyjaźniłem w trakcie licznych kontaktów, uczestnicząc m.in. w prowadzonym przez niego konwersatorium naukoznawczym. W czasie wizyty 12 maja 1969 roku, gdy mu opowiadałem o przykrościach, które mnie spotkały, sędziwy filozof słuchał, swoim zwyczajem, z przymkniętymi oczyma, prawie się nie odzywając. Następnego dnia żona profesora Kotarbińskiego, profesor Janina Kotarbińska, przyniosła mi list, który przytaczam w całości.

„Czcigodny i Kochany Panie Profesorze!

Wstrząsające wrażenie wywarła na mnie wczorajsza rozmowa, w której zawiadomił mnie Pan o konieczności i decyzji opuszczenia kraju. Jeżeli człowiek tak bardzo zasłużony (35 lat pracy przy katedrze fizyki, od asystentury poczynając, kończąc na kierownictwie w charakterze profesora zwyczajnego, 6 lat dziekanatu na mocy koleżeńkiego jednogłośniego powołania, wieloletnie redagowanie znakomitego czasopisma naukowo-oświatowego pt. *Problemy*, uwieńczone wydaniem stu kilkudziesięciu\* numerów comiesięcznych, etc. etc.), tak bardzo polskości oddany, a pełny dobrej woli i sił twórczych, gotowy do kontynuacji działalności niezwykle umiejętnej i społecznie pozytywnej a do zastąpienia ogromnie trudnej — jeżeli taki człowiek nie tylko nie spotyka się z należącymi mu się notorycznie aktami wdzięczności i uznania, lecz staje się przedmiotem negatywnego ustosunkowania i dyskryminacji, ocen ujemnych *ad hoc* spreparowanych, a wreszcie utrudnień życia zmuszających do emigracji, w takim razie niepodobna nie stwierdzić, że władze publiczne stwarzają lub tolerują panoszenie się stosunków potwornych. Żadne rzeczywiste, a tym bardziej żadne urojone konieczności społecznego bytu najeżonego konfliktami nie usprawiedliwiają takiego postępowania, przy którym stosowanie symplistycznego schematu przesłania walory istotne osób czcigodnych i bezcennych, a w sumieniu i w czynach — wolnych od skazy.

\* Powinno być: dwustu kilkudziesięciu.

Obyż zmieniły się czasy! Życzę Czcigodnemu i Kochanemu Panu, by Pan dożył tej spodziewanej i niezbędnej przemiany.

Tadeusz Kotarbiński”

Podobnej treści list napisała do mnie, gdy pozbawiono mnie katedry Zofia Korczak-Zawadzka, wieloletnia adiunktorka tekstów publikowanych w *Problemach*. List ten wysłała ze szpitala, skąd już — niestety — nie dane jej było wyjść. I to pismo przytaczam w całości.

„Warszawa 7.X.68

Drogi Panie Profesorze,

z bólem dowiedziałam się przed chwilą o niewiarygodnej podłości, jakiej padł Pan ofiarą, jak cała zresztą elita intelektualna i kulturalna naszego nieszczęśliwego kraju. Cierpię nad hańbą, którą niełatwo będzie wytrwać z naszych dziejów. W tej ciężkiej chwili pragnę, żeby Pan miał to niezachwiane przeświadczenie, że zarówno ludzie głębokiej wiedzy i nieskażonej prawości, jak i Pana uczniowie (a znam ich), a także ci, co jak ja, mieli zaszczyt pracować pod Pana kierownictwem, wiedzą i nie zapomną, że pracował Pan ofiarnie i pięknie i dobrze zasłużył się kulturze polskiej.

Nie są to czcze frazesy, miałam bowiem szczęście pracować 19 lat w prowadzonych przez Pana *Problemach* i widziałam własnymi oczami, ile talentu, wiedzy, energii i pracy włożył Pan w to pismo, by je uczynić takim, jakim jest dzisiaj.

Na przekór czarnej i ohydnej rzeczywistości chcę zachować nadzieję, że ta krzywda, jak i tyle innych, zostanie naprawiona, kiedy minie ten haniebnny okres, jaki mamy nieszczęście przeżywać. Wszystko, co prawe i sprawiedliwe, stoi po Pana stronie. Wyrazy najgłębszego szacunku i wdzięczności przesyłam z gorącym uściskiem dłoni

Zofia Korczak-Zawadzka”

Nie mogę wreszcie powstrzymać się, by nie przytoczyć choćby początku listu, który napisał 6 kwietnia 1969 roku Jan Hopliński, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

„Wielce Szanowny i Drogi Panie Profesorze, dwa gromy spadły na mnie, pierwszy to potworna katastrofa (lotnicza — J.H.) ukoronowana 56 ofiarami z profesorem Klemensiewiczem (językoznawca Zenon Klemensiewicz — J.H.) na czele, druga to przeokrutna jazda, o której naprawdę nie wiem, co myśleć! Bo jeśli się jest w lecie wieku

— zaczynać od przedwiośnia? (...) A przepotężna praca ćwierćwiecza *Problemów*, których Pan Profesor *Magna ars fuit* — czy to nie problem? (...)”

Przytoczone listy, jak i wiele innych, które wtedy otrzymałem, charakteryzują stanowisko znacznej części polskich intelektualistów, choć nie wszyscy tak dobitnie je wyrażali. Przesadnie zaś pochlebny ton opinii o mnie wynika, oczywiście, z okoliczności, w jakich je pisano.

Teraz kilka słów o sprawach związanych z samym wyjazdem, na który zezwolenie otrzymałem bez żadnych trudności, jeśli pominąć wymuszenie, jako warunek tej zgody, podpisania papierka do Rady Państwa o... zwolnienie z obywatelstwa polskiego. Opuszczałem więc kraj z dokumentem o treści negatywnej. Była to niebieska trójjęzyczna (polsko-rosyjsko-francuska) książeczka zatytułowana „Dokument podróży”. Wewnątrz było wydrukowane: „Posiadacz niniejszego dokumentu podróży nie jest obywatelem polskim”. Na końcu zaś: „Dokument podróży uprawnia do wyjazdu z Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej do kraju:...w okresie do:...”. Przystawione pieczętki opiewały ważność terytorialną: „wszystkie kraje świata” i ważność czasową: do „29 czerwca 1969 roku”. Gdyby to wszystko nie było smutne i tragiczne, można by się uśmieć ze sformułowania „wszystkie kraje świata” jakby nie wystarczyło „wszystkie kraje”. Ta mania używania zbytecznych słów jest w Polsce, niestety, dość rozpowszechniona. Notabene, już we Francji „odkryje” proste kryterium przejrzystości tekstu: mętnego tekstu nie da się przetłumaczyć na inny język.

Mój księgozbiór, który liczył około 10 tysięcy tomów, z bólem zredukowałem przed wyjazdem do w przybliżeniu 3500 książek. Sporządziłem w kilku egzemplarzach wymagany spis. Spośród pozycji, wydanych przed 1945 rokiem, zapakowałem, zgodnie z przepisami, tylko te, na których wywóz otrzymałem zgodę Biblioteki Narodowej. Większość pozostałych książek po prostu podarowałem różnym instytucjom i osobom. Jedną z tych książek jest „Omnia Opera” F. Schatzgeri Bavari z 1543 roku w renesansowej oprawie skórzanej, roboty krakowskiej, z wytłaczanymi wyciskami, wyobrażającymi króla Zygmunta Starego i jego rodzinę. Dzieło to ofiarowałem Państwowym Zbiorom Sztuki na Wawelu, gdzie zostało wpisane do inwentarza starych druków, przy czym w odpowiedniej rubryce umieszczono moje nazwisko jako ofiarodawcy.

Odprowa celna mego dobytku odbyła się na Dworcu Gdańskim. Dwóch celników w ciągu prawie tygodnia badało każdy przedmiot. Jeden z nich, niski, szczupły, zwierzył mi się w zaufaniu, iż on jest prawdziwym celnikiem, ten drugi zaś, rostry, wysoki, to jakoby oficer bezpieczeństwa w mundurze celnika, specjalista od literatury. Smutna to była procedura, nie pozbawiona jednak elementów humoru, jakich żaden chyba humorysta nie byłby w stanie wymyślić.

Pakując książki, włożyłem do jednej skrzyni książki z dedykacjami od autorów: pisarzy, uczonych. Miały one dla mnie szczególną wartość sentymentalną, a niektóre z tych książek, niezależnie od dedykacji, były cenne same przez się. Bałem się, że dedykacje mogą się nie spodobać.

Wysoki celnik, przystępując do odprowy książek, idąc za mym rozbieganym wzrokiem, zatrzymał się przy skrzyni, która budziła mój niepokój. Wyciągnął „Lutnię Puszkina” z miłą dedykacją Tuwima. Celnik najpierw starannie sprawdził, czy nie przemycono czegoś między kartkami. Popatrzył następnie na dedykację i zapytał:

— Co to jest?

— Dedykacja — odpowiedziałem.

— A po co to?

— Autor chciał mi wyrazić swą sympatię.

— Czy musiał to zrobić na książce?

Wyjaśniłem, że taki zwyczaj jest rozpowszechniony. Celnik miał wątpliwości. Zastanowił się. Pomyślał chyba tak: nazwisko Puszkina jest niewątpliwie dobre (politycznie), w tekście dedykacji (bardzo czytelnej) nie ma akcentów nieprawomyślnych i, podobno, pisanie dedykacji na książkach jest przyjęte. Machnął więc ręką, uznał się za przekonanego i odłożył książkę na stronę rzeczy „odprawionych”. Sięgnął po następną, spojrzął na dedykację, przekartkował i bez słowa odłożył książkę do poprzedniej. To samo z książką trzecią, czwartą itd. Z ulgą odetchnąłem, gdy ostatnia książka ze skrzyni uzyskała zgodę na wywóz.

Teraz nastąpiło coś zupełnie nie do pomyślenia. Celnik wziął książkę z następnej skrzyni i bardzo się zdziwił, że... nie ma tam dedykacji. Musiałem użyć wszystkich moich umiejętności pedagogicznych, by wytłumaczyć „specjaliście od literatury”, że autora książki nie znam, że autor nie żyje, że ją kupiłem w księgarni, gdzie sprzedaje się książki bez dedykacji. Może nawet zbyt dobrze to wyjaśniłem, bo celnik zawahał się, czy słusznie postąpił, przepuszczając wszystkie książki z dedykacjami. Nie wypadło jednak wycofywać podję-

tej decyzji. Odegrał sobie na książkach bez dedykacji, z pomocą zresztą nie-specjalisty od literatury. W oczach obu panów nie znalazł łaski, na przykład, „Informator nauki polskiej”, wydany po angielsku, a więc przeznaczony dla czytelnika zagranicznego, czy francuski podręcznik geografii, z którego moja córka uczyła się w liceum (im. Narczyży Żmichowskiej). Mimo zgody Biblioteki Narodowej nie pozwolono mi wywieźć, nie wiadomo dlaczego, niektórych starych powieści pisarzy francuskich (w polskim przekładzie). Bardzo bolesne było dla mnie rozparcelowanie Polskiego Słownika Biograficznego, który z trudem kompletowałem przez dwadzieścia kilka lat, na dwie części; tylko jedną z nich pozwolono mi wywieźć mimo zgody Biblioteki Narodowej na całość. Skonfiskowano część odbitek moich własnych prac, które na opakowaniu określiłem jako „prace przeglądowe”, oraz komplet prac... o Marii Skłodowskiej-Curie wraz z brulionowym maszynopisem części pracy o jej działalności naukowej. Pracę tę zacząłem pisać z namowy ministra Jabłońskiego i premiera Cyrankiewicza. Materiały te zamierzałem zużytkować we Francji do opracowania obszernej monografii. Zamiar ten bezmyślnie mi udaremniiono. Celnicy byli przy tym na tyle złośliwi, że odprowę zakończyli w przeddzień ustalonego terminu wyjazdu, uniemożliwiając mi odwołanie się od ich decyzji. Na tym jednak nie koniec. Jak się potem okazało, już po naszym wyjeździe bagaż zatrzymano, odpięczętowano i w naszej nieobecności dokonano superrewizji, zapewne w poszukiwaniu dyplomów, zaświadczeń z pracy itp., które na ogół odbierano lub na miejscu niszczone, o czym już wiedziałem od tych, co przedtem wyjechali, i dlatego dokumenty te przesałem inną drogą. Przecięto poduszki, niektóre przynajmniej wzdłuż szwów i związane sznurkiem, inne w barbarzyński sposób chyba nożem, gdzie popadło, nie zadawszy sobie trudu związania. Podobny los spotkał kilka torebek mojej żony. Niczego wartościowego nie zabrano. Zginęła tylko część znaczków pocztowych z kolekcji mego małoletniego syna, na których wywóz zgody udzielił Polski Związek Filatelistyczny, medal Marii Skłodowskiej-Curie, moje odznaki z różnych zjazdów naukowych, odznaki harcerskie córki, jej górską odznakę turystyczną itp.

Kilka dni przed moim wyjazdem jedna z pracownic Polskiego Radia (wdowa po przedwojennym generale), zorganizowała w swoim mieszkaniu spotkanie pożegnalne. Nie wszystkich pamiętam, ale na pewno byli tam: Władysław Bienkowski, Czesław Duchnowski — wykładowca Politechniki

Warszawskiej, Mieczysław Fogg, który coś dla mnie zaśpiewał, i Jan Zabiński.

W dniu wyjazdu, pociągiem do Paryża, w piękne czerwcowe popołudnie żegnało mnie na Dworcu Gdańskim kilkaset osób, mnóstwo z kwiatami. Poza rodziną (siostra ze szwagrem) byli tam moi współpracownicy z Politechniki i z *Problemów*, liczni studenci, różni znajomi i przyjaciele. Niektórzy mieli łzy w oczach; ja też. Wymienię kilka osób znanych: Tadeusz Kotarbiński, Alicja Dorabalska, Tadeusz Wojno, Jerzy Pniewski, Wilhelm Billig, aktorzy Irena i Władysław Krasnowieccy, dyrektor Czesław Longin Jędraszko. Wielu spośród obecnych tam nigdy już więcej nie zobaczę.

## WE FRANCJI

Zamieszkałem w Marsylii, gdzie tamtejszy uniwersytet (Université de Provence) ofiarował mi stanowisko profesora chemii fizycznej. Od razu rozpocząłem wykłady dla studentów chemii na różnych poziomach. Mimo nie najlepszej znajomości francuskiego nieźle dawałem sobie radę. Ze zdziwieniem stwierdzałem, że w czasie wykładu przychodzą mi do głowy słowa francuskie, których — zdawało mi się — nigdy przedtem nie znałem. Gdy miałem wątpliwości, jaki jest rodzaj rzeczownika, zamieniałem w myśli rodzaj żeński polskiego odpowiednika na męski, a męski lub nijaki na żeński, i prawie zawsze... trafiałem. Otrzymałem też sporą dotację na zorganizowanie zakładu. Już po kilku miesiącach funkcjonowała pod moim kierownictwem placówka, którą nazwałem Zakładem Chemii Dielektryków, a później przemianowałem na Zakład Dielektrochemii. Z nowymi współpracownikami nawiązałem do warszawskich badań dielektrochemicznych. W szczególności zastosowaliśmy metody dielektryczne do badania konformacji. Zjawisko to polega na tym, że atomy danej cząsteczki mogą przez obrót wokół wiązania pojedynczego (lub kilku wiązań pojedynczych) bez jego rozerwania różnie się rozmieszczać w przestrzeni. W przypadku pewnych substancji biologicznie czynnych udało nam się powiązać ich właściwości farmakologiczne z konformacją. W badaniach marsylijskich stosowaliśmy też tzw. metody jądrowego rezonansu magnetycznego. Pod moim kierunkiem wykonano w Marsylii 7 prac na uzyskanie doktoratu niższego stopnia, czyli III cyklu, i 3 prace doktorskie wyższego stopnia, tj. na otrzymanie tzw. doktoratu państwowego. Istniały wtedy we

Francji jeszcze dwa stopnie doktorskie: doktor-inżynier za pracę o tematyce technicznej i doktor uniwersytecki, gdy kandydat nie spełnia wszystkich wymogów formalnych. Poziom doktoratu III cyklu scharakteryzowałbym jako pośredni między polskim magisterium i polskim doktoratem. Doktorat państwowy usytuowałbym między doktoratem polskim i polską habilitacją. Doktorat inżynierski odpowiada poziomem doktoratowi III cyklu. Doktorat uniwersytecki jest najniższy. W celu ujednoczenia stopni naukowych w ramach Wspólnoty Europejskiej zniesiono w 1987 roku we Francji wszystkie istniejące do tego czasu typy doktoratów i ustanowiono jeden typ, mniej więcej równoważny doktoratowi polskiemu.

Pierwszy z promowanych przeze mnie doktorów marsylijskich (doktorat państwowy) — Jacques Barbe jest już od wielu lat profesorem na Wydziale Farmacji w Marsylii. W kierowanym przez siebie zakładzie stosuje metodykę wyniesioną z mojej pracowni. Inny z promowanych przeze mnie doktorów marsylijskich, Nzita-Kikhela Pongi, jest profesorem na uniwersytecie zairskim (Kongo) w Kinszasie.

Do moich obowiązków w Marsylii należała praca dydaktyczna, badawcza, administracyjna i organizacyjna. Wykładałem więc, egzaminowałem i wobec tego brałem udział w rozmaitych komisjach egzaminacyjnych, poza własną pracą badawczą kierowałem badaniami innych osób, uczestniczyłem w licznych przewodach doktorskich (różnego typu) itd. W związku z tymi czynnościami składałem podpis na jakichś dokumentach, nie bardzo jednak zdając sobie sprawę z tego, co podpisywałem. Potrzeba było aż kilku lat, bym zorientował się w funkcjonowaniu francuskiego mechanizmu oświatowo-badawczego, tak bardzo bowiem różni się on od systemu polskiego. Nawet numeracja klas w szkole średniej we Francji jest przeciwna niż w Polsce: po klasie szóstej następuje piąta, później czwarta, trzecia, druga, pierwsza i wreszcie końcowa.

Te same słowa nie znaczą tego samego w Polsce i we Francji. Zaczniemy od nazw „akademia” i „rektor”, które są źródłem wielu nieporozumień w licznych publikacjach polskich, a zwłaszcza w przekładach z literatury francuskiej. Słowo „akademia” może oznaczać, jak w Polsce, stowarzyszenie uczonych lub ludzi sztuki czy pewien typ szkoły, jak np. Akademia Sztuk Pięknych czy Akademia Tańca, ale także jakiś klub, np. Akademia Bilardu, najczęściej zaś słowo „akademia” znaczy we Francji okręg szkolny. Na czele akade-

mii stoi rektor. Nie jest to przełożony wyższej uczelni, lecz wysoki funkcjonariusz administracji oświatowej, mianowany przez prezydenta Republiki. Rektorowi podlegają wszystkie placówki oświatowe i badawcze na terenie danej akademii, poczynając od żłobków, a kończąc na wyższych uczelniach i instytutach badawczych. Przełożonym zaś uniwersytetu jest prezydent, wybierany spośród pracowników naukowych uczelni przez przedstawicieli całego personelu i studentów, niekoniecznie profesor. Kierownicy innych szkół wyższych nazywają się dyrektorami i są mianowani przez władze zwierzchnie. Rektor akademii jest zazwyczaj byłym profesorem jakiegoś uniwersytetu.

Użyłem słowa „były”, gdyż profesor uniwersytecki, opuszczając swoje stanowisko, przestaje być profesorem. W Polsce istnieje stanowisko profesora, na które może być powołana osoba mająca tytuł naukowy profesora, nadawany dawniej przez Radę Państwa, a obecnie przez prezydenta, po dość długiej (chyba zbyt długiej) ocenie. We Francji nie ma naukowego tytułu profesora; profesor jest tylko stanowiskiem, na które, gdy wakuje w uniwersytecie, dekretem prezydenta Republiki powołuje się osobę o odpowiednich kwalifikacjach naukowych, wyłonioną w wyniku ogólnopństwowego konkursu. Osoba ta jest profesorem tylko w okresie pełnienia tej funkcji, tzn. że oficjalnie jedynie w tym okresie może korzystać z tytułu profesorskiego. Gdy profesor odchodzi na emeryturę, przeważnie nadaje mu się grzecznościowo (ale oficjalnie) tytuł profesora honorowego (lub zasłużonego). Jest to prawie automatyczne. Dowiedziawszy się kiedyś, że pewien mój znajomy został profesorem honorowym, zmylony polskim znaczeniem przymiotnika „honorowy”, chciałem posłać gratulacje. Szczęśliwie jednak jeden z moich asystentów uratował mnie przed popełnieniem straszliwej gąfy, wyjaśniliśmy, że w tytule tym nie ma nic zaszczytnego, a praktycznie oznacza on przeniesienie na emeryturę. We Francji można spotkać honorowych inspektorów szkolnych, honorowe nauczycielki szkół podstawowych itd.

Również nauczycielowi szkoły średniej przysługuje we Francji oficjalnie tytuł profesora. W Polsce natomiast, jeżeli nauczycieli licealnych często tytułuje się profesorami, to tylko zwyczajowo. Trzeba przyznać, że dawniej francuski profesor licealny poziomem często dorównywał profesorowi uniwersyteckiemu. Dzisiaj jest to znacznie rzadsze.

Na marginesie zauważmy, że polski dokument nominacyjny na profesora jest bardzo okazały i podpisany własnoręcz-

nie przez głowę państwa oraz uroczyście wręczany. We Francji dekret o nominacji na profesora uniwersytetu ogłasza się w *Dzienniku Oficjalnym (Dzienniku Ustaw)*, zainteresowana zaś osoba otrzymuje niestaranną kopię odpowiedniego dokumentu, podpisaną z upoważnienia właściwych władz przez urzędnika niezbyt wysokiego szczebla.

Jest jeszcze jedna różnica między tytułem profesora we Francji i w Polsce. Zgodnie ze znaczeniem francuskiego czasownika *professer* — nauczać, wykładać, profesor we Francji — to nauczyciel (wykładowca) szkoły wyższej lub średniej. W Polsce natomiast tytuł profesorski nadaje się również samodzielnym pracownikom placówek badawczych, np. Polskiej Akademii Nauk, nie zajmującym się nauczaniem.

Warto tu nawiasem zwrócić uwagę na to, że używana w polskich publikacjach w języku francuskim nazwa „Académie Polonaise des Sciences” Polskiej Akademii Nauk jest nieściśła. Francuskie słowo *sciences* oznacza bowiem tylko nauki matematyczno-przyrodnicze, a więc reprezentowane jedynie przez wydziały: II (Nauk Biologicznych), III (Nauk Matematycznych, Fizycznych i Chemicznych) oraz częściowo VII (Nauk o Ziemi i Nauk Górniczych). By nazwa francuska obejmowała całość PAN-u, powinna brzmieć: *Académie Polonaise des Sciences, Lettres, Techniques, Agriculture et Médecine*.

Z drugiej strony, autorzy polscy myślą często nazwy różnych akademii francuskich. Czytamy niekiedy o „Francuskiej Akademii Nauk”. Otóż chodzi tu o Akademię Nauk (Matematyczno-Przyrodniczych), która nie ma w nazwie przymiotnika „Francuska”. Istnieje natomiast także Akademia Francuska (*Académie Française*), zajmująca się układaniem słownika języka francuskiego; jej czterdziestu członków nazywa się „nieśmiertelnymi”. Obie te akademie od 1795 roku wchodzi, obok trzech innych, w skład Instytutu Francji, który, po reorganizacji w 1832 roku, obejmuje pięć różnych akademii. Ponadto istnieją we Francji akademie z siedzibą także w Paryżu, ale nie należące do Instytutu, np. Narodowa (Krajowa) Akademia Medycyny czy Narodowa Akademia Farmacji. Przypomnę, że Maria Skłodowska-Curie przypadła w 1911 roku w wyborach do Akademii Nauk w Paryżu i nigdy nie została członkiem Instytutu, natomiast w 1922 roku tryumfalnie przyjęła ją Narodowa Akademia Medycyny.

We Francji istnieją wreszcie liczne akademie prowincjonalne.

Członkowie PAN-u pobierają wynagrodzenie z tytułu samej przynależności do tej instytucji, natomiast członkowie francuskich akademii nie tylko nie otrzymują żadnych pieniędzy, lecz w przypadku prowincjonalnych akademii często, wręcz przeciwnie, jeszcze płacą składki członkowskie.

Omawiane tu akademie francuskie są korporacjami uczonych, jak Polska Akademia Umiejętności czy Towarzystwo Naukowe Warszawskie (lub artystów), w odróżnieniu od Polskiej Akademii Nauk, która jest nie tylko stowarzyszeniem uczonych, lecz poza tym ma dużą sieć własnych placówek badawczych. Podobny zespół placówek, pod nazwą CNRS (Centre National de la Recherche Scientifique — Narodowy (Krajowy) Ośrodek Badań Naukowych), istnieje też we Francji, ale nie ma żadnego związku z Instytutem Francji. W CNRS-ie reprezentowane są także nauki humanistyczne. Samodzielni pracownicy naukowcy CNRS-u mają tytuł dyrektora badań (*directeur de recherche*) równoważny stanowisku profesora uniwersytetu. Znaczna część placówek CNRS-u stowarzyszona jest z zakładami uniwersyteckimi.

Aktualnie obowiązujące ustawy i przepisy rozróżniają trzy szczeble profesorów uniwersyteckich i dyrektorów badań: II klasy, I klasy i klasy wyjątkowej. Istnieją też różne szczeble pomocniczych pracowników naukowych, które ustawicznie zmieniają nazwę.

Sytuacja pomocniczego pracownika nauki w uniwersytecie francuskim jest zupełnie odmienna niż jego odpowiednika w Polsce. Po pomyślnie przebyтым okresie próbnym zostaje on funkcjonariuszem państwowym i jako taki nie może być zwolniony bez względu na wyniki pracy badawczej. Jeśli nie ma dostatecznego na doktorat dorobku naukowego, nie awansuje, ale może pozostać na swoim stanowisku do emerytury. Dopływ świeżych kadr jest więc niezmiernie ograniczony. Stosowana w Polsce rotacja pomocniczych pracowników nauki jest dla uczelni korzystniejsza, poza przypadkami szczególnie uzdolnionych pedagogów, którzy nie uzyskawszy wymaganego stopnia naukowego, muszą uczelnię opuścić.

We Francji każdy minister oświaty uważa za swój święty obowiązek pozostawić po sobie reformę, która będzie nosiła jego imię. Czasami reforma sprowadza się do zmiany kilku nazw. Bywają oczywiście, i zmiany głębsze. Francuskie szkolnictwo wyższe znajduje się w stanie nieustającej reformy, ale istota struktury pozostaje bez zmiany od października 1968 roku, kiedy to po tak nazywanej rewolucji majowej dokonano jego gruntownej przebudowy (reforma Edgara Faure'a).

W latach bezpośrednio poprzedzających rok 1968 uniwersytety nie miały spójnej struktury jak w Polsce. Poszczególne wydziały stanowiły autonomiczne jednostki rządzące się własnymi prawami. Na czele wydziału stał dziekan wybierany przez radę (zgromadzenie) złożoną ze wszystkich samodzielnych pracowników nauki. Związek między wydziałami był bardzo luźny. Nawet nie istniała instytucja senatu.

Ustawa z 1968 roku utworzyła uniwersytety wielodyscyplinowe, łącząc kilka wydziałów w uniwersytet. W dużych miastach powstało parę uniwersytetów, w Paryżu aż 13. Żaden jednak nie jest kompletny. W Aix-en-Provence i w Marsylii, gdzie na oba te pobliskie miasta rozciąga się duży ośrodek uniwersytecki, są trzy uniwersytety. Czytelnika zaskoczy zapewne fakt, że powstanie Uniwersytetu III miało podłoże... polityczne. Uniwersytety francuskie są bardzo upolitycznione. Profesorowie „konserwatywni”, chcąc wyzwolić się spod dominacji „lewicowej” na dwóch wcześniej powstałych uniwersytetach, wystąpili do ministerstwa z wnioskiem o utworzenie Uniwersytetu III. Wniosek został zaakceptowany. Ostatecznie nie byłoby w tym niczego nienormalnego, gdyby nie to, że w imię wolności osobistej, doprowadzonej do rozmiarów karykaturalnych, traktując uczelnię jakby własność pracowników, nie licząc się z jego potrzebami, pozostawiono personelowi swobodę wyboru uniwersytetu. W rezultacie matematycy pozostali prawie całkowicie w Uniwersytecie I (a Uniwersytet III musiał, przynajmniej początkowo, sprowadzać wykładowców matematyki... z Paryża); chemicy organicy niemal wszyscy przeszli na Uniwersytet II, a Uniwersytet I zatrzymał głównie nieorganików i fizykochemików; jeśli zaś chodzi o fizyków, to profesorowie w większości opuścili Uniwersytet I, gdzie pozostali przeważnie asystenci, laboranci i woźni. W wyniku tej niczym nie skrepowanej wędrówki pracowników działalność dydaktyczna i badawcza na żadnym z uniwersytetów nie mogła się normalnie rozwijać, ale ministerstwo oraz rozpolitykowani pracownicy i studenci mało się o to troszczyli.

Ustawa z 1968 roku podzieliła dawne duże wydziały na mniejsze jednostki nazwane dydaktyczno-badawczymi (czy kształceniowo-badawczymi). Spowodowało to likwidację zgromadzeń wydziałowych, które w zasadzie miały taki sam charakter jak rady wydziałów w Polsce. Następstwem tego w wielu uniwersytetach stała się nie tylko separacja różnych specjalności, ale w ogóle zniknięcie terenu kontaktów między profesorami. By zawrzeć bliższą znajomość z jednym z mych

kolegów pracującym, jak się okazało, w dziedzinie zbliżonej do mojej, a mającym zakład w odległości około 100 metrów od mojego, musiałem pojechać... na zjazd do Montpellier.

Sprawami jednostki dydaktyczno-badawczej zarządza wybierana przez wszystkich pracowników i studentów rada, w skład której wchodzi, według odpowiedniego klucza, przedstawiciele pracowników naukowych, administracji, studentów i pewna liczba osób spoza uniwersytetu. Rada wybiera dyrektora jednostki spośród członków będących pracownikami badawczymi i dydaktycznymi, niekoniecznie profesorami.

Całością uniwersytetu zarządza wybrana przez wszystkich pracowników i studentów rada administracyjna o podobnym składzie. Zasięga ona opinii dwóch innych rad, również wybieranych, w sprawach, których zakres określają nazwy rad: rada naukowa i rada do spraw studiów i życia uniwersyteckiego. W wyborach wszystkich rad poszczególne kategorie wyborców głosują oddzielnie na swoich przedstawicieli.

Trzy rady na wspólnym posiedzeniu wybierają prezydenta uniwersytetu spośród stałych pracowników dydaktyczno-badawczych, niekoniecznie profesorów. Prezydent przewodniczy na posiedzeniach każdej z trzech rad. Trzej wiceprzewodniczący tych rad są jednocześnie wiceprezydentami uniwersytetu. Jednym z wiceprezydentów może być student. Kilkanaście lat temu w jednym z uniwersytetów taki wiceprezydent liczył sobie 19 lat, a pełnoletniość zaczynała się wówczas po ukończeniu 21 lat; podpis wiceprezydenta uniwersytetu nie miał więc... mocy prawnej. Dziś nie jest to już możliwe, gdyż... wystarczy skończyć 18 lat, by być pełnoletnim.

Każdy maturzysta ma w zasadzie wstęp na uniwersytet bez żadnych egzaminów (inne wyższe uczelnie stosują na ogół surową selekcję kandydatów). Matura (*baccalauréat*) jest bowiem pierwszym stopniem uniwersyteckim. Egzaminu maturalnego (znacznie cięższego niż w Polsce) nie zdaje się w liceum przed swoimi nauczycielami, lecz przed obcą komisją (państwową), której obowiązkowo przewodniczy pracownik naukowy uniwersytetu (z doktoratem), zazwyczaj profesor.

Nauczanie na uniwersytetach francuskich odbywa się w trzech cyklach współśrodkowych, gdy w Polsce ma charakter ciągu liniowego. Poszczególne cykle stanowią zamkniętą całość. Pierwszy cykl ma dać pewien zasób wiadomości podstawowych i wprowadzić w metody naukowe. Dyplom ukończenia pierwszego cyklu uprawnia do wstąpienia na drugi cykl. Drugi

cykl stanowi studia w określonej specjalności i bardziej szczegółowe. Trzeci cykl — to studia doktoranckie. Istnieją poza tym podstawowe różnice w kolejności i sposobie wykładania różnych dyscyplin w Polsce i we Francji.

Wielokrotnie zadawano mi pytanie, który system jest lepszy. Oba mają wady i pewne zalety. I jeden i drugi daje dobre rezultaty, jeżeli jest umiejętnie zastosowany, a złe wyniki przy złej realizacji.

Francuski system uniwersytecki charakteryzuje się jeszcze tym, że poza pierwszym rokiem, po ukończeniu każdego roku studiów otrzymuje się odpowiedni dyplom. A więc studia I cyklu, tj. dwa pierwsze lata nauki, dają „dyplom studiów uniwersyteckich ogólnych”. Ukończenie I roku studiów II cyklu, tj. w zasadzie 3 lata nauki, daje licencjat (*licence*). Po ukończeniu II cyklu, tj. po 4 latach studiów, dostaje się magisterium (*maîtrise*). Dla otrzymania magisterium trzeba odrobić przepisane programem ćwiczenia i zdać egzaminy, nie ma natomiast (przynajmniej w zakresie nauk matematyczno-przyrodniczych) żadnej pracy magisterskiej (dyplomowej, która w Polsce stanowi niekiedy cenny przyczynek badawczy). W III cyklu I rok ma charakter przygotowawczy do pracy doktorskiej. Po zdaniu egzaminów i wykazaniu się umiejętnościami prowadzenia pracy badawczej otrzymuje się „dyplom studiów pogłębionych”. W następnych latach doktorant wykonuje właściwą pracę doktorską.

Obrona pracy doktorskiej jest, jak w Polsce, publiczna, z tą jednak różnicą, że publiczność nie może zabrać głosu. Decyzja powołanej przez uniwersytet komisji egzaminacyjnej, nadająca doktorat, nie wymaga żadnego zatwierdzenia.

W tym miejscu przypominam sobie, że w Polsce na obronach prac doktorskich zdarzały się sytuacje, że niełatwo było przerwać kłopotliwe milczenie po otwarciu dyskusji. Wystarczyło jednak, by ktoś poruszył jakikolwiek szczegół terminologiczny, a dyskusji nie można było zamknąć.

Dodajmy, że nikt we Francji, zwracając się do doktora, nie tytułuje go doktorem. Tytułu tego używa się jedynie w stosunku do lekarzy (medycyny i dentystryki). Tym bardziej nikogo nie tytułuje się licencjatem czy magistrem. Notabene, skrót „Mgr” w języku francuskim pochodzi od słowa *Monseigneur*, który można by przetłumaczyć jako „Wasza Wielębność” czy „Wasza Wysokość” i jest formą zwracania się do biskupa czy osoby z rodziny panującej.

Na zakończenie tego chyba zbyt długiego, a mimo to powierzchownego, przeglądu studiów uniwersyteckich dorzucę

uwagę krytyczną o kontroli wiadomości. Francuzi przypisują zbyt wielką, moim zdaniem, wagę rozmaitym konkursom i egzaminom. Kandydatowi nie pozostawia się przy tym, na ogół, dostatecznie czasu, by mógł spokojnie rozważyć zagadnienie egzaminacyjne, nie mówiąc o tym, że nie bierze się pod uwagę zdenerwowania zdającego. W rezultacie przygotowywanie się do egzaminu sprowadza się często do uczenia się na pamięć, by móc szybko podać odpowiedź, gdyż właściwie jest tu premiowana szybkość odpowiedzi. Twórca kwantowego modelu atomu, Niels Bohr, o którym mówiliśmy, że rozumował wprawdzie bardzo głęboko, ale niezmiernie wolno, szczęśliwie dla nauki uczył się w Danii, bo we Francji, chyba nie zdałby żadnego egzaminu konkursowego, a kto wie, czy dostałby nawet maturę.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na pewną „desakralizację” obyczajów akademickich we Francji. Nie ma tu teraz, jak w polskich wyższych uczelniach, uroczystej inauguracji roku akademickiego, która na długo pozostaje we wspomnieniach studenta. Poszczególni wykładowcy po prostu rozpoczynają swoje zajęcia według ustalonego planu albo, co też niekiedy bywa, przesuują je na inny termin z powodu mniej lub bardziej poważnych przeszkód. Takie tradycyjne nazwy, jak dziekan czy wydział (fakultet) zastąpiono nazwami raczej biurokratycznymi, jak dyrektor i wspomniana już jednostka kształceniowo-badawcza. Dawniej każdy profesor uniwersytetu francuskiego miał tożę (własną) o barwach zależnych od wydziału. Zwyczaj ten zachował się tylko na „wydziałach” prawa, ekonomii, medycyny, dentystyki, farmacji. Trochę zresztą mnie śmieszy, gdy profesor prawa wyklada w okazałej todze, albo gdy na medycynie na egzaminie doktorskim doktorant i egzaminatorzy zasiadają w togach.

Na „wydziałach” matematyczno-przyrodniczych i humanistycznych (poza ekonomią i prawem, które się tu wyodrębniły z humanistyki), przeciwnie, strój wykładających jest na ogół dość swobodny: latem otwarta koszula bez krawata, często bardzo kolorowa, i białe stopy w sandałach, zimą — sweter. Student zwraca się do profesora po nazwisku: panie Laffitte czy panie Hurwic.

Gdy pytam studenta, kto wyklada jakiś przedmiot, otrzymuję odpowiedź w rodzaju: taki wysoki łysy albo niski brunet. W związku z umasowieniem studiów wyższych nauczanie stało się anonimowe. Wydaje mi się, że podobny proces przebiega w ostatnich latach również w Polsce.

Ja za czasów studenckich byłem dumny, że moim profesorem

chemii fizycznej był Wojciech Świętosławski, że mechaniki „technicznej” uczył mnie Antoni Przeborski, że egzamin z ekonomii politycznej zdawałem u ministra (skarbu) Jerzego Michalskiego, który postawił mi stopień „5 plus”; nie byłem zresztą jedynym, który taką ocenę otrzymał. Gdy przyjeżdżał z zagranicy wybitny uczyony, by wygłosić odczyt w Polskim Towarzystwie Chemicznym, uważałem, będąc jeszcze młodym studentem, za swoją powinność i przyjemność być na takim odczycie. Gdy na wiosnę 1938 roku odbywała się w Warszawie, zorganizowana z inicjatywy Białobrzeskiego, międzynarodowa konferencja fizyki teoretycznej (mająca na celu przedyskutowanie podstaw mechaniki kwantowej), w której uczestniczyli tacy uczeni, jak Niels Bohr, Arthur Stanley Eddington, Charles Dalton Darwin (wnuk sławnego twórcy teorii ewolucji), Paul Langevin, John von Neumann, przychodziłem na salę obrad, wielu rzeczy nie rozumiejąc, czasami tylko po to, by z bliska zobaczyć, jak wyglądają, i posłuchać, jak mówią ci ludzie, którzy byli dla mnie legendą.

Józef HURWIC

## BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOŚZ

# ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego” bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288

Cena F. 145,00



## Błogosławiona, święta

W ciągu roku moje stosunki z największą gazetą Południa Włoch *Sud* rozszerzyły się i umocniły na tyle, by redakcją skłonić do wydobywania mnie z ciasnych ram pierwotnej „specjalności”. Moją „specjalnością”, przestrzeganą dotąd przez gazetę i jej dorywczego współpracownika, były polityczne problemy Europy Wschodniej i Rosji. I oto redaktor naczelny zaprosił mnie na kawę do swojego gabinetu, oznajmiwszy od progu: „Jest pan pisarzem, nie może pan się kisić w tej wąskiej, coraz węższej ostatnio, przegrodzie. Mam dla pana propozycję, na początek związaną częściowo przynajmniej z pana krajem ojczystym i z europejskim Wschodem”.

Położył przede mną depezę agencyjną, po dziennikarsku związłą, z której nie skorzystały zdaje się inne gazety.

— Rzecz, jak pan widzi, dzieje się w miasteczku Macera, położonym wysoko nad Potenzą. Jeden tylko autobus z Potenzy obsługuje od rana Macerę, około dziesięciu kilometrów stromej i dość wyboistej drogi. Wraca po zmroku na noc do Potenzy. Wynajmiemy panu pokój w dobrym hotelu blisko przystanku autobusowego. Nie ma żadnego pośpiechu. Według mnie sprawa jest delikatna i dość nawet drażliwa, więcej w niej materiału na opowieść, niż na cykl reportaży. Jeśli pana propozycja zainteresuje, to niech pan odszuka dostępne dane w Neapolu i zawiadomi nas od kiedy zamówić hotel w Potenzy.

Nie było takie proste „odszukanie dostępnych danych w Neapolu”. Po pierwszej i jedynej próbie okazała się konieczna krótka wyprawa do Rzymu. Depesza agencyjna, którą przeczytałem wielokrotnie (w końcu znałem ją prawie na pa-

mięć), zawierała, jak zwykle w depezach agencyjnych, suchą relację, podobną do oskrobanego do czysta szkieletu żywego stworzenia.

Młoda dziewczyna Marianna K., rodem z wsi podkieleckiej, została przed wybuchem wojny domowej w Jugosławii zaproszona do Goražde przez siostrę, która pod koniec wojny światowej wyszła za mąż za poznanego na robotach w Niemczech lekarza bośniackiego. Małżeństwo miało dwie córki bliźniaczki, znacznie starsze od Marianny. Lekarz i jego żona (również lekarka) zginęli na ulicy od kul serbskich strzelców wyborowych. Trzy dziewczyny — córki doktorowej w wieku około trzydziestu lat i jej siedemnastoletnia siostra — wpadły w ręce żołnierzy serbskich podczas „obławy etnicznej”. Więzione w baraku dla kobiet do dyspozycji żołnierzy serbskich, przez cztery miesiące były co noc gwałcone, na miejscu lub na żołnierskich kwaterach. Córki lekarza bośniackiego i jego polskiej żony zdołały odebrać sobie życie (jedna była ciężarna) natychmiast po zwolnieniu ze „służby”. Marianna była również w ciąży i postanowiła urodzić dziecko, i z własnej woli i zaklinana przez włoskiego zakonika katolickiego z misji w Sarajewie. Ów duchowny, z pomocą swych braci w Potenzy, załatwił jej wyjazd do Włoch. Ksiądz z miasteczka Macera nad Potenzą przyjął ją do siebie i powierzył opiece swej starej matki na plebanii. Upór z jakim szykowała się do urodzenia dziecka gwałtu, każdą wolną chwilę spędzając w kościele na modlitwach, zyskał jej podziw mieszkańców Macery (nie wiadomo czy wszystkich). Jej czciciele nazywali ją *Beata* albo wręcz *Santa*.

Przydomek nie był wynalazkiem bogobojnych mieszkańców Macery. Pojawił się najpierw w bezimiennej notatce Biuletynu Biskupstwa w Potenzy; stamtąd notatka przeniknęła, w formie przedruku, na poważniejsze łamy Biuletynu Arcybiskupstwa w Neapolu. W ten sposób nabrała posmaku sugestii niemal oficjalnej, w każdym razie parafowanej przez arcybiskupa-kardynała.

Miałem w Neapolu znajomego księdza, „kawalera pióra”, jak sam siebie nazywał, czyli grafomana marzącego o druku swoich okropnych wierszy „religijnych”, ale niezdolnego do wyjścia poza opisy uroczystości kościelnych w Biuletynie Arcybiskupstwa. Po długich naleganiach zdradził „redakcyjną tajemnicę”: zarówno druk notatki w Biuletynie Biskupstwa w Potenzy, jak jej przedruk w Biuletynie Arcybiskupstwa w Neapolu, był dziełem „wysokiego dostojnika” watykańskiego.

Niechętnie, prosząc o zachowanie sekretu, podał mi jego nazwisko. Nie mogłem nawet marzyć o stanięciu przed surowym obliczem purpurata, ale przypadkowo dowiedziałem się, że jego sekretarz osobisty, ksiądz V., jest czytelnikiem moich książek. To uprościło sprawę. W zamian za obietnicę dedykacji zgodził się na spotkanie w kawiarni koło Bramy Świętej Anny.

Młody ksiądz V. zrobił na mnie sympatyczne wrażenie: ruchliwy, „wszechwiedzący” („za Spiżową Bramą trzeba wszystko wiedzieć”), o żywej inteligencji, preludium spotkania poświęcił interesującym uwagom o moim piarstwie. Potem podpisał mi przyniesione książki. Wreszcie wydukałem niesmiało: „Ja także miałbym pewną prośbę”. Z początku zmarszczył dość groźnie brwi, domyśliłem się jednak, że należy to do urzędowego rytuału. W samej rzeczy, po delikatnym naciśnięciu, otworzyły się rozmówcy krynice jego wiedzy, z niezbyt zamaskowanym zadowoleniem informatora „tak znanej i szanowanej osobistości”.

Jedno wiedział z całą pewnością: jego zwierzchnik wysłał rekomendacje do biskupa Potenzy i arcybiskupa Neapolu, zachęcony przez kogoś znacznieszego od niego w hierarchii kościelnej. Nie wiedział natomiast przez kogo, a w każdym razie zapewniał że nie wie, zbywając urażonym lekko milczeniem moje domysły.

Przed pożegnaniem odczuł nagle potrzebę zrekompensovania mi poważnego (jak sądził) zawodu. Wiele przemawiało za tym, że w młodej ciężarnej Polce, która postanowiła z matczyną miłością wydać na świat dziecko gwałtu, Watykan widział przykład. *Un preclaro esempio della virtù cristiana*, dodał i podniósł się od stolika.

Ledwie wróciłem z Rzymu do Neapolu, przyjąłem propozycję redaktora *Sud* i podałem datę mojego wyjazdu do Potenzy.

Potenza jest brzydkim miastem. Ciekawe że we Włoszech miasta średniej wielkości są albo bardzo piękne, albo bardzo brzydkie, jak gdyby natura włoskiej urody uznawała tylko ekstremy. Piękno posiada w miastach włoskich swoje wyraźne historyczne centrum i jego małe pochodne od dookólnych dzielnic aż do peryferii. Brak historycznego centrum, bądź jego nijakość, banalizuje i szarością powleka resztę miasta. Chodzić po nim to tyle co ocierać się o obrazy nie warte oglądu i pamiętania.

Atrakcją Potenzy, a raczej jej dość odległych okolic, jest

postać szesnastowiecznego madrygalisty i zbrodniarza Carlo Gesualdo, księcia Venosa. Zdaniem znawców (między innymi Aldousa Huxleya) był jednym z najświetniejszych kompozytorów madrygałów, zdaniem kryminalistów mało miał sobie równych w okrucieństwie. Zaażonawszy podstępnie w alkowie swego pałacu neapolitańskiego zdradę (od dawna podejrzewaną) urodziwej i młodszej od niego żony, kazał sługom nie tylko zabić, lecz posiekać kochanków na drobne kawałki. Zbiegł poza zasięg jurysdykcji neapolitańskiej, do rodzinnego majątku Venosa na zachód od Potenzy. Książki o nim, jego podobizny, albumy Venosa, bohomyzy przedstawiające scenę zbrodni, poematy ludowych *cantastorie*, płyty z nagraniami madrygałów są w mieście głównym artykułem turystycznym. I zapewne jedynym tytułem do chwały.

Hotel znajdował się rzeczywiście obok przystanku autobusowego, ale przyjechałem do Potenzy zbyt późno, by ryzykować przed wieczorem wyprawę do Macery. Zatelefonowałem jedynie na plebanię. Matka księdza a potem sam ksiądz nie ukrywali zadowolenia na wiadomość, że jestem Polakiem: „Nareszcie będzie mogła rozmawiać w swoim ojczystym języku”.

Znała istotnie tylko parę zdań serbsko-chorwackich, a dwumiesięczny pobyt we Włoszech nauczył ją tej szczególnej mowy włoskiej obcokrajowców „o twardym uchu”, która jest mieszaniną zniekształconych słów i pomocniczych gestów. Jej radość na mój widok była tak niepohamowana, że chwyciła mnie za rękę, musnęła wargami mój policzek i powtarzała „Mój Boże, dzięki Ci Boże”, jakbym był jej krewnym. W pewnym sensie byłem. Pochodziła z tych samych stron, jej ojciec był leśniczym w rejonie Zagnańska, w połowie drogi między Kielcami i Suchedniowem.

Siedzieliśmy w dobrze ocienionej altanie obok plebanii, był koniec sierpnia, nie skończył się jeszcze żar *solleone*. Z początku milczała, gładziła moją rękę, co jakiś czas ocierała chusteczką oczy i wciąż szeptała swoje „Mój Boże, dzięki Ci Boże”. Była, jak mi po przywitaniu powiedział na ucho ksiądz Pietro, w piątym miesiącu ciąży (dodał też natychmiast ciszej „nazywamy ją *Beata, Santa*, ale gniewa ją ta nazwa”). Jej półgodzinne chyba milczenie pozwoliło mi ją spokojnie obejrzeć.

W twarzach Polek częstsza stosunkowo, w porównaniu z innymi kobietami, jest miła i ujmująca przeciętność. Nie są ani piękne ani brzydkie, są — jak zwykle się mówi — przyjemne. Kto wie, czy Madonny nie powinny być wzorowane

na takich właśnie twarzach, bez renesansowej nadmiernej słodczy, lub posepnej gotyckiej dramatyzacji. Gdy patrzyłem na opartą o słupek altany Mariannę (wolała stać, niż usiąść na leżaku), przyszła mi na myśl *Brzemenna Madonna* Piero della Francesca z kaplicy w Monterchi: starsza od niej naturalnie, ale o twarzy z chłopską przyjemnej, bardzo regularnej w rysach i bardzo prostej w wyrazie przenikliwych oczu. Albo może to skojarzenie wywołał fakt, że Marianna miała dokładnie tak jak w obrazie włoskiego mistrza rozpiętą na brzuchu suknię; parę luźnych guzików, podkreślających jej stan w sposób, który kazał podejrzewać bliskość rozwiązania (a wiedziałem, że jest dopiero w piątym miesiącu). W tym wizerunku pominąłem jednak najważniejszą cechę: i w twarzy i w figurze była ledwie wyrosniętą dziewczynką, co szczególnie uderzało w układzie jej ust co jakiś czas, przelotnie, skrzywionych grymasem płaczu, lekkim drżeniem warg; jej oczy zasnuwała wtedy mgiełka wilgoci.

Za pierwszym razem, kiedy ochłonęła i przerwała milczenie, pograżyliśmy się bez reszty w ewokacji stron rodzinnych. Rzecz jasna, jej pamięć była żywsza, bo świeża po krótkiej rozłące: upłynęło wszystkiego półtora roku od jej wyjazdu z leśniczówki w okolicach Zagnańska. Przed moimi oczami, po tylu latach, przesuwaly się obrazy za grubą zmatowiałą szybą. Ale w końcu półmartwa pamięć ożyła, dotrzymywałem coraz dzielniej kroku mojej młodziutkiej rozmówczyni. Zbieraliśmy jagody i grzyby w gęstych lasach zagnańskich, płoszyliśmy zające na polanach i w porębach, łowiliśmy kielbie pod kamieniami w strumieniach i większe ryby w rzekach, wzdłuż toru kolejowego, żeby nie zabłądzić, szliśmy do starego i ciemnego boru w Tumlinie; znała nasz Ciemny Staw w Berezowie, bo tamtędy jeździła z matką do Michniowa i do Wzdolów, gdzie mieszkali ich krewni, również zatrudnieni w administracji Lasów Państwowych. Była tak podniecona tymi wędrownkami, taka szczęśliwa! Może to tłumaczy i częściowo usprawiedliwia mój błąd. Zapytałem mianowicie, dlaczego nie wraca do domu, by tam urodzić dziecko, zamiast korzystać z gościny zacnych na pewno lecz obcych ludzi, z którymi w dodatku nie łatwo potrafi się porozumieć. Zaczerwieniła się gwałtownie, odwróciła w bok głowę i obie ręce położyła bez słowa na brzuchu. Zrozumiałem mój karygodny doprawdy nietakt i szybko wróciłem do naszej nostalgicznej, pogodnej włóczęgi. Spojrzała na mnie ukradkiem z wdzięcznością. Jak mogłem nie odgadnąć, że jej

postanowienie nie wymazało poczucia niezawinionej hańby? A hańbę, wiadomo, odczuwa się najboleśniej wśród najbliższych.

Wróciłem wieczorem do Potenzy i bez kolacji położyłem się na hotelowym łóżku, rozgryzając w myślach gorzcy wstydu. Zapewne — słaba to pociecha! — zdawałem sobie podświadomie sprawę, że propozycja redaktora gazety była jednym z tych szaleństw, które odsłaniają dwuznaczność (żeby nie powiedzieć więcej) dziennikarstwa. Ale w pełni uprzytomniłem to sobie dopiero teraz. Było oczywiste, że o wszystkim mogłem mówić z moją młodą krajanką, z *wyjatkim* tego co ją spotkało w Gorazde. Musiałem moim zachowaniem odsunąć jej nieszczęście w niebyt. Musiałem być dla niej źródłem odprężenia, a nie wzmożonego napięcia. Nie wolno mi też było zdradzać, w jakim charakterze przyjechałem z Neapolu; na szczęście ksiądz Pietro przedstawił mnie jako Polaka, którego arcybiskupstwo neapolitańskie namówiło do odwiedzenia rodaczki na probostwie koło Potenzy.

Nazajutrz rano zamierzałem całą sprawę wyjaśnić w rozmowie telefonicznej z redaktorem *Sud*. Przed zaśnięciem prześladował mnie ostatni obraz wywieziony z Macery. Grupka starych ludzi (z Macery? z Potenzy?), mężczyzn i kobiet, przyszła do altany obok plebanii, prowadzona przez nie znanego mi, bardzo młodego księdza. Dotykali palcami brzucha Marianny, po czym całowali je i składali pobożnie dłonie. Dziewczyna uciekła, dosłownie uciekła, z altany, i w popłochu zapomniała pożegnać się ze mną. A ja, odruchowo, przypomniałem sobie panujący na Południu zwyczaj dotykania palcami, i całowania ich po dotknięciu, trumny wynoszonej z kościoła do karawanu.

Zaskoczył mnie swoją wrażliwością redaktor *Sud*, którego uważałem za klasycznego dziennikarza, gotowego do polowania na każdą sensację bez jakichkolwiek moralnych skrupułów, *by hook and crook* jak mówią Anglicy. Wysłuchał mnie, nie przerywając ani razu, mimo że przygotowałem sobie dość długie wyjaśnienie. Kiedy skończyłem, w telefonie zapanowała dłuższa pauza. „Rozumiem pana doskonale — powiedział wreszcie, — na pana miejscu postąpiłbym dokładnie tak samo. Ale skoro zapłaciliśmy w hotelu na tydzień z góry, radzę panu wykorzystać to do końca i codziennie odwiedzać pana rodaczkę. Potrzebuje tego”. Byłem wzruszony i dałem mu to odczuć.

Ślubowałem sobie wystrzegać się wszelkich najmniejszych choćby aluzji na temat serbskich przeżyć Marianny i ignoro-

wać jej ciężę, to prawda; lecz pod tą prawdą kryła się inna, niemożliwa do opanowania ślubem: wszystkie moje myśli krążyły bez ustanku wokół rzeczy zakazanych surowo słowom. Więc patrzyłem na jej półdziecinną twarz, mówiłem aż za dużo nawet i za żartobliwie, byle tylko wywołać jej uśmiech i iskierkę wesołości w jej oczach, a równocześnie myślami byłem daleko, *tam*. Nie było na to żadnej rady, jak nie było rady na mój wzrok, który od czasu do czasu, błyskawicznie, bezwiednie, przywierał do jej brzucha. Pocięczałem się, że nie dostrzega mojego rozdwojenia, że zdołałem jej narzucić konwencję rosnącej zażyłości i sympatii *mimo* jej przeszłości i jej stanu. Cieszył mnie każdy drobny znak, że nabiera do mnie zaufania i odgina się, rozpręża pod niesionym ciężarem.

Z gazet wiedziałem, że kobiety uwolnione z serbskiej niewoli „etnicznej” miały ułatwione starania o pozbycie się ciąży, jeśli tego chciały; jeśli instynkt życia był w nich dość silny, by nie pograżać się dzień po dniu w rojeniach samobójczych. Co przeważało u Marianny? Nabożność nabyta w domu, wpojona jej od dziecka przez rodziców? Czy nieodparty impuls macierzyński? Nieodparty *wbrew* okolicznościom poczęcia, *wbrew* podeptaniu chrześcijańskiej zasady, że dziecko winno być płodem miłości, a nie nienawiści. Nie miałem nawet pewności, czy jest do nienawiści zdolna, z tą swoją dziecinną twarzyczką, z oczami przezroczystymi w swej czystości. A może nakłonił ją do macierzyństwa katolicki zakonnik z misji w Sarajewie, może wydał jej się rzecznikiem jej ojca? Może, zbyt krucha i dziecięca, nie potrafiła się oprzeć jego naleganiom? W jakim języku do niej przemawiał? Nie było odpowiedzi na te milczące pytania, które mnożyły mi się w myślach. Jedno ciągnęło za sobą następne i następne, nie było im końca, a ja brałem w dłonie jej rękę, przyciągałem ją do siebie jak skrzydzoną i oniebiałą córkę. Robiłem to tym śmieiej, gdy raz nie pytana wyznała, że nie ma i nie chce mieć kontaktu listownego z rodzicami. Widocznie narzucone sobie sieroctwo pomagało jej znieść ciężką próbę.

Mój tydzień zbliżał się do końca, pilne obowiązki wzywały mnie do domu. Ostatniego dnia pojechałem do Macery bardzo wczesnym autobusem, żeby zdążyć na powrotny autobus o pierwszej i na pociąg do Neapolu o drugiej.

Marianna spała jeszcze w swoim małym pokoiku tuż przy altanie. Zajęła się mną matka księdza Piotra, poczęsto-

wała mnie kawą w altanie. Jej syn, już po mszy porannej, przyjmował wiernych w stołowym na plebanii, zamienianym codziennie rano na „biuro”. Dochodziły stamtąd przytłumione głosy, proboszcz wyraźnie dbał o ciszę. Dbała o nią także jego matka, ale w szczególny sposób, typowy dla ludzi starych, z zatroskaną twarzą depozytariuszki jakiejś tajemnicy. Tajemnica, a właściwie udręka niepokoju, dotyczyła naturalnie Marianny. Zdarzało się, że — jak dzisiaj — budziła się bardzo późno, a poranne godziny snu były dziwne, Boże jak dziwne, bardziej niż do snu podobne do długiego omdlenia: nie poruszała się, była biała białością pościeli, zdawała się nie oddychać, ręce spletała na brzuchu jak umarła przygotowana do pogrzebu. „Lekarz z Potenzy rozproszył nasze, moje i syna, obawy, ale można lekarzom wierzyć? Ile się opowiada o ich błędach i omyłkach! Niech pan sam zobaczy, uchylę tylko drzwi, wystarczy szpara”.

Istotnie, w półmroku pokoju, przy zamkniętych żaluzjach, widok był niepokojący. Starłem się złowić wzrokiem minimalny bodaj ruch na szyi, drgnienie skóry lub żyły, wpatrywałem się w otwarte szeroko usta, w dłonie skrzyżowane martwo na brzuchu, w oczy zasłonięte ciężkimi powiekami. Było w tym coś ze snu bez oddechu.

Dziewczyna przyszła do altany dokładnie w południe, z wybiciem dzwonu na wieżycze kościoła. Siadła naprzeciw mnie na leżaku, wyplątywała się jeszcze ze snu. Pierwszy raz dostrzegłem w niej coś w rodzaju podwójnej reakcji. To gładziła w zadumie swój brzuch z uśmiechem szczęścia czy zadowolenia, z uśmiechem wszystkich brzemiennych matek; to prawą dłonią odpychała jak gdyby od siebie swój płód, i na okamgnienie zaostrzały jej się rysy twarzy w grymasie niechęci, może nawet cierpienia.

Zostało nam mało czasu na pożegnanie. Wstała z leżaka i z najzupełniejszą swobodą, bez cienia nieśmiałości, objęła mnie ze łzami w oczach i oparła głowę na moim ramieniu. „Pamiętam — pocieszałem ją, — że Don Pietro ma na plebanii telefon. I że podróż z Neapolu do Potenzy trwa zaledwie cztery godziny”.

Po dwóch krótkich rozmowach odgadłem, że nie lubi telefonu. Więcej — lęka go się z jakichś powodów. Za trzecim razem kazała matce księdza Piotra przeprosić mnie i zawiadomić, że jest zmęczona i nie czuje się na siłach podreptać do aparatu na końcu korytarza. Przerzuciłem się na listy, odpowiadała szybko i ładnie, stylem dobrej uczennicy

wyćwiczonej w dodatku w klarownej kaligrafii. Każdy jej list zawierał pytanie, kiedy znowu przyjadę. „Chciałabym choć trochę porozmawiać w naszym ojczystym języku. Po włosku nie nauczę się chyba nigdy, chociaż ksiądz Piotr Scoppola i jego matka pani Małgorzata są cierpliwi i bardzo dla mnie dobrzy”.

W drugiej połowie października powstała dłuższa luka w moich zajęciach, mogłem więc ją łatwo wykorzystać na wizytę u Marianny i jej opiekunów. Ociągałem się jednak, odkładałem wyjazd z dnia na dzień, aż wypchnął mnie w ciągu kilku godzin z domu pakiet redaktora *Sud*. Dostałem go późnym wieczorem, zabrałem się natychmiast do lektury, a o świcie siedziałem już w pociągu do Potenzy.

Było to ustne, spisane przez członków międzynarodowej Komisji Obrony Praw Człowieka, świadectwo czterdziestoletniej Bośniaczki, bezdzietnej wdowy, która podała co prawda imię i nazwisko i swój adres w Gorazde, lecz ja wolę te dane pominąć. Odznaczała się niegdyś — informowali członkowie Komisji — dużą urodą, stanęła przed nimi stara, zniszczona kobieta. Stanęła z własnej woli, przez nikogo nie zapraszana i nie zachęcana, od pierwszych zdań widać było, że chce za wszelką cenę świadczyć, i to możliwie dokładnie, bez omijania najbardziej wstydliwych szczegółów, uważając swoje zeznanie za podwójną karę: wymierzoną oprawcom i wymierzoną sobie samej za rolę bezwolnej ofiary, niezdolnej do aktu rozpaczki i odwagi. To drugie było nawet w świadectwie silniejsze, wydawało się niekiedy, że autorka relacji znęca się nad sobą ze swoistą, niepohamowaną delektacją, jakby to było jedyne co jej jeszcze w życiu zostało. Lecz — co również uderzało — zachowując chłodną, i rewoltującą chwilami, precyzję w opowiadaniu.

Należała do grupy stu osiemdziesięciu młodych i mniej lub więcej przystojnych kobiet, które zgarnęła w Gorazde sieć „etniczna” zarzucona przez żołnierzy serbskich. Wystarczyły związki bośniackie, także luźne lub zupełnie przypadkowe (w tym miejscu dowiedziałem się o jaką grupę chodziło, w świadectwie mianowicie znalazłem wzmiankę o młodej Polce, która miała dwie półbośniackie siostrzenice). Celem formalnym było „poprawienie rasy”, w rzeczywistości chodziło naturalnie o stworzenie żołdackiego domu publicznego. Kobiety trzymane były najpierw w zamkniętym baraku, gdzie żołnierze przychodzili nocą, wybierali partnerki i na oczach reszty załatwiali swoje męskie potrzeby. Z początku związane to było z biciem aż do krwi opornych

nałożnic. Potem opór osłabł, zastąpiła go oteęiała bierność. Można średnio przyjąć, że każda kobieta gwałcona była w ciągu nocy wielokrotnie przez trzech żołnierzy. Kolejny okres narzucił pragnienie większej „intymności”, żołnierze zabierali upatrzone kobiety do swoich koszarowych pomieszczeń. W końcu zainstalowano w baraku telefon i wybierane kobiety były wzywane i odprowadzane do „adresata” przez jednego z pięciu wartowników „służby wewnętrznej”. Po czterech miesiącach zwolniono i rozpedzono mieszkanki baraku. W tym czasie, zdaniem autorki świadectwa, jedna trzecia a może więcej oczekiwała dziecka. Owszem, słyszała o samobójstwach, ale nie zna ich dokładnej cyfry. Przemozny był pęd do aborcji. Ona sama, z trzymiesięczną ciążą, pierwsze kroki skierowała do znajomego ginekologa.

Świadectwo liczyło około siedemdziesięciu stronich masywniejszego i przełożone było (na użytek prasy światowej) na angielski, francuski, niemiecki i włoski. Od redaktora *Sud* otrzymałem egzemplarz włoski z dopiskiem: „Zwrot do archiwum redakcyjnego”. Rzecz jasna, przemilczę tu całkowicie „szczegóły”, które tak szczerą ręką, z takim pragnieniem zadania sobie bólu, rozsiała w świadectwie jego autorka. Od dawna jestem zdania (coraz bardziej lekceważonego, a nawet wyszydzanego na świecie, zarówno w gazetach, pismach i telewizji, jak w literaturze), że istnieje pewna nieprzekraczalna granica tego, co wolno ludziom powiedzieć o ludziach.

Redaktor dokumentu, członek Komisji któremu dano go do oszlifowania, miał widocznie dość pretensjonalne ciągoty literackie, postanowił bowiem poprzedzić świadectwo osobliwym mottem: *Para eso habéis nacido*, Po to was wydano na świat. Był to tytuł akwaforty Goyi z *Los desastres de la guerra*, przedstawiającej zwały partyzanckich trupów i świadka zbrodni, który przyglądając się im nie może powstrzymać wymiotów.

Przyjechałem do Potenzy rano, sklepy i bary były już otwarte, znalazłem skromniejszy hotel też niedaleko przystanku autobusowego do Macery. Jakiś blok psychologiczny powstrzymywał mnie od natychmiastowego wyjazdu do Macery. Pogoda była jesienna, zwykły na Południu październik mroczny, duszny i dżdżysty. Nie było sensu powłóczyć się trochę po szpetnej łaźni tureckiej miasta. Wziąłem w hotelu nadpsuty prysznic i rozsiadłem się, zmęczony podróżą, w fotelu koło okna. Okno wychodziło na małą uliczkę, z

dziwną ulgą przyglądałem się rzadkim przechodniom. Szukałem sposobu na uspokojenie nerwów, roztrzęsionych lekturą w pociągu.

Jeszcze raz przekonałem się, jak ułomne jest działanie wyobraźni. Zanim przeczytałem raport, dzięki własnym doświadczeniom życiowym i nakazowi maksymalnego realizmu miałem jakiś obraz serbskiej „czystki etnicznej”. Był on grubo poniżej rzeczywistości.

Prawdziwy obraz czynił wręcz niewiarygodnym wizerunek Marianny. Czy to możliwe, żeby przeżywszy wszystko co przeżyła była taka jaka jest, a raczej taką jaką poznałem, dziewczynką wrośniętą mocno w swoje dzieciństwo, duchowo zdawało się nietkniętą? I czy potrafię moją nową i pełną wiedzę odepchnąć w niepamięć, patrząc na nią i rozmawiając z nią? Nie będzie wielkiej przesady w twierdzeniu, że lękałem się teraz spotkania z Marianną.

Zjawiłem się na plebanii w godzinach popołudniowych, wywołując radość całej trójki. W oczach księdza i jego matki dostrzegłem cień jakby troski, w oczach Marianny czystą radość. Wybierała się właśnie na wizytę kontrolną do Ambulatorium (Macera szczyliła się dobrą służbą sanitarną), bez wahania zgodziłem się towarzyszyć jej zamiast proboszcza. Miły i kulturalny lekarz, dziecko Macery, był zadowolony z wyniku oględzin. Przewidywał rozwiązanie w grudniu, ostrzegał że niekiedy odzywa się wcześniej gorączka połogowa (Marianna, której przełożyłem jego ostrzeżenie, skinęła głową). Zalecał, prócz przepisanych już dawniej pastylek i syropów wzmacniających, co najmniej dwie godziny leżenia w ciągu dnia i spaceru. Nadarzała się właśnie okazja do spaceru. Wzięła mnie pod rękę, zawisała na niej z ufnością córki; tak zapewne widzieli nas mieszkańcy Macery, jako ojca i córkę przytulonych do siebie z rodzinną poufałością. Marianna była wciąż przedmiotem powitań i życzeń ze strony przechodniów, i może tylko to było dla niej zakłóceniem przyjemności długiej przechadzki, którą wypełniał prawie bez reszty jej głos rozgadanej jak nigdy dotąd dziewczyny. Nie dziwił ten pęd do mówienia po okresie postu konwersacyjnego. Byłem rad i dla niej i dla siebie: dla siebie, bo rzeczy przeżywane w myślach wymagały milczenia.

Wróciliśmy do domu przed zmierzchem, ksiądz i jego matka przypomnieli Mariannie obowiązek dwugodzinnego „leżenia”. Pokornie, bez sprzeciwu, weszła do swego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Siedzieliśmy w trójkę w kuchni, popijając cienkie wino. Cień jakby troski dostrzeżony przeze

mnie na twarzach gospodarzy zaraz po przybyciu na plebanie miał, naturalnie, swoje źródło. Przyciszonymi głosami, niemal szeptem, opowiedzieli mi że ich podopieczna czasem (nie zawsze) mówi coś w trakcie popołudniowej drzemki. Mówi, rzecz jasna, w swoim języku ojczystym, którego nie rozumieją. Nie można przecież być pewnym, że są to majaczenia bez znaczenia, ot zdania które wypływają na powierzchnię płytkiego snu. A jeśli mówi coś, czego nie ośmiela się powiedzieć do nich na jawie? Jeśli ma jakieś życzenia? Raz ksiądz wszedł cicho do jej pokoju i przyglądał się jej od progu. Uderzyła go jej zmieniona twarz, pozbawiona zwykłej słodyczy; zastanowiło go również, że w nieznany mu języku jej słowa brzmiały charkotliwie. Może przesadzają, może niepotrzebnie się martwią, ale chcieliby bym ja posłuchał tego co mówi przy najbliższej sposobności. Bo teraz — słyszy pan jak cicho? — nic Bogu dzięki nie zmąca jej spokojnej drzemki.

W dwa dni później pojawiła się owa „sposobność”. I to tak gwałtownie, że gospodarze unieśli się z krzesel, spojrzawszy na mnie błagalnie i pytająco zarazem. Wszedłem na palcach do jej pokoju (pierwszy raz!), nie puszczając naciśniętej delikatnie klamki. Pokój był przyciemniony żaluzjami, na nagiej ścianie naprzeciw drzwi, nad jej łóżkiem, wisiał portret fotograficzny papieża. Za wezgłowiem łóżka stał wysoki krucyfiks, a pod nim dość wysoki także klęcznik. Leżąca nie tylko mówiła, nie tylko wyrzucała z siebie jakieś słowa, ale właściwie niezbyt głośno krzyczała, jak gdyby dławiąc się w wysiłku powstrzymania wybuchu płaczu. I, sądząc po jej twarzy o ściętych ostro rysach, wybuchu furii. Na wznak, w rozpiętej całkowicie sukni, jej wzdęty brzuch wyglądał jak na chwilę przed pęknięciem. Pochyliłem się nad nią, usiłując dokładnie złowić wypowiedane przez nią słowa. Gdyby mnie ktoś zobaczył w tej pozie, zdumiałby się pewnie wyrazem mojej twarzy: jestem przekonany, że na przemian oblewała ją gęsta krew rumieńców i odpływała ustępując miejsca kredowej bladości.

„Ach, to zrozumiałe — powiedziałem gospodarzom, czekającym na mnie pod ostrożnie zamykanymi drzwiami, — że miewa niekiedy nawroty bolesnych wspomnień z Jugosławii”. Gospodarze westchnęli razem jak na komendę. Naza jutrz rano wezwano mnie do Neapolu. Byłem rad z tego wezwania. Umówiłem się z gospodarzami, że przyjadę znowu około 10 grudnia, lekarz przewidywał rozwiązanie na połowę grudnia. Zaproponowali mi, żebym zamieszkała na plebanii w

małej lecz zupełnie znośnej klitce obok pokoju Marianny.

Pierwsze dni w domu, po załatwieniu pilnych spraw bieżących, były próbą ochłonięcia. Szczególnie wieczorami, wyrawszy się z rutyny codziennej pracy, to siadałem przy stole nad notatkami przywiezionymi z Potenzy (robionymi na skrawku papieru w pociągu), to krążyłem po pokoju jak dzikie zwierzę w klatce w przystępie nagłego rozdrażnienia.

Na skrawkach papieru zanotowałem słowa, wyrażenia, okrzyki, zdania wyłuskane z półsennego bredzenia Marianny. Nie przytoczę ich tutaj, jak nie przytoczyłem wcześniej fragmentów choćby świadectwa bośniackiej wdowy, spisane przez członków Komisji międzynarodowej. Z tych samych powodów. Istotne jednak były nie takie czy inne, rewoltujące, przyprawiające o zgrozę i mdłości, strzępy Zła, którymi lubią epatować (i zatruwać) tzw. „przeciętną publiczność” dziennikarscy i „literaccy” łowcy tzw. „nagiej rzeczywistości bez osłonek”. Istotne było zawsze i jest nadal samo Zło.

Nie pamiętam już któremu sławnemu pisarzowi należy przypisać twierdzenie, że literatura jest bezustannym rozmyślaniem o śmierci. Dodałbym: i o potędze Zła. W jednym i drugim wypadku literatura usiłuje zrozumieć niezrozumiałe, uchwycić nieuchwytnie, rozjaśnić bodaj trochę „jądro ciemności”. Ale postępuje zazwyczaj tak, jak gdyby wyraźna linia demarkacyjna oddzielała Życie od Śmierci, Dobro od Zła. A dla mnie ważne, jakkolwiek trudne do przeniknięcia, było i jest pogranicze, ta (żeby użyć porównania) conradowska „smuga cienia”, która oznacza bezruch, martwe trwanie wśród zaczajonych żywiołów. Nie ma śmierci, niedostępnej w bezpośrednim doświadczeniu, poza granicami życia. Nie ma Zła, skradającego się podstępnie z oddali, poza granicami Dobra. Panuje tu prawo osmozy.

Panuje doprawdy, czujemy je? Na pozór tak, co więcej — wydaje nam się banalne. Ale co innego jest wiedzieć o nim, a co innego zobaczyć je. Jak ja, który pod wulgarnymi słowami i stężałym, wykrzywionym obliczem Marianny widziałem jej czystą, dziecięcą twarzyczkę.

Nawiązaliśmy ponownie korespondencję. Nie zważając na moje krótkie i, bywało, zdawkowe odpowiedzi na widokówkach neapolitańskich (od wielu lat taki znalazłem sposób na mój antytalent epistolarny), pisywała listy coraz dłuższe i z coraz większym smakiem. Postanowiła opowiedzieć mi o sobie wszystko od najwcześniejszego, zachowanego w pamięci-

ci, dzieciństwa do matury zdanej w koedukacyjnym gimnazjum w Skarżysku. Bez wątpienia, opowiadała mi to wszystko, nie żałując przesadnych i śmiesznych wręcz drobiazgów, dla ulżenia swojej samotności. Poza tym wiedziała, że jestem pisarzem, może więc jakąś zachętę stanowił i ten fakt, gdyż jej wysiłki by pisać *ładnie* były aż nadto widoczne. Na krótko przed rozwiązaniem i moim wyjazdem do Macery wspomniła mimochodem, delikatnie, chciałoby się powiedzieć: zarumieniona, o swoim „chłopcu” w skarżyskim gimnazjum. Żyła jednak w zbyt surowym domu, pod zbyt czujnym i gorliwym okiem rodziców i zagnańskiego księdza, aby to pączkujące uczucie mogło zakwitnąć. Zresztą, po przedwczesnym i celującym zdaniu matury wysłano ją w nagrodę do starszej siostry w Bośni.

Zastanawiałem się nad źródłami mojego przywiązania do Marianny. Główna przyczyna była, jak sądzę, po prostu taka, że przykuło mnie do siebie nieszczęście Marianny. („Czy ty przypadkiem — powiedział mi kiedyś bardzo bliski przyjaciel, — nie kochasz się w każdym ludzkim cierpieniu?”). Jeszcze zanim ją poznałem, z oburzeniem niemal przyjąłem apel Kościoła do kobiet w jej położeniu, żeby zdobyły się na chrześcijańską odwagę rodzenia także dzieci gwałtu i nienawiści, tłumiąc w sobie pokusę spędzenia płodu i na przyszłość odkładając chrześcijańską, naturalną tęsknotę do dzieci miłości. Marianna, niezależnie od otaczającej ją atmosfery „świętości” zaaranżowanej według mnie przez kręgi kościelne, budziła mój podziw, bo była na nią niewrażliwa, obojętna z domieszką wręcz irytacji. Czemu więc postanowiła urodzić dziecko gwałtu? Jak przemogła w sobie gniew poharńbionej, odartej z godności, sponiewieranej, bitej i lżonej, a mimo to wsłuchanej w sygnały rodzącego się życia, które rosło w niej i dojrzewało, każdym ruchem podminowując jej własne życie? To mnie fascynowało, to przyciągało mnie do niej z nieodpartą mocą. Nie, nie była dla mnie „błogosławiona, święta”, była tworem instynktownej wielkoduszności i dobroci, zadziwiającej w jej wieku. I jeszcze jedno, czego w imię pełnej prawdy nie wolno mi ukrywać: od chwili gdy usłyszałem jej półsennie majaczenie i zobaczyłem jej odmienioną twarz, polubiłem ją jeszcze bardziej za splot i walkę ludzkich antynomii. Nie chciałem by była oleodrukową „czystą świętą”; chciałem by była „świętą” realną, czyli głęboko skażoną.

Dotrzymałem słowa, 10 grudnia zapukałem do drzwi plebanii. Ulokowano mnie w ciasnym pokoiku obok pokoju

Marianny. Ciasnota była bez większego znaczenia, skoro od pierwszej chwili stało się jasne, że mam u siebie jedynie spać (i to gotów do zerwania się z połowego łóżeczka na każde zawołanie sąsiadki), a w dzień i gospodarze i po cichu Marianna oczekiwali mojej stałej asysty u jej wezglowia. Z początku nie byłem pewien, czy życzyła sobie także Marianna, tak delikatna, tak alergiczna na wszelkie okazywanie jej nadmiernej opieki. Potem dowiedziałem się, że był to jej pomysł, którego nie śmiała mi podsunąć wprost, obarczyła nim więc księdza Piotra i jego matkę, prosząc o zachowanie sekretu. Ogarnął ją naraz strach o krok od porodu. Cięża była ciężka, jeśli można się tak wyrazić, dziewczyna z trudem poruszała się po pokoju, z ulgą — jak do przystani — docierała do łóżka. Zestarzała się wyraźnie, poorana wąskimi zmarszczkami i bruzdami, aby niekiedy — na krótko — odzyskiwać dawną świeżość ze swoim ślicznym, dzieciennym wykrojem ust. Nie opierała się, gdy głaskałem jej dłoń a czasem zamykałem ją w moich dłoniach, przeciwnie uśmiechała się z wdzięcznością. Zdarzało mi się też gładzić jej twarz i całować ją lekko w policzki, zawsze wtedy wyciskając łzy z jej oczu. Pragnęła czułości, jak strudzony wędrowiec wody na pustkowiu. Rozmawialiśmy wciąż o naszych stronach rodzinnych, nigdy bym nie przypuszczał, że tyle można o nich powiedzieć, natomiast ani razu słowem nie wspomniała o pobycie w Bośni, nawet o szczęśliwych chwilach przed wybuchem wojny. Przysięgłbym, że podczas ataków gorączki połogowej lub poobiednich drzemek traciła do tego stopnia kontakt z samą sobą, że *inna* Marianna nie odciskała w niej najmniejszego śladu. Wynurzała się z brudnych i złych odmętów jak nowo narodzona, po całkowitym zrzuconiu powłoki tej metamorfozy, którą ja — patrząc i słuchając — przeżywałem z uczuciem wzburzenia.

Młody lekarz z Macery wpadał co dwa trzy dni, spodziewał się porodu lada chwila. W Ambulatorium urządził specjalną dla niej salkę, zapewnił sobie też obecność dobrego ginekologa z Potenzy, bo o zawiezieniu jej do szpitala w Potenzy wyboistą drogą nie było mowy.

Egzaltowana gadatliwość księdza Piotra, jego „religijna” aluzyjność (kalendarzowa na przykład, zbliżało się Boże Narodzenie), jego gestykulacja (wciąż składał pobożnie ręce i wznosił wzrok ku niebu) — wszystko to sprawiało, że z dnia na dzień mnożyły się wizyty „pątników”, i z Macery i z Potenzy. Chcąc nie chcąc, zacząłem odgrywać rolę dość brutalnego stróża Marianny. Nikt, prócz mnie i matki księdza,

nie miał prawa przestąpić progu jej pokoju.

Bóle porodowe zaczęły się 19 grudnia przed wieczorem. Przeniesiono ją natychmiast, pod stosem koców i krzyczącą, do Ambulatorium. Stamtąd słyszałem na plebanii jej krzyk, podobny do czkawki, i to była moja jedyna z nią łączność. Do Ambulatorium nie wpuszczano osób postronnych, takie polecenie wydał młody lekarz miejscowy, podobno na polecenie ginekologa z Potenzy, który zapowiedział swój przyjazd za pół godziny. Piszę „podobno”, z Ambulatorium bowiem ciągle ktoś przybiegał na plebanie. Podobno doktor z Potenzy przyjechał z biskupem z Potenzy, witany przez księdza Piotra. Siedziałem w kuchni z matką księdza, spoglądaliśmy na siebie w milczeniu strwożeni nasilaniem się krzyku. Ustał wreszcie o dziewiątej. W kwadrans później do kuchni wpadł ksiądz Piotr. *Taglio cesareo*, mamrotał przerażony, cesarskie cięcie. I wybiegł do kościoła.

Dalszy ciąg jest streszczeniem chaotycznych relacji z ulicy. Urodził się chłopiec, wyjątkowo duży, a matka zapadła w głębokie omdlenie. Nie reagowała później, o północy, na próby przystawienia jej dziecka do piersi. Księdzu zezwolono na pięciominutową wizytę w Ambulatorium. Nie chciał nic o niej powiedzieć, ciągle tylko żegnał się i modlił szeptem.

Marianna umarła nazajutrz o świcie, 20 grudnia. W południe otworzono bramę kościoła. Na szczęście nie można było zbliżyć się zanadto do zmarłej, obstawionej gęsto palisadą długich i cienkich świeczek, odpadała więc obawa że ludzie z tłumy rzucą się do całowania trumny. Marianna miała spokojną, łagodną twarz, bardziej niż o pogrzebie kazała myśleć o Pierwszej Komunii. Między palce splecionych dłoni wetknięto jej mały krucyfiks. Między piersiami położono owalny medalion z wizerunkiem Madonny. Dziecko zabrały zakonnice z Potenzy.

Mszę żałobną odprawiał 22 grudnia biskup Potenzy w asyście księdza Piotra. On też przemawiał nad grobem, zasypianym kwiatami i wieńcami. Nie słuchałem go uważnie, rozjątrzeniem nappełnił mnie główny motyw *un preclaro esempio della virtù cristiana*. Było zimno, dął wiatr, szybko spadały na wieko trumny twarde grudki ziemi, tłum rozpełzł się biegiem jak zmarznięte stado owiec. Rzuciłem moją grudkę, uściskałem księdza Piotra i jego matkę, zziębnięty powlokłem się na plebanie po moją torbę. Nieznajomy z Potenzy zabrał mnie swoim samochodem na dworzec.

W połowie kwietnia następnego roku odwiedził mnie w



Neapolu młody lekarz z Macery. Uśmiechałem się mimo woli w duchu, słuchając jego opowieści. Był praprawnikiem flaubertowskiego aptekarza Homais, antyklerykalnym „postępowcem”, tyle że inteligentnym i dowcipnym. Nie mógł zrozumieć śmierci Marianny, wszystko zostało zrobione jak należy, również szanowny kolega z Potenzy zdręczał się myślą co powie biskupowi Potenzy (pojmujecie pan?). Dziecko? Zdrowy i silny chłopiec, zgodziły się nim zająć Siostry Urszulanki z Avellino. Don Pietro? Ciągłe w poszukiwaniu cudów *ad majorem Dei gloriam*, opowiada że słyszał zaraz po pogrzebie dźwięki z grobu, jakby nie umarła ze wszystkim. Przed miesiącem była ekshumacja w obecności watykańskiego *monsignore* i lekarza z Rzymu, co nasz Don Pietro uznał za kolejny przepisowy krok w procesie beatyfikacji. Ale wie pan, od tygodnia zmarmotniał, nic nie mówi, widocznie ktoś z góry zahamował jego elokwencję.

Elokwentny był też doktor z Macery, odetchnąłem z ulgą, odprowadzając go do stacji metra.

Intuicja podpowiedziała mi, że powinienem zobaczyć księdza V., sekretarza wpływowego kardynała z Kurii Rzymskiej. Drogę do ponownego spotkania uTORował mi szczęśliwy traf, mianowicie pod koniec lipca ukazała się moja nowa książka po włosku, a równocześnie katolickie wydawnictwo na Północy wydało książeczkę księdza V. o Świętym Franciszku. Kupiłem ją, przeczytałem (była bardzo ładna), napisałem więc do księdza V. list z komplementami i dołączyłem go do egzemplarza mojej książki z czułą dedykacją.

Po tygodniu przyszła odpowiedź. Ksiądz V. był w siódmym niebie, nie próbował nawet ukryć swojej euforii. Zapropował spotkanie. Zaprosiłem go na obiad w milej knajpcie koło Watykanu 7 sierpnia. Przyjął zaproszenie i termin.

Z góry wiedziałem, że powodzenie mojego przedsięwzięcia zależy przede wszystkim od tego, czy potrafię być na chwilę aktorem. Skoncentrowałem się tedy od początku na jego książeczce i nie dopuszczałem do głosu jego pochlebnych uwag rewanżowych o mojej książce. Przychodziło mi to tym łatwiej, że przestudiowałem uważnie na początku roku ogromne dzieło historyczki Kościoła z uniwersytetu pizańskiego o problemie „stygmatów Świętego Franciszka”, dzieło imponujące erudycją i umiejętnością wykładu. Rzecz prosta, znał je również ksiądz V., toteż nasza rozmowa, zakrapiana obficie winem, była erudycyjnym turniejem, z moimi pochwal-

nymi wtrętami o jego książce.

Przy kawie i koniaku zdecydowałem się obsunąć lekko maskę. Przypomniałem mu od niechcenia, *en passant*, naszą poprzednią rozmowę. Utkwił we mnie wzrok. Nie opuściłem oczu, wiedziałem że mnie wypróbować; i że się waha. W tym pojedynku na spojrzenia, w tym skrzyżowaniu spojrzeń, które trwało nieznośnie długo, wytrzymałem jednak do końca. Wychylił jeszcze jeden kieliszek koniaku i zamyślił się, nerwowo ocierając serwetką czoło.

Muszę mu oddać sprawiedliwość. Z ożywionego i eleganckiego interlokutora przeistoczył się w okamgnieniu w człowieka głęboko i szczerze wstrząśniętego, bez cienia udawania. „To jest tragedia, straszna tragedia” — powtarzał. Widać było jak bardzo jest przejęty, obwisły mu nagle małe otorbienia pod oczami, mimo wentylacji pot pokrył mu czoło dużymi kroplami.

Nie potrafię odtworzyć dokładnie jego opowieści (przerwanej od czasu do czasu suchym szlochem i zwrotem „wrzucam to do pana duszy jak do głębokiej studni”), z konieczności podaję reasumpcję, żałośnie suche streszczenie „strasznej tragedii”.

Ta euforyczna wiadomość księdza Piotra o dźwiękach dochodzących z grobu nazajutrz po pogrzebie, przekazana w zupełnie innej tonacji przez kurię biskupią w Potenzy, zaalarmowała odpowiednią dykasterię watykańską (dykasterię procesów beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych). Do Macery wybrał się rzymski prałat w towarzystwie lekarza na służbie Stolicy Apostolskiej. Zarządzono ekshumację, do której nie dopuszczono nikogo z wyjątkiem dwóch zaprzysiężonych grabarzy z Rzymu. Otwarte wieko trumny odsłoniło zmarłą przewróconą na bok, o twarzy przekrzywionej w grymasie przestachu, o oczach rozwartych szeroko i tak na wieki znieruchomiałych, o rozczapierzonych dłoniach z których wypadł krucyfiks, z wciśniętym między przewrócone na bok zwłoki i ścianę trumny medalionem Madonny. Nastroszone blond włosy zdawały się dłuższe, tak samo paznokcie. Mariannę K. pochowano żywą, pogrążoną w tak głębokim śnie kataleptycznym, jaki zdarza się niezmiernie rzadko i jest nierozpoznawalny bez klucia ciała, które stosowano od średniowiecza do początków jeszcze naszego stulecia. Czym on jest spowodowany? Ksiądz V. czytał raport lekarza watykańskiego, ale techniczna terminologia medyczna czyniła go hermetycznie zamkniętym. Wypadek podobny, przez nikogo niezawiniony i raczej jedyny niż rzadki (ksiądz V. użył wło-

skiego zwrotu *più unico che raro*), ucina automatycznie, ma się rozumieć, przewód beatyfikacyjny. Męczeńska śmierć musi być rzeczywiście śmiercią. Chciał powiedzieć: *inną* śmiercią.

Sierpniowy żar bił jak z pieca hutniczego, przechodząc przez most na Tybrze wspominałem dawne dobre czasy (powojenne), gdy rzeka nie była jeszcze zatruta i zaszczurzona; można było wtedy zejść na jedną z przystani i popławić się w wolno płynącej wodzie. Za Tybrem złapałem cudem taksówkę, która jechała na Termini. Nie wróciłem do Neapolu. W ostatniej chwili wepchnąłem się do pociągu z tabliczką *Roma-Potenza*.

Przeleżałem noc w hotelu, oddychając z trudem i wciąż obawiając się o serce. Pierwszym autobusem o szóstej rano pojechałem do Macery. Miasteczko spało jeszcze, uliczki były puste, niezauważony mogłem przemknąć się na cmentarz. Grób Marianny zasypany był wciąż kwiatami (przywiędłymi), sądząc z wyglądu przybył świeży wieniec ze wstęgami na których złotymi literami wypisano dwa zdania Jana Pawła II: „Często macierzyństwo jest aktem heroizmu” i „Matki są bohaterkami naszych czasów”. Na płycie grobowej z nowiutkiego marmuru widniało tylko imię i nazwisko Marianny z datami urodzenia i śmierci, pod nimi napis *Madre di Jan*, niżej dużymi literami oszczędne pożegnanie *REQUIESCAT IN PACE*.

Cmentarz w miasteczku Macera ma po przeciwnej stronie bramę wyjściową, która prowadzi na dróżkę zbiegającą zakosami na robotnicze przedmieście Potenzy. Kiedyś, na jednym z naszych spacerów, stałem tam z Marianną, ale baliśmy się urwistego zejścia na dróżkę. Widać było z góry kobietę wspinającą się do Macery, z kartonowym pudłem na głowie, ciężkim widocznie, bo przystawała co parę kroków. Przypomniał mi się genialny epizod wielkiej Anny Magnani w nie skończonym filmie Rosselliniego *Stromboli*. Do górzystej wsi rodzinnej wracała z walizką przewiązaną sznurami prostytutka z dużego miasta, po latach nieobecności. Szła bardzo wolno, przystawała, miała mokrą z wysiłku twarz, odświętna czarna suknia pokryta była plamami potu. Scena niedościgniona w całej światowej kinematografii, nowoczesna Golgota. Powiedziałem to Mariannie, zacerwieniła się i szepnęła: „Niech pan nie bluźni”. A potem, po paru minutach milczenia, już za bramą wyjściową na cmentarz, dodała takim samym szeptem i bardziej jeszcze zarumieniona: „To piękne i prawdziwe co pan powiedział”.

Zeskoczyłem z małego urwiska na dróżkę, zamierzałem

wrócić do Potenzy pieszo. Za wzgórzem na horyzoncie czerwone jak o zmierzchu słońce, mimo upalnego sierpnia poranna świeżość zieleni, odgięte konary drzew, szarość popielata skał, na łąkach kłębki nikszej mgły nocnej, wzdłuż dróżki błyski strumyków — ach Boże, jakie cudowne jest Twoje dzieło stworzenia! A jednak patrzyłem tylko pod nogi, schodziłem w dół jak samooślepiiony. Bywają w życiu chwile, gdy rani nas do krwi, sztydzi z nas okrutnie bogata, rozrzutna Uroda Świata.

Sierpień 1994

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

MARC S. FRANCISZKOWSKI

LETTRES SLAVES

LIBRAIRIE — EDITIONS

18, rue Brillat Savarin. F. 75013 PARIS

Tel. 45-81-52-52 FAX 45-81-27-24

Prowadzę kupno i sprzedaż książek dawnych i nowych, rzadkich i wyczerpanych oraz rycin, map, rysunków dotyczących Polski i krajów słowiańskich w językach oryginalnych i tłumaczeniach.

●  
Prowadzę działalność księgarską i antykwaryczną na miejscu i drogą pocztową

●  
Na życzenie wysyłamy katalogi

Wojciech KAWIŃSKI

## KAMIENIE LATA

*Pamięci Czesława Bednarczyka*

Kamienie lata czarne są,  
 a wiersze białe;  
 świecą bielą niezapisanych kartek,  
 szarym cieniem pomysłu,  
 przepaścią słoneczną  
 w dniu ledwie przecutym.  
 Na końcu drogi  
 węzełk snu mały,  
 słowo matki, czyste,  
 do gwiazdy przewodniej podobne;  
 i ziemia różna, lecz nie-  
 poruszona w swoim ciężarze,  
 buncie, krwi, zniewolenia, radości.  
 Bliskość w obcości, obcość bliska  
 jak płynące lata, deszcze, chmury  
 ołowiu, wapna i nicości.  
 Zapach Londynu, zieleń  
 wzgórz Podola  
 w jeden połączone kamień,  
 śpiewający milczenie  
 bezsenne.

1994

*Wojciech KAWIŃSKI*

Joanna KUROWSKA-MŁYNARCZYK

## PRZEKŁAD

Więc mam przełożyć fale jeziora Michigan  
 na chlupot u brzegów Skandy i szkwał na Śniardwach?  
 Grube dywany trawy w ewanstońskim parku  
 na gąszcze samosiewek, pokrzyw i rumianków?

Wiersze

Stanisław DŁUSKI

## KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO BARTŁOMIEJA W DĘBOWCU

Kościół męczennik jak Święty Bartłomiej,  
 odarty ze skóry grzechu i bólu, mury,  
 które przerasta chór głosów, łez,  
 litanii do wciąż nie do przeżycia  
 życia, tajemnicy, gdzieś w załamaniach  
 łuku, gdzie wysokość jak hosanna,  
 jasny szept cienia, w kamiennej  
 chmurze Anioł Stróż rannych idei,  
 czuwa nad duszą twojego wroga i  
 przyjaciela. Ogień, który oddaje  
 sam siebie w ofierze, na ołtarzu,  
 gdzie miłość położyła głowę, kruchy  
 opłatek wiary, wino pachnące Górą  
 Oliwną i winą niezawinioną. Woda,  
 jej rany nigdy nie obmyte, rozbita  
 twarz, usta, policzki Weroniki,  
 rozrzucone dłonie, krzyż, który  
 przyniósł wojnę między Tobą i  
 mną, mieszkańcem umarłego domu.  
 Tam mieszkasz, między ogniem i  
 wodą, z garbem ziemi, z popiołem  
 i gniewem, tam twoja tęsknota  
 sięga nieba Świętego Bartłomieja

1988-1993

*Stanisław DŁUSKI*

I czerwonego ptaka o nazwie *Cardinal*  
przetłumaczyć na wilgę lub pstrokatą srokę?  
Szarym wiewiórkom sierść ufarbować na rudo  
i z miejskich skwerów przenieść je w mazurskie bory?

Przestrzeń i czas tak mocno splatają się z sobą  
że gdy opuszczasz jedno to drugie zniekształcasz.  
Tu psy i ptaki nie rozumieją po polsku  
więc nie kwitnie porzeczek: nie ma z kim rozmawiać.

Tu nawet dobry Bóg, który jak zawsze mieszka  
w ziarnku piasku i w liściu, i w kropelce wody,  
po cudzoziemsku milczy. A hieroglif piękna,  
choć piękny — nieczytelny, dlatego nie boli.

22.VII.1994.

Joanna KUROWSKA-MŁYNARCZYK

Leszek SZARUGA

## JESZCZE JEDNE PRZEDŚMIERTNE URODZINY

Nie ma we mnie ładu ani bezładu. Mój spokój  
Jest niespokojny. Mój głód  
Syty.

Mój świat jest rodzaju męskiego. Męski jest  
Mój język. Męski czas. Żeńska  
Śmierć, co wszystko  
Znosi.

Nie ma we mnie dechu ani bezdechu. Mój niepokój  
Jest spokojny. Moja sytość  
Głodna.

28.02.1994

Leszek SZARUGA

Archiwum polityczne**Widziane z Brukseli**CZY KOMUNISCI MOGĄ ZBUDOWAĆ  
KAPITALIZM W JEDNYM KRAJU?

Karol Radek, bolszewicki przywódca w latach trzydziestych, był przeciwny idei „budowy socjalizmu w jednym kraju” i naturalnie zesłany został przez Stalina do gułagu. Po kilku latach zesłania Stalin sprowadził Radka na Kreml i zapytał go: „No a teraz, czy ciągle jesteś przeciwny budowie socjalizmu w jednym kraju?” „Nie, odpowiedział Radek. Budować socjalizm w jednym kraju można. Tylko kraju szkoda”. No i został rozstrzelany.

Walentin Pawłow rozstrzelany nie został, choć także jest zdania, że socjalizmu w jednym kraju, zwłaszcza w Rosji, budować nie tylko nie można było, ale i nie było warto. Pawłow uważa bowiem, że budować należy w Rosji kapitalizm i że on sam na tej drodze stracił, i musi teraz odrabiać, co najmniej trzy długie lata. Pierwsze półtora roku, jako premier Związku Sowieckiego w 1990 i 1991 roku. I drugie półtora roku, jako lokator moskiewskiego więzienia pod poetycką nazwą „Odpozynek Marynarza”, w oczekiwaniu na proces za udział w puczu w sierpniu 1991 przeciwko prezydentowi Gorbaczowowi.

Procesu, jak wiadomo, nie było i nie będzie. O Pawłowie, który, przeważnie pijany w owe dni sierpniowe, odegrał wyjątkowo żalostną rolę w pseudo-komipuczu, i został potem, wraz z „kolegami”, objęty amnestią, uchwaloną przez nową Dumę, jest od pewnego czasu zupełnie cicho. Niesłusznie. Były premier i minister finansów i były członek politbiura, autor słynnej niegdyś teorii o światowym spisku banków zmie-

rzających do destabilizacji rubla (choć to zupełny idiotyzm; to ciekawe, ale Jelcyn powtórzył dokładnie to samo w czasie październikowego krachu giełdowego), Pawłow, w wieku lat 57, robi bowiem dopiero teraz nową, może spóźnioną, ale błyskotliwą karierę. Broń Boże, nie w partii komunistycznej, nie chce o niej nawet słyszeć. W finansach. Jest bankierem w Moskwie, współnikiem w wielkiej spółce handlowej i w biurze konsultingowym. Obecnie, to znaczy jesienią 1994, jest właśnie w trakcie organizowania funduszy w celu założenia nowego banku.

Zarabia, oficjalnie — jak mówi — ok. 60.000 dolarów rocznie netto (przeciętna płaca sięga 1.200 dolarów rocznie) i zajmuje ciągle mieszkanie, które otrzymał jako premier. Dziś jest ono jego własnością. Czy i ile zapłacił nie wiadomo. Wiadomo tylko, że warte jest ono dziś w Moskwie co najmniej pół miliona dolarów.

Pawłow nie ma większych zmartwień. Jego syn też jest już bankierem, ale w... Luksemburgu. Mnie, powiada Pawłow-senior, żona nie pozwala spacerować po ulicy, a nawet chodzić do sklepów, bo się mało zmienił, uczesany ciągle na jeża o puciołatej, nalanej twarzy, łatwo go więc rozpoznać, może być nieprzyjemnie. Pawłow musi więc spędzać weekendy na swojej luksusowej dwupiętrowej daczce pod Moskwą. Jak każdy szanujący się... rosyjski bankier Pawłow ma na rękę złoty zegarek wysadzany diamentami i prowadzi samochód klasy „Audi”, skarży się na wysokie podatki, biurokrację, bałagan prawny, przekupstwo i mafię. No, w ogóle na rodaków. „Kiedy — powiada Pawłow — moi współnicy starają się w urzędach państwowych o jakąś licencję czy zezwolenie, lepiej jest usunąć moje nazwisko z podpisów. Widok mojego nazwiska ogromnie podnosi wysokość niezbędnej łapówki”.

Pawłow nie tęskni do polityki, nie ma zamiaru wiązać się z żadną partią. Nie ma czasu. „Mnie nie chodzi — Pawłow parafrazuje Radka — o budowę socjalizmu w jednym kraju, ja staram się zbudować rynek w jednej rodzinie. Gdybym — dodaje — zajmował się rynkiem zamiast socjalizmem, byłbym dziś jednym z najbogatszych ludzi w Rosji”.

Pawłow się myli. Gdyby Pawłow nie był zajmował się socjalizmem i to nie w jednym a w kilku krajach, nie byłby dziś bankierem w Rosji, a jego syn nie byłby bankierem w Luksemburgu. To właśnie lata spędzone na Kremlu i stosunki nawiązane w tym okresie otworzyły mu drzwi do sukcesu w businessie. Pawłow nie jest sam. Wśród wielkich businessmenów w Rosji jest wielu jego kolegów. Poprzednik

Pawłowa, także były premier, Mikołaj Ryżkow, jest szefem rady nadzorczej dużego banku. Były zastępca Kriuczkowa, szefa rosyjskiego KGB, Bobkow jest jednym z dyrektorów ogromnego holdingu „Most”. Ale to detale. Ostatnie badania wskazują, że dwie trzecie nowych bogatych Rosjan pochodzi z byłej średniej i wysokiej nomenklatury sowieckiej.

Historię Pawłowa opowiedział mi pewien dużej rangi dyplomata zachodni w Brukseli. Przytoczył ją jako jeden z koronnych argumentów w odpowiedzi na moje pytanie jak i czym należy tłumaczyć całkowitą obojętność (jeżeli nie cieni sympatii), spokój i beztroskę z jaką zachodnie koła polityczne przyjęły kolejne sukcesy pokomunistycznej lewicy w krajach Europy północnej, środkowej i wschodniej. W tych samych krajach, które tak niedawno przecież i z takim entuzjazmem pozbyły się Walentina Pawłowa i lewicy w ogóle i to przy poważnej pomocy i ogromnej radości takich samych dyptomatów i ich szefów jak mój rozmówca.

Dyplomata spojrział na mnie lekko zdziwiony. „Proszę pana — powiedział do mnie z litościwym uśmiechem — to nie mimo Pawłowa, a dzięki takim jak on, my zachowujemy spokój wobec zjawiska powrotu postkomunistów do rządów czy choćby wpływów politycznych w byłych krajach bloku sowieckiego”. Resztę wyводу da się sprowadzić do paradosku. To najbardziej antykomunistyczny prezydent Stanów Zjednoczonych, Richard Nixon, przekonał Amerykanów, że należy otworzyć drzwi przed Chinami Mao Tse-tunga. To autor pojęcia „imperium zła” Ronald Reagan zawarł pokój ze Związkiem Sowieckim, a potem coś w rodzaju przyjaźni z Michaiłem Gorbaczowem. To socjalista Jacques Delors urynkował właściwie do końca wspólnotę europejską, narzucił jej powszechny program liberalizacji i deregulacji handlu. To, zgodnie z tym rozumowaniem, byli komuniści wprowadzają kapitalizm na obszarze, na którym budowali socjalizm.

*Howgh*, jak mawiał Winnetou w powieściach nieodżałowanego, niesłusznie zapomnianego Karola Maya. Czy byłym komunistom uda się rzeczywiście zbudować kapitalizm, to się, oczywiście, dopiero pokaże. Na razie warto się tej ewangelii bliżej przyjrzeć. Niełatwo ją odtworzyć, bo, choć istnieją już w NATO czy Komisji Unii Europejskiej odpowiednie placówki, nikt jeszcze właściwie się tym globalnie nie zajął i mało kto chętnie o tym tutaj rozmawia. Ale spróbować warto. Dwa razy po siedem punktów. Siedem, to liczba mityczna. Tyle, bowiem według starożytnych, było planet ruchomych, które decydowały o losach ludzkich.

## I. STARA EWANGELIA CZYLI SIEDEM BOLEŚCI

## a) „Prawo jazdy”

Po pierwsze, powiadają zwolennicy tego rozumowania, byli komuniści, tacy właśnie jak Pawłowi, najlepiej wiedzą, że komunizm jest do luftu, że stanowi system nieproduktywny, nieefektywny, nie mówiąc już o tym, że nieefektywny. Nikt poważny, ani tutaj na Zachodzie, ani tam, na Wschodzie, nie wyobraża sobie nawet, że możliwy jest powrót komunizmu, nawet do jego zreformowanego, ostatniego modelu. Jeżeli „Pawłowi” (w cudzysłowie, bo akurat to przypadkowo „trafione” nazwisko służy dziś za skrót i hasło), jest już o tym przekonany, to co dopiero mówić o Hornie, którego partia zaczęła reformy 10 lat przed Gorbaczowem, albo o Kwaśniewskim, który się przyłączył do kompartii z czystego oportunistu (to w jego, i takich jak on, ówczesnej sytuacji niekoniecznie zarzut), już w ostatniej, gnilnej jej postaci. „Tu w Brukseli, powiada z nieukrywaną dumą mój rozmówca, wymyśliliśmy dla tej kategorii komunistów specjalną formułę. My takie wstępowanie do partii komunistycznej 'na pięć minut przed dwunastą' określamy, na własny użytek, jako 'zdobywanie prawa jazdy', bez którego żadna poważniejsza kariera nie była możliwa”. „Przecież, powiada mój rozmówca, w Belgii np. nie jest inaczej. Czy zna pan w Brukseli jakiegoś urzędnika, który osiągnąłby średnią choćby rangę bez legitymacji jednej z partii koalicji rządowej czy samorządowej?” Niedawno odbyły się wybory samorządowe w Belgii. Okazało się, że jeszcze przed wyborami stołki w walońskiej np. administracji zostały podzielone: 2/3 dla socjaldemokratów; 1/3 dla chadeków. „Republika koleśków w Polsce?” „Śmieszny zarzut. Tak jest wszędzie”.

## b) Nowa klasa lordów

Po drugie, te wszystkie Pawłowi, Horny i Kwaśniewscy to zdolni, obrotni, niekiedy po prostu cyniczni oportuniści, a w każdym razie pragmatycy. Za późnego Jaruzelskiego czy Nemetha, no i w bałaganie natychmiast potem, spora część byłej nomenklatury zdążyła się uwłaszczyć, przejąć własność lub kontrolę nad ogromnymi sektorami gospodarki lub po prostu stać się przedsiębiorcami i akcjonariuszami. Ta sto-

sunkowo najmniej skompromitowana przeszłością, obecna czołówka pokomunistyczna, lub jej ekipy, mówiąc zwyczajnie, wzbogaciła się, zrozumiała, że prawdziwa władza jest w kapitale, a prawdziwa niezależność we własności. Powstała, według miejscowych obserwatorów, nowa klasa pokomunistycznych przedsiębiorców, ludzi, których jeszcze niedawno oni sami określiliby jako burżujów, wykształconych, doświadczonych, nowoczesnych i... żarłocznych, o bardzo specyficznej mentalności. Ta nowa „średnia (albo i lepiej) klasa” w ogromnej większości głosowała na postkomunistów nie tylko dlatego, że swój do swego po swoje, ale i z przekonania, że to oni właśnie, a nie skłócenii dyktanci z byłego podziemia, potrafią utrwalić ten nowy ich burżujski porządek.

Tutaj nikt nie wierzy w recydywę komunizmu. Uwagę przyciąga nie hamowanie prywatyzacji czy reform w ogóle przez Pawłaka, karierę zrobił fragment wywiadu *Le Soir* z Kwaśniewskim, w którym szef SLD powiedział, że „gdyby któryś z naszych członków zaproponował powrót do gospodarki centralnie kierowanej, to zostałby wyrzucony nie za awanturnictwo, a za głupotę”.

A poza tym, dodają, jacy to komuniści? Oni się ubierają jak lordowie, noszą angielskie ubrania, włoskie obuwie, grają w tenisa i znają języki. To dżentelmeni. Pewien wysoki urzędnik Unii Europejskiej, który bywał w Polsce i przed 1989 rokiem i jeździ nadal stale do Warszawy, zapytał mnie: „Jak pan sądzi, kiedy Jerzy Urban miał większy wpływ na Polaków: czy wtedy kiedy się do nich zwracał jako opluwający Popiełuszkę zniechęcony rzecznik zniechęconego reżymu czy teraz jako symbol sukcesu, przebogaty właściciel willi, Jaguara no i tygodnika, mającego ogromny zasięg społeczny i polityczny? Czy sądzi pan, że człowiek o jego inteligencji i majątku pragnie lub choćby wyobraża sobie możliwość powrotu do poprzedniej sytuacji?”

Inny specjalista europejski wywołał przykład Węgier. Peter Medgyessy, były członek biura politycznego kompartii węgierskiej, wicepremier i minister finansów jest dziś generalnym dyrektorem węgierskiej filii francuskiego banku Paribas. „Czy wyobraża go pan sobie, zapytał mój rozmówca, marzącego o powrocie komunizmu? Czy syn Pawłowa chciałby wrócić pod kontrolę KGB, pod którą by się znalazł w Luksemburgu przy najbliższym zwrocie ku starem?”

*Wall Street Journal* przytoczył opinię szefa warszawskiej filii wielkiej zachodniej firmy adwokackiej. „Wielu ludzi z aparatu obecnej władzy, powiada ów prawnik, ma — wprost

lub pośrednio — spore udziały w businessie. Ci ludzie muszą uprawiać pozory lojalności wobec warstw społecznych, które ich wybrały, to znaczy wobec rencistów, bezrobotnych, drobnych rolników... W rzeczywistości, oni rozumieją, że dobrze żyć mogą teraz tylko w rynkowej gospodarce”.

### c) Kiedy przyszła ich godzina

Po trzecie, postkomuniści w administracji i gospodarce to w zasadzie fachowcy. Kiedy, jako członkowie aparatu komunistycznego, sprawowali władzę, nabrali doświadczenia, jak tu powiadają, negatywnego. Wiedzą, że system centralnego kierowania państwem i gospodarką prowadzi do zagłady. Potem, po 1989 roku, w czasie rządów demokratycznych, nauczyli się sporo na błędach przeciwników.

Byli komuniści ustawili się wygodnie. Nie mieszały się w samobójcze dla demokratów „wojny na górze”. Najpierw ustawili się z boku, dyskretnie, nie robili szumu, a potem, kiedy kolejne ekipy zrodzone z antykomunistycznego podziemia, które wzięły na siebie zarówno ciężar najbardziej bolesnych reform co i — związane z tym — odium społeczne, coraz bardziej traciły kontakt z masami i trwoniły ogromny kapitał entuzjazmu i zaufania, postkomuniści przeszli do otwartej opozycji wobec ekip „Solidarności”, Antalla itp. Przyszło im to tym łatwiej, że byli także jedynymi fachowcami od propagandy. No i tylko oni mieli prawdziwy aparat partyjny. Nic dziwnego, powiadają tutaj, że kiedy przyszła godzina wyboru, potrafili to wykorzystać.

### d) „Burzuje wszystkich krajów, łączcie się!”

Po czwarte, stawka na byłych komunistów idzie znacznie dalej. Mogą się bardzo przydać, europejska i atlantycka Bruksela i w ogóle zachodni przedsiębiorcy wiążą z powrotem byłych komunistów zupełnie konkretne nadzieje. Przede wszystkim liczą na nich jako na najlepszych przewodników po zaułkach i pułapkach lokalnej administracji państwowej i gospodarczej. Byli wysocy funkcjonariusze aparatu partii komunistycznej, a zwłaszcza byli — partyjni lub nie — kierownicy przemysłu czy handlu państwowego, są bardzo poszukiwanymi pracownikami spółek mieszanych, *joint-venture*, itp. To ich koledzy są na stanowiskach państwowych.

„Oni — powiada do mnie pewien przemysłowiec belgijski — wiedzą najlepiej komu, jak i ile trzeba dać w łapę, żeby sprawę załatwić. No i to nie my ponosimy wtedy ryzyko”.

Ale tutaj liczą na coś więcej jeszcze. Odnawia się stare hasło. Zamiast proletariuszy, wzywa ono byłych komunistów do łączenia się. Na mapie tych krajów gdzie — jak na Litwie, w Polsce czy na Węgrzech — byli komuniści już znowu rządzą i tych, gdzie — jak w Bułgarii — niedługo będą rządzić, klei się coś w rodzaju nowej międzynarodówki. Tutaj w zasadzie, nie widzą w tym nic złego. Powiadają więc: „Normalne zjawisko, my też mamy międzynarodówki socjalistyczną czy chadecką”. I dodają: „To może być pożyteczne. Czyż jedną z przyczyn kryzysu na Wschodzie nie jest zerwanie więzów zadzierzgniętych przez dziesięciolecie komunizmu między krajami bloku sowieckiego?”

W tłumaczeniu na język praktyczny oznacza to, że obecność byłych komunistów we władzach tych krajów, z byłym Związkiem Sowieckim na czele, powinna ułatwić podjęcie na nowo współpracy i powrót na tradycyjne rynki, przede wszystkim rosyjski ale i inne w ex-ZSSR. „Poprzednie rządy — powiedział Horn do delegacji komisji europejskiej tuż po objęciu rządów, zaniedbały nasze stosunki ze Wschodem. My nie chcemy restaurować RWPG, ale chcemy odtworzyć dawną sieć stosunków handlowych i dostępu do tak potrzebnych rynków”. Bruksela myśli dokładnie tak samo.

### e) Światło od Zachodu

Po piąte, nikt się tu tak naprawdę nie boi nagłej zmiany frontu przez kraje rządzone przez neokomunistów. Z jednej strony, odejście od „terapii szokowej” i złagodzenie kosztów i skutków programu reform, odsuwa groźbę destabilizacji społecznej. Mimo wielkiego podziwu dla Balcerowicza czy jego odpowiedników w innych krajach, tak naprawdę to Zachód woli spokój na krótką i średnią metę w środku Europy od perspektywy bardzo długiego oczekiwania na sukces prawdziwej reformy. W Rosji, choć to, naturalnie, inna sprawa, inna skala i inny teren, jest podobnie. Żałoba po „balcerowiczowskim” Gajdarze nie trwała długo. Wiarygodnym partnerem zachodniego kapitału w Moskwie jest Czernomyrdin, były „baron” największego koncernu sowieckiego.

Z drugiej strony, uwłaszczeni, majątkiem lub władzą, byli komuniści mają bardzo wiele do stracenia i nie będą po-

dejmować ryzykownych decyzji w dziedzinie polityki zagranicznej. Rosja to nie Związek Sowiecki, zresztą żaden przytomny były komunista nie pragnie jakiegokolwiek podległości wobec Moskwy. To już brali. Stąd, Zachód bierze za dobrą, i logiczną, monetę zapewnienia postkomunistów o ich woli zakotwiczenia się w zachodnich strukturach gospodarczych i wojskowych. W ciągu ostatniego roku, mówią tutaj fachowcy, nie tylko nie zarejestrowano żadnego odejścia czy zakwestionowania polskiego *Drang nach Westen*, ale, wprost przeciwnie, mnożą się wschodnie, przede wszystkim polskie, inicjatywy w tym kierunku.

Moskwa naturalnie nie zrezygnuje szybko ani z veta wobec rozciągnięcia NATO na środek Europy ani z rozmywania NATO w mgławicowej i sparaliżowanej siatce KBWE, zrodzonej z konferencji helsińskiej, ale tutaj fachowcy są przekonani, że czerwona czy raczej różowa Warszawa czy Budapeszt nie zrezygnują ze zdecydowanej prozachodniej opcji.

Fakt, że na czele dyplomacji polskiej jest (jak długo jeszcze?) Andrzej Olechowski, człowiek Wałęsy, a na czele dyplomacji węgierskiej Kovacs, były zastępca Horna (nieśluszenie, nawiasem mówiąc, uznanego za głównego autora wprowadzenia w 1989 roku obywateli NRD na Zachód i właściwego burzyciela muru), utrwala brukselski spokój wobec pokomunistycznych przemian na Wschodzie.

#### f) Świadectwo moralności

Po szóste, postkomuniści doszli do władzy drogą demokratycznych wyborów. Taka była suwerenna wola narodów Litwy, Polski i Węgier, a te — jak twierdzi Bruksela — szanować trzeba. Co prawda, tutaj znają dobrze pułapki demokracji, wiedzą czym grozi np. fakt, że szowinistyczny, rasistowski Blok Flamandzki uzyskał jedną trzecią głosów w Antwerpii, drugim mieście Belgii, albo że skrajna prawica zdobyła ponad jedną piątą głosów w Austrii. Ale — tu znowu paradoks — na tym tle, postkomuniści, to siła stabilizacyjna. Neofaszyści chcą rozwałczyć istniejący porządek; postkomuniści, chcą go utrwalać. Przecież to nie byli komuniści zagrażający dziś demokracji np. w Polsce. To polski Sejm głosi, że to prezydent Wałęsa, a nie Kwaśniewski czy Pawlak, niesie groźbę destabilizacji i chaosu. Na Węgrzech rządzi koalicja postkomunistów i liberałów, byłych najbardziej nieprzejednanych i najdawniejszych antykomunistów. Z punktu widzenia Brukseli nie moż-

na sobie wyobrazić bardziej przekonującego listka figowego i bardziej autorytatywnego świadectwa moralności.

Janosa Kissa mało kto zna na Zachodzie i mało kto czytał jego słynny artykuł (przedrukowany zresztą przez *Gazetę Wyborczą*), uzasadniający koalicję „ognia z wodą” czyli byłych komunistów z obecnymi liberałami. Ale Arpad Goncz, jest znany. Otóż ten bardzo szanowany na Zachodzie prezydent Węgier, były opozycjonista i więzień komunizmu, podsumował nową sytuację: „Najważniejsze — powiedział — żebyśmy wszyscy razem, w odnalezionym pokoju ducha, kroczyli naprzód”. Brakowało aluzji, że z piosenką na ustach, ale dla Zachodu wystarczyło.

#### g) Bez alternatywy

Zachodni obserwatorzy powiadają do polskich czy węgierskich antykomunistów, sami sobie jesteście winni. W 1989 roku odebraliście komunistom władzę, ale po co? Co zeście z nią uczynili? Nie potrafiłiście jej utrwalić, odwrotnie, popełniliście samobójstwo. Politycznie biorąc, zamiast ostatecznie pokonać przeciwnika i wyeliminować możliwość jego rezurekcji, sami zeście się wyeliminowali. Bruksela obserwowała z rosnącym niepokojem — i w oszołomieniu — jak w rozmaitych „domowych wojnach i hańbach na górze” legły w gruzach „Sajudis”, „Solidarność”, „Karta 77”, czy NRD-owskie „Neues Forum”, poszły z dymem charyzma Wałęsy czy Havla, ginęły autorytety ludzi, którzy dla Europy i świata stanowili i zresztą, jakby na przekór ich własnym społeczeństwom, niektórzy ciągle jeszcze — jak np. właśnie Wałęsa czy Havel — stanowią symbol postępu, zwycięstwa nad komunizmem i utrwalenia demokracji. Można sobie wyobrazić zdumienie euro- czy atlantokratów na widok sondażu, w którym symbol triumfu demokracji, laureat pokojowej nagrody Nobla plasuje się na dalekim, i to mocno, miejscu po komunistycznym generale, autorze stanu wojennego.

W gospodarce, powiadają brukselscy analiści, reformatorzy nie przewidzieli społecznych skutków reformy, nie rozpięli żadnej właściwie siatki ubezpieczającej. Według brukselskiej logiki, wobec gwałtownego spadku stopy życiowej, 16 % bezrobocia w Polsce czy 12 % na Węgrzech, 40 % w niektórych okręgach byłej NRD, wobec 25 czy 30 % inflacji, wyborcy nie mieli, po krachu autorytetu obozu demokratycznego, innego odwołania jak tylko do lewicy. Na Zachodzie także,



w takich sytuacjach, obywatele głosują a czasem wybierają opozycję. Tym bardziej, że we wschodniej części Europy, według analityków z Brukseli, bardzo groźną alternatywą powrotu do lewicy (aż do odwołania) demokratycznej, były rządy silnej ręki. Tutaj tego nie lubią. Horna i Kwaśniewskiego wolą od Pinocheta.

#### h) Pustka bez idei

Po siódme, neokomunistyczny *come back* to, psychologicznie biorąc, nie jest wcale zaskakujące zjawisko. Ten rodzaj zbiorowej amnezji jest dobrze znany. Polega on na sprzeczności między pamięcią „oficjalną”, tą, która stanowi źródło legitymizacji i wiarygodności jakiegoś państwa i ustroju, a pamięcią „ukrytą”, indywidualną, tą, która wywodzi się z codziennego doświadczenia jego obywateli wziętych oddzielnie. Kiedy wali się w gruzy mit, który potrafił zmobilizować i scementować jakiś naród po długim ośpieniu, w pustkę ideowej rodzi się ryzyko burzy, niekontrolowanego wybuchu, irracjonalnego odruchu.

Sukcesy gospodarcze Polski czy Węgier, są, w makroskali, niewątpliwe i wzbudzają podziw i uznanie technokratów w Brukseli. Ale — przyznają ci sami fachowcy — w percepcji obywateli te makrosukcesy kształtują się inaczej. Polski czy węgierski „tygrys gospodarczy” to abstrakcyjna statystyka. Cena mięsa i kurs dolara, to rzeczywistość dnia codziennego. Kiedy ta druga, rzeczywiście czy pozornie, bezwzględnie lub względnie (np. przez zawiść wobec sąsiada) uderza w większość obywateli, kiedy rozczarowanie staje się proporcjonalne do wielkości obietnic, rzeczywistość codzienna przekształca się w siłę polityczną prowadzącą do wybuchu lub, co najmniej, zmiany.

Z jednej strony, tak sobie to tutaj tłumaczą, wszystkie zdobycze demokracji: pełne zaopatrzenie i wyeliminowanie kolejek, tego symbolu „realnego socjalizmu”, pluralizm, polityczny, wolność słowa, prasy, podróży, wolność od strachu, zostały szybko przyswojone, weszły, jak powietrze, do „normalki”, do niezauważalnych, ale obecnych i naturalnych atrybutów codzienności. Z drugiej strony, w szoku z trudną, a czasem nie do wytrzymania rzeczywistością gospodarki rynkowej, „amnezja” triumfuje: nikt nie pamięta o tym „jak było”, wszyscy głosują w zależności od tego „jak jest”.

W wywiadzie jaki mi udzielił przed swoją pierwszą, w

październiku 1994, wizytą w Polsce, Szymon Wiesenthal dał, w innej niegospodarczej płaszczyźnie, przykład tej sprzeczności. Austrii, powiada, udało się przekonać Aliantów, że to ona była pierwszą ofiarą Hitlera. I Austriacy w to uwierzyli. A tymczasem, mówi Wiesenthal, choć państwo austriackie było rzeczywiście pierwszą ofiarą Hitlera, to Austriacy jako naród żadną ofiarą nie byli, a wprost przeciwnie stanowili grupę ludnościową, która najbardziej entuzjastycznie z Hitlerem współpracowała. Dwie trzecie komendantów obozów hitlerowskich, a w tym obaj komendanci Treblinki to byli Austriacy. A przecież, 40 lat później, w odróżnieniu od Niemców, niewiele z tej „oficjalnej” pamięci do Austriaków dotarło. To przecież oni niedawno wybrali Waldheima na prezydenta, a teraz głosują na ksenofobiczną prawicę.

W tłumaczeniu na sytuację w Europie Środkowej i na język dnia codziennego, ta amnezja da się sprowadzić do krótkiego zdania, które kończyło niedawno „postkomunistyczny” reportaż w brukselskim dzienniku *Le Soir*. „Przedtem — powiedział polski polityk do belgijskiego dziennikarza — nasi obywatele obawiali się komunizmu. Dziś obawiają się dyrektora”.

## II. NOWA EWANGELIA czyli SIEDEM GRZECHÓW GŁÓWNYCH

W chwili pisania tych słów, tylko cztery (Albania, Armenia, Estonia i Czechy) spośród 22 państw zrodzonych na ruinach Związku Sowieckiego, nie są rządzone wprost lub kontrolowane przez byłych komunistów. Z 390 milionów obywateli państw byłego imperium sowieckiego, tylko ok. 20 milionów żyje w państwach gdzie władza wykonawcza i ustawodawcza jest jeszcze w rękach byłej antykomunistycznej opozycji.

Nie wydaje się aby to zestawienie kogoś tutaj w jakiś wyjątkowy sposób wzruszało. Jak można wytłumaczyć tę obojętność? W bardzo rozmaity sposób. Na mniej lub bardziej wszechstronne zestawienie jest naturalnie za wcześnie. Ale, tak jak w poprzedniej części — i znowu w siedmiu punktach — spróbować warto.

#### a) Po prostu, „alternance”

Po pierwsze więc, dla ekspertów europejskich, przejęcie przez postkomunistów władzy w Polsce czy na Węgrzech, to

bardzo zwyczajne ćwiczenie z demokracji, to dowód, że *alternance* (ulubiony termin zachodnich politologów), to znaczy demokratyczne wyborcze przesunięcie władzy ku opozycji, już normalnie funkcjonuje także i w krajach posowieckich. „Dawny strach — powiada taki właśnie politolog — przed 'wielkim skokiem do tyłu' w krajach postkomunistycznych, to dzisiaj w większym stopniu rodzaj emocjonalnej psychozy aniżeli wynik poważnej analizy. Dzisiaj — dodaje — podziały w tych krajach dokonują się nie w kategoriach ideologicznych, a na zasadzie kompetencji”. W korespondencji z Węgier, wielka gazeta amerykańska napisała po wyborach, że „ponad wszystko Węgrzy cenią fachowość, a dla wielu wyborców fachowcami są byli komuniści”.

Kropkę nad i postawił i credo generalne sformułował Gyula Horn, były komunistyczny minister spraw zagranicznych Węgier, dziś pierwszy pokomunistyczny premier w Budapeszcie. „My — powiedział Horn tuż przed wyborami — nie mamy zamiaru zmieniać systemu politycznego. To już dawno nastąpiło. My mamy zamiar zmienić rząd”.

No i to się mu udało. Za cztery lata się okaże czy się to uda jego przeciwnikom?

#### b) Demokracja w marszu

Po drugie, podkreślają tzw. kompetentne źródła, kraje postkomunistyczne (z, lub bez byłych komunistów w rządzie) nie uczyniły jak dotąd niczego takiego co postawiłoby je w sprzeczności z podjętymi zobowiązaniami wynikającymi z rozmaitych zawartych już porozumień (stowarzyszenie z Unią Europejską czy Partnerstwo dla Pokoju) lub ze strukturami planowanymi na przyszłość. W tym sensie, nawet epizod tej kategorii co konstytucyjny na pozór konflikt między prezydentem Wałęsą a Sejmem nie został tutaj, wbrew stanowisku polskich polityków, czyli najlepiej zorientowanych świadków, uznany za coś wyłamującego się z zasad normalnie funkcjonującej demokracji. Wprost przeciwnie, powiedziano — to jest dowód, że demokracja jest w marszu.

#### c) Kto to jest Kukliński?

Po trzecie, trzeba przyznać, z bólem, wstydem lub z *Schadenfreude*, że stopień zachodniego zrozumienia czy po

prostu ignorancji wydarzeń na Wschodzie przekroczył linię pływania. To nie paradoks, ale im więcej jest informacji, tym więcej jest nieporozumień. Kiedyś wszystko było jasne: czarne albo białe, dziś kolory się pomieszały.

A poza tym nastąpiło chyba coś w rodzaju krachu pokoleniowego. Ludzie: urzędnicy, doradcy, eksperci, a nawet politycy, którzy znali procesy historyczne na Wschodzie z własnej obserwacji lub, nierzadko, z własnego doświadczenia, ustąpili — to zjawisko normalne — miejsca młodym i choć dobrze wykształconym to bez historycznego *backgroundu*, i, wobec tego, mało albo i w ogóle nieczułym na, według nich normalne w demokracji, pokomunistyczne drgania.

Kompromitujący przykład Clintona, który przyznał, że nie miał pojęcia o sprawie i istnieniu Kuklińskiego, przestaje być skandalem. Fakt, iż swą ignorancję amerykański prezydent wykazał akurat w czasie spotkania z prasą polską i to polonijną, dowodzi, iż takie *casusy* jak Kukliński przestały w ogóle wchodzić w skład polskiego *dossier*.

W Brukseli nietrudno znaleźć dalszy ciąg. Pomijam już nieznamość np. szerokiej debaty o PRL-u w *Tygodniku Powszechnym*, pomijam tym bardziej nieznamość dyskusji o przyczynach klęski „Solidarności” jaka się przetoczyła przez *Gazetę Wyborczą* i poruszyła, jak na przykład w znakomitym artykule Jerzego Jedlickiego, wyjątkowo subtelne aspekty tego procesu. To, być może, że za trudne do wgrzyzienia się dla korespondentów zagranicznych w Polsce. Ale niektóre „kompetentne” koła w stolicy Atlantyku nie miały pojęcia np. o istnieniu osławionego raportu (ani tym mniej o jego załącznikach) podkomisji spraw zagranicznych polskiego Sejmu. A przecież ten raport (nawet, a może przede wszystkim, bez załączników) stanowił atak na politykę i polityków, którzy tworzyli i firmowali całą, w zasadzie udaną, strategię zakotwiczenia Polski na Zachodzie, jak najbliżej Atlantyku właśnie. Dopiero z wywiadu w *Le Soir* euro-atlantycka Bruksela dowiedziała się, że ambasador węgierski w Belgii i przy NATO wołał podać się do dymisji niż czekać aż — zgodnie z nie ukrywanym zamiarem premiera Horna — zostanie przez niego wyrzucony. Trzeba było artykułu prasowego aby tak zwani obserwatorzy w Brukseli zainteresowali się rozmiarami czystki na Węgrzech.

Mówiąc w skrócie, rządy postkomunistów nie są, w optyce zachodniej, w żaden sposób związane ze słowem „komunizm”, a wyłącznie ze słowem „post”. Są po prostu, w nieco innej konwencji, kontynuacją, często, jak się tu mówi,

poprawioną i społecznie ostrożniejszą, polityki poprzednich, np. solidarnościowych ekip.

#### d) Ostrożnie, parzy!

Po czwarte, zmiana jest nie tylko pokoleniowa ale i charakterologiczna. Poprzednia pewność siebie tak zwanych sowietologów przeszła w stałe zwątpienie. Ostrość poprzednich wyroków przeszła w mgłę domniemania dobrej woli. Przez długie dziesięciolecie nie- lub antykomunistyczny świat zainwestował setki milionów dolarów w badania nad komunizmem, nad jego funkcjonowaniem, nad sposobami jego obalenia i scenariuszami na *the day after*, „następny dzień”, albo „dzień po tym”. Tysiące badaczy, autentycznych lub nie, kwalifikowanych lub nie, żyło z tego „programu” dobrze, znośnie, a niektórzy znakomicie i, naturalnie, starało się najdłużej utrzymać tę rację bytu i „pewność zatrudnienia”.

Otóż, do końca, założeniem generalnym większości tych badań była „wieczność istnienia” systemu sowieckiego i partii komunistycznej. Nic dziwnego, że kiedy system komunistyczny nagle i bez uprzedzenia rozpadł się, tradycyjna sowietologia legła w gruzach wraz z nim. Sowietolodzy mieli opracowanych dziesiątki jeżeli nie setki scenariuszy. Z wyjątkiem tego jednego, prawdziwego. Stąd właśnie ubóstwo wyobraźni postsowietologicznej natychmiast ‘po upadku muru, kiedy właściwie jedyną „używalną” propozycją dla obszaru posowieckiego okazała się być formuła łańskieoamerykańska. I stąd, być może, lekcja ostrożności, czasem przesadna, w wynoszeniu wniosków z już nagromadzonego doświadczenia. A nuż, myślą chyba, coś się znowu nagle zawali...

#### e) Ciszej nad błędami

Po piąte, ta ostrożność jest wynikiem potknięć nie tylko na teorii, ale i na praktyce, na błędach europejskiej Brukseli. Jak się ktoś raz sparzył, a tym bardziej wiele razy, to później nie kwapi się z krytyką czy ostrzeżeniami. Tak zwany dziennikarski przychylny wiatr przywiał na moje biurko wiadomość o — w chwili pisania tych słów jeszcze nie opublikowanym — raporcie Europejskiej Izby Kontroli, takiego NIK-u, na temat działalności Komisji Unii Europejskiej w roku 1993. Raport jest dla Komisji, mówiąc łagodnie,

surowy. W rozdziale nas interesującym, raport stwierdza, że pomoc UE dla Europy Środkowej i Wschodniej była źle pomyślana, źle administrowana, i nieraz wprost szkodliwa dla krajów, które miały z tej pomocy skorzystać.

Pomoc żywnościowa np. doprowadziła „do sprzedaży w krajach bałtyckich artykułów żywnościowych mocno poniżej cen światowych, co spowodowało wiele niepożądanych skutków”. Raport także krytykuje Komisję, która okazała się niezdolną do zmodyfikowania swojej polityki pomocy, kiedy było to niezbędne. UE dostarczyła np. na Łotwę tak duże ilości ryżu pochodzące z nadwyżek Wspólnoty, że zdezorganizowały one rynek żywnościowy i doprowadziły do wybuchu niezadowolenia rolników. Mimo iż w styczniu 1993 Łotwa zażądała wstrzymania tych dostaw, UE wysłała następnych kilkadziesiąt tysięcy ton ponownie w kwietniu tego roku. Rząd łotewski zagroził wtedy odesłaniem ładunku. Także jakoś dostarczonych artykułów budziła zastrzeżenia. Litwa np. otrzymała zboże pięcioletnie, a więc nadszarpnięte wiekiem, a Albania „częściowo nieświeże” mięso. Inny albański paradoks: wszystkie magazyny portowe załadowane były dostawami UE, tak że inicjatywa prywatna, której promowanie jest głównym celem polityki UE, została praktycznie uduszona.

Raport idzie dalej. Poddaje krytyce programy PHARE i TACIS, podstawowe instrumenty zachodniej pomocy, zwłaszcza technicznej, dla obszaru posowieckiego. Nie mają one, stwierdza raport, jasnej strategii i nie biorą we właściwym stopniu pod uwagę narodowych priorytetów krajów docelowych. Kontrola nadużyć w administrowaniu tymi programami jest niedostateczna, raport notuje m.in. niedopuszczalne fakty opłacania urzędników państwowych krajów korzystających z pomocy zachodniej, bezpośrednio z funduszy Unii Europejskiej. Raport nie mógł pominąć sprawy zachodnich konsultantów. To, jak wiadomo z polskiego m.in. doświadczenia, sprawa sama w sobie, ale raport specjalnie „wyróżnia” specjalistów działających w dziedzinie przemysłu atomowego, określając ich jako „nuklearnych turystów”.

O komentarz poprosiłem jednego z miejscowych obserwatorów. Powiedział mi, że od czasu zredagowania raportu niektóre błędy zostały usunięte, a wady poprawione. Ale, dodał, raport będzie miał skutki, wywoła zapewne ostrą krytykę w parlamencie europejskim, który tylko czeka na takie okazje. Mówiąc w skrócie, spokój w europejskich korytarzach wobec konwulsji w Europie Środkowej i Wschodniej bierze się także z czegoś co można by, z pewną przesadą, nazwać

„poczuciem winy”. Nie należy brać tego zbyt dosłownie, euro- czy NATO-kracja, to nie jest zakon siostry Teresy, zgromadzenie ludzi sentymentalnych, nadwrażliwych na spadek cen wieprzowiny w Polsce czy jakość papryki na Węgrzech. Teza jednak o jakiejś częściowej współodpowiedzialności biurokracji zachodnich za rozczarowanie Europą i Zachodem, za zawiedzione nadzieje obywateli czyli wyborców na wschód od Łaby, jest dziś mniej lub wcale absurdalna. W końcu, to nie Pawlak wymyślił pryszczycę czy embargo na polskie czereśnie. I to nie Kwaśniewski pisuje wstępniaki w *New York Times*'ie, który z obsesyjną regularnością publikuje, pod własną firmą, artykuły reprodukujące rosyjskie argumenty przeciwko objęciu Europy Środkowej i Wschodniej gwarancjami NATO.

#### f) Lekcja Bośni

Po szóste, kwestia postawy Zachodu wobec przemian na Wschodzie czeka na poważniejsze opracowania. Wiadomo, już jednak, że Zachód nie poświęci swoich, dobrze lub źle pojętych, interesów aby naprawdę i w istotnym stopniu pomóc w budowie demokracji w Europie Środkowej i Wschodniej. Pewnie, słów nie brak, rzadko jednak idą za nimi naprawdę ważne fakty. Trudności w wejściu towarów z Europy Wschodniej i Środkowej na rynki zachodnie to właśnie globalny przykład takiej postawy.

Ta zachodnia niemożność ma jednak nie tylko aspekt gospodarczy. Bośnia, mówiąc w wielkim skrócie, to także część tego rozumowania, to dowód, że Zachód nie podejmie decydujących, to znaczy wojskowych kroków w obronie jednej społeczności atakowanej przez inną. Polityka Zachodu wobec Bośni, to, znowu w wielkim skrócie, impuls dla tych, którzy z jednej strony uważają, że poczucie więzi etnicznej góruje nad innymi w podejmowaniu decyzji politycznych i że, z drugiej strony, gwałt jest skuteczniejszym sposobem rozwiązywania sporów niż negocjacje.

#### g) „Nasi przyjaciele”

Po siódme, jest jeszcze jeden skromny ale wymowny powód zachodniej dyskrecji wobec rozmaitych trzęsień ziemi na wschód od Łaby. „Proszę pana, mówi do mnie fachman z

Komisji UE — stać nas — chyba pan w to nie wątpi — na zabranie głosu i poważną publiczną ocenę generalnego już dziś zwrotu na lewo w krajach, które pięć lat temu, wyzwoliły się z komunizmu. Nie robimy tego z wielu względów, m.in. dlatego, że taka ocena musiałaby w zasadniczym stopniu polegać na ostrej krytyce poprzednich rządów: Landsbergisa na Litwie, „Solidarności” w Polsce, Antalla na Węgrzech. A tego, ze zrozumiałych względów, czynić nie chcemy. To przecież nasi przyjaciele”.

### III. NAJNOWSZA EWANGELIA czyli ŚWIADEK

Stephen R. Graubard, redaktor bardzo poważnego periodyku „Dedalus” (pismo Amerykańskiej Akademii Sztuk i Nauk), zastanawia się we wstępie do specjalnego wydania (lato 1994) noszącego ogólny tytuł: „Co po komunizmie?” jak wytłumaczyć tak słabą reakcję Zachodu na, jak je nazywa, „kosmiczne wydarzenia” naszej epoki, dlaczego tak ograniczone były przekształcenia instytucjonalne umożliwiające przez koniec zimnej wojny. „Najbardziej zdumiewającym aspektem ostatnich pięciu lat, pisze Graubard, okazał się być może fakt, że tak wielkie niewątpliwie historyczne wydarzenia wywołały tak ograniczoną refleksję i dyskusje na Zachodzie, że wywołały tak mało kontrowersji... Zachód był tak zajęty jego własnymi, nieporównanie mniej istotnymi społecznymi i gospodarczymi kryzysami, że nie potrafił pojąć wagi wydarzeń w byłym świecie komunistycznym dla niego samego i dla świata w ogóle”.

W takiej sytuacji, kiedy samemu ma się niewiele do powiedzenia, najlepiej znaleźć tak zwanego wiarygodnego świadka. Zachód go znalazł i wykrzyknął: „Jest taki świadek!”. Świadek ten kiedyś wypowiedział zdanie, które jest teraz cytowane przy każdej nadarzającej się okoliczności: „Na Zachodzie sukces jest szanowany. Tutaj, u nas, sukces budzi podejrzenia”.

Świadek nazywa się Wojciech Jaruzelski. On wie co mówi. Jego sukcesy podejrzeń nie budzą. Zwłaszcza na Zachodzie.

Pisane 16 października 1994

Leopold UNGER

## Kraj

### Bijatyka w Warszawie

1.

Lech Wałęsa zgłosił się już był przed wakacjami jako pierwszy kandydat do fotela prezydenckiego w wyborach, których termin ustawowy przypada w listopadzie 1995. Teraz jednak — a mamy 11 października 1994 — nie jest wcale pewne, czy Wałęsa chce być wybrany, czy też raczej sam się uznał za wybrańca i zamierza ten wybór narzucić społeczeństwu. Zapewne, kolejne sondaże opinii nie dają obecnemu prezydentowi wiele szans. W ostatnim (CBOS, wrzesień 94) uzyskał 9% wskazań i, co ważniejsze, w żadnej dziś wyobrażalnej kombinacji w drugiej turze nie udaje mu się wygrać: przegrywa zdecydowanie z Pawlakiem, z Kwaśniewskim, z Olechowskim, z Kuroniem. Wałęsa i jego akolici afiszują wprawdzie lekceważenie dla rezultatów sondaży, ale nie można wątpić, że strategia normalnej demokratycznej gry i walki wyborczej o drugą kadencję wydaje się im coraz mniej zachęcającą perspektywą. Nie rezygnując z niej otwarcie, prezydent i jego ludzie zamierzają, zdaje się, „podeprzeć” tę strategię działaniami, które już dziś ocierają się o bezprawie.

Nie tylko kiepskie rokowania w sondażach pchają tych ludzi na niebezpieczne ścieżki (tego właśnie terminu — niebezpieczne — użył Wałęsa zapowiadając przed odlotem do Holandii swoje nowe posunięcia tuż po powrocie...). Są jeszcze dwa inne, głębsze i istotniejsze powody.

Pierwszym jest poczucie osamotnienia politycznego, niemożność pozyskania jakiegokolwiek bardziej znaczącego poparcia ze strony liczących się formacji. Spotykając się z generacją — z prezydenckich przedsięwzięć — Wałęsa wiedział już, że nazajutrz będzie na Zjeździe NSZZ „S” w Mielcu

przyjęty chłodno: Marian Krzaklewski zapowiedział był z góry, że „S” nie poprze żadnego z aspirantów do prezydentury, a solidarnościowy projekt konstytucji wcale nie odpowiada Wałęsowym ambicjom. Jakoż w sobotę 1 października rozpaczliwe wysiłki prezydenta na trybunie mieleckiego zjazdu nie przyniosły żadnego efektu. Jest coś symbolicznego w tym, że Lech Wałęsa, tak niedawno przywódca wolnościowego związku zawodowego, łasi się dzisiaj do postkomunistycznej generacji, która „swoją 30-letnią służbą daje dowody oddania Polsce...” (z przemówienia w Drawsku), z własnymi zaś kolegami nie znajduje wspólnego języka.

Drugim z owych głębszych i istotniejszych powodów niebezpiecznego zwrotu w działaniach ośrodka prezydenckiego jest zbyt często zapoznawany fakt, że Wałęsa walczy nie po prostu o drugą kadencję dla siebie ale zarazem o prezydencki system władzy w Polsce. Ponieważ zaś nie ma żadnych szans na to, by taki system ustanowić w toku normalnych prac konstytucyjnych — prezydencki projekt ustawy zasadniczej ma jeszcze o wiele mniejsze poparcie niż sam prezydent — Wałęsa postanowił najwyraźniej posłużyć się metodą faktów dokonanych. Samo w sobie nie jest to nowością. Już od pierwszych dni prezydentury Wałęsy rozbudowa jego kancelarii, tabuny ministrów i podsekretarzy stanu dublujących, przynajmniej w intencji, rząd — wszystko to zapowiadało strategię rozpychania prawnych ram prezydentury. W kilku różnych istotnych ustawach przyjętych potem przez parlament — przede wszystkim w tzw. Małej Konstytucji z 17 października 1992, w ustawie o sądownictwie, w ustawie o Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji — pertraktacje z prezydentem zaowocowały nie tylko rozwiązaniami kompromisowymi wprawdzie, lecz przynajmniej przyzwolenie sformułowanymi, ale również zwykłymi niedopowiedzeniami, które potem Belweder wykorzystywał bezwzględnie. *A la bonne guerre...* Następnie przyszedł czas na zwykłe już przywłaszczanie sobie kompetencji bez żadnych podstaw, jak np. nominowanie członków KRRiT bez kontrasygnaty premiera (Suchockiej), czy, znacznie poważniejsze, żądanie decydującego głosu przy nominowaniu tzw. ministrów prezydenckich (na co milcząco zgodzili się Pawlak i SLD). I nie jest wcale przypadkiem, że właśnie w tych dwóch kwestiach prezydent poszedł teraz o krok dalej, przypisując sobie prawo do kierowania formalnie niezależną KRRiT oraz ministrami i resortami prezydenckimi, formalnie podległymi premierowi i parlamentowi.

2. Perypetie Wałęsy z Krajową Radą Radiofonii i Telewizji zostały już szeroko opisane i anegdoty nie są tutaj potrzebne. Warto natomiast zwrócić uwagę na pewne przesłanki dzisiejszego kryzysu, z których autorzy ustawy o ustroju mediów zapewne nie do końca zdawali sobie sprawę. Ustawie tej przyświecały dwie wartości naczelne: służby publicznej oraz pluralizmu mediów. Otóż każda z nich wywodzi się z innego kręgu ideowego. Media w służbie publicznej są ideą tego samego typu, co „państwo w służbie obywateli”, innymi słowy, są instytucją społeczeństwa obywatelskiego. Pluralizm mediów zakłada natomiast ich prywatyzację i konkurencję wzajemną, jest ideą z domeny gospodarki rynkowej. Ta odmienność nie oznacza, iżby nieuchronny był tutaj konflikt wartości. Oznacza jednak, iż aby konfliktu uniknąć konieczne jest spełnienie dodatkowych warunków. Media publiczne muszą mieć oparcie w rzeczywistym społeczeństwie obywatelskim, w ugruntowanym obyczaju demokratycznym i zwłaszcza wyraźnej hierarchii wartości kulturalnych społecznie akceptowanych, aby nie ulec pokusie konkurencji degradującej lub presji interesów politycznych, aby więc nie zaprzedać się ani mamoniom ani władzy. Z kolei media prywatne nie powinny się przekształcać w monopole, o co jest bardzo łatwo zważywszy na ich kapitałochłonność i ograniczony zasób częstotliwości.

Jak trudno jest spełnić oba warunki dowodzi fakt, że w Europie właściwie tylko Brytyjczycy są zadowoleni ze swoich mediów. I wypada stwierdzić, że na tle takich na przykład Włoch, gdzie nie wiadomo dziś, czy telewizja należy do rządu czy raczej rząd do telewizji, Polska wcale nie wypada najgorzej. Ponieważ jednak ustrój mediów audiowizualnych jest u nas dopiero w stadium załączkowym, błędy popełniane mieć mogą niepomierne skutki i z drobnego mankamentu w zarodku robi się wodogłowie. Otóż mankamenty były wcale nie takie drobne.

Najpierw, z zasady, że członków KRRiT mianuje sejm, senat i prezydent (4:2:3), zrobiła się natychmiast zasada kluczowa politycznego: w Radzie zasiadają przedstawiciele sił politycznych, nie zaś, jak być raczej powinno, fachowcy od komunikacji społecznej cieszący się zaufaniem i poważaniem publicznym. W rezultacie obiektywizm Rady, jeśli istnieje, to nie jako owoc obyczajów i pozycji jej członków, ale jako efekt równowagi sił. Kiedy takiej równowagi zabraknie, obiektywizm diabli biorą. Tu trzeba zauważyć, że podczas

gdy parlament delegował wprawdzie swoich przedstawicieli, ale na ogół zachowywał się powściągliwie i potem na nich nie naciskał, prezydent swoich delegatów — Markiewicza, Hołwieckiego i Bendera — uważał za „swoich ludzi” i domagał się od nich bezwzględного posłuszeństwa. Wnet okazało się, że prezydent chce mieć po prostu swoją telewizję. (Berlusconi wyprzedził w tym o dwie długości, bo mało, że był pierwszy z tym pomysłem, ale nadto nic go to miało nie kosztować). Stąd też pierwszy konflikt: Wałęsa domagał się mianowania prezesem zarządu TVP kolejnego „swojego człowieka”, najlepiej Zaorskiego, KRRiT wybrała Walendziaka. Jest on wprawdzie człowiekiem prawicy gotowym na wiele, by wspomóc Kościół (z którym właśnie podpisał nową umowę podwajającą czas antenowy emisji pod kontrolą kościelną) oraz „prawą nogę” — ale jednak nie jest „swoim człowiekiem” i woli, żeby prawa noga maszerowała bez pana prezydenta. Niezależnie od tego, czy kierownictwo Walendziaka i jego pampersów — tak dobrotliwie, nazwą nieprześląkliwych pieluszek, określa się w Warszawie młodą ekipę z przyjaciół prezesa — ocenimy jako sprawne, mierne czy kiepskie, pewne jest, że KRRiT nie zdecydowała się uniezależnić publicznych telewizji regionalnych i oddzielić obu kanałów ogólnokrajowych. Moloch publicznej TV, mimo różnych zmian niższego rzędu, pracuje ociężale i emituje, już w nowym systemie producenckim nie mniejszą ilość złych i bardzo złych programów. Kto więc chce się czepiać, będzie miał czego.

Potem zaczęło się przyznawanie koncesji i KRRiT zrobiła swój największy błąd. Zamiast zażądać publicznej kontroli wykazów wolnych częstotliwości przyjęła za dobrą monetę zapewnienia, zwłaszcza MON, że jest ich zbyt mało, by starczyło na więcej niż jedną sieć ogólnopolską. Dziś wiadomo już, że to nieprawda. Ale nawet gdyby tak było, należało raczej koncesjonować kilka sieci regionalnych, niż wdać się w konkurs na jedną sieć krajową, w którym wielkość stawki oraz brak jakichkolwiek empirycznych kryteriów oceny ofert (sami *homines novi!*) otwierały pole paraliżującym naciskom politycznym i finansowym: Belweder, gwoli sprawiedliwości, nie był jedynym źródłem presji politycznych, a Nicola Grauso z Polonii 1 nie jest jedynym odpalonym konkurentem, który żali się przy kieliszku, że „dawał, niestety, nie temu, komu było trzeba...”. Jeden z członków KRRiT stwierdził w rozmowie ze mną, że koncesję Polsatowi — którego program jest żalony — dali dlatego, iż w ten sposób uniknęli naprawdę trudnego wyboru pomiędzy równorzędnymi oferta-

mi wyższej klasy. W rezultacie wybór Polsatu jest znacznie jeszcze łatwiej atakować niż wybór Walendziaka. Kiedy zaś prokuratura kazała definitywnie zamknąć pirackie stacje i zgasała połowa kanałów odbieranych w polskich miastach, zamiłowanie do praworządności nie uchroniło 37% respondentów (a 59% wśród odbiorców Polonii 1) od zaprotestowania przeciw odbieraniu im tej rozrywki (OBOP, we wrześniu).

Poświęciłem tyle miejsca zreferowaniu błędów KRRiT, żeby móc z czystym sumieniem oddać sprawiedliwość zarówno polskiej prasie jak zwłaszcza opinii publicznej, która w ogromnej większości potępiła prezydencką ofensywę przeciw KRRiT jako bezprawie i zamach na niezależność mediów. Fakt, że 65 Polaków na 100 (przeciw 15) nieomylnie rozpoznało zagrożenie, mimo, jak wywiodłem, rozmaitych obiektywnych powodów do niezadowolenia ze stanu mediów, naprawdę przynosi zaszczyt naszej opinii publicznej i jest najbardziej pozytywnym faktem w tej aferze.

Najmniej, zapewne, przyczyniły się do takiego rezultatu dość kabotyńskie wystąpienia publiczne byłych „swoich ludzi” prezydenta. Zwłaszcza Maciej Iłowiecki nie był wcale przekonujący w roli Joanny d'Arc. Za to jednak pierwsza konferencja prasowa trzech nowych nominatów prezydenta — gen. Andrackiego, mec. Kwiatkowskiego i reż. Zaorskiego — pokazana w TVP zrobiła tak piorunujące wrażenie, że na groźne żądanie samych zainteresowanych red. Bochenek natychmiast zawiesił dwie dziennikarki, które przygotowały emisję. Nazajutrz Walendziak odwiesił obie dziewczyny i w zamian zawiesił Bochenka — i to był ostatni komunikat, jaki otrzymałem z tej wojny pampersów... Nie da się zaprzeczyć, że trzech panowie wyglądali jak gangsterzy na przesłuchaniu i mogli się sobie bardzo nie podobać.

15 października miało się odbyć posiedzenie KRRiT w nowym składzie. Protesty zewsząd, niewątpliwe orzeczenie NSA... ale panowie Zaorski, Andracki i Kwiatkowski zachowują się jak przystało na fakty dokonane i urzędują niezachowanie.

W starej anegdocie królowa angielska Elżbieta I pytała admirała Drake'a, awansowanego z pirata, jak sobie radzić z nadpływającą Armadą hiszpańską. — Są dwa sposoby, WKM — odrzekł Drake. — Jeśli przeciwnik uderzy, zagrozić, że gdy spróbuje ponownie to oberwie, to jeden... — A drugi? Dać mu w gębę i powiedzieć, że jak odda, dostanie jeszcze mocniej... Oto więc jeden przynajmniej взгляд, pod którym prezydent Wałęsa z Mieczysławem Wachowskim przypominają królową Elżbietę z admirałem Drake'm: zawsze pierwsi

zaczynają bójkę. Jak dotąd, wychodzą cało i z łupem.

### 3.

W końcu września w parlamencie przeważała opinia, że Sejm nie zdecyduje się głosować za Trybunałem Stanu dla Wałęsy z powodu zamachu na KRRiT. Odpowiedni wniosek trzyosobowego koła PPS nie miał żadnego poparcia. Maksymalną reakcją izby miał być wniosek o poprawki do ustawy o KRRiT. W łagodniejszej wersji Unii Pracy odebrano by prezydentowi prawo nominowania przewodniczącego Rady, co było odpowiedzią na przedwakacyjny i bezkarny dotąd fakt dokonany z tej samej prezydenckiej serii. W wersji ostrzejszej, SLD, prezydentowi odebrano by na rzecz parlamentu dwóch z trzech nominatów, jakimi dysponuje w Radzie. Nawet w razie pośpiechu parlamentu ustawę prezydent z pewnością zawetuje, wtedy zaś trzeba by w Sejmie poparcia również części Unii Wolności, aby veto obalić. Ale Unia Wolności, jak zwykle, pyskuje dużo i wzniosłe, lecz naprawdę wojować z Wałęsą i to wspólnie z lewicą wcale jej nie spieszo. Zresztą, nie spieszo również lewicy, szczególnie jej głównym liderom. Tak Pawlak, jak zwłaszcza Kwaśniewski, którym sondaże dają nieodmiennie pierwsze miejsce w wyborach prezydenckich, zaczynają się już zachowywać jak kandydaci: budują swój *image* z myślą również o wyborcach spoza własnego podwórka. Pawlakowi całkiem odpowiada wizerunek chłopca działającego z uporem, konsekwentnie ale i z namysłem. Kwaśniewski lubi sam siebie jako Europejczyka, otwartego na wszystkie propozycje i wszystkich partnerów. Niechaj więc Wałęsa miota się po scenie i ośmiesza: tacy dwaj, jak my, tym lepiej go przetrzymamy. Byle tylko nie robić żadnych gwałtownych ruchów, takich zwłaszcza, które by czyniąc z Wałęsy ofiarę koalicji, mogły wzbudzić nagłą solidarność z nim wyborców. Dochodzi i ten jeszcze względ, że w obecnej fazie ośrodek prezydencki podgryza raczej premiera niż SLD: Pawlak jako kontrkandydat jest dla Wałęsy z pewnością zabójczy, Kwaśniewskiego natomiast udałoby się może osamotnić jako eks-komucha i pokonać...

Drobniejszych pojedynków Wałęsa-Pawlak było ostatnio wiele i toczyły się bądź toczą ze zmiennym szczęściem. Wymienię sprawę z komendantem głównym policji (Pawlak blokuje kandydatury, które Milczanowski uzgadnia z prezydentem, a Wałęsa odwrotnie) i ekspedycję sił polskich żandarmów na Haiti, do czego Wałęsa zobowiązał się telefonicznie wobec Clintona w ogóle bez wiedzy rządu, na co z

kolei Pawlak odpowiedział blokując przyznanie pieniędzy na wyprawę (3 mld zł)... Potem Amerykanie, zorientowawszy się, że strzelili gafę, uratowali warszawskich partnerów zawiadamiając żeby ekspedycja jeszcze nie wyjeżdżała, bo czegoś tam nie przygotowano...

To wszystko były jednak drobne potyczki, mimo degradacji klimatu, do burzy z piorunami nie dochodziło. Kiedy jednak okazało się, że MON przygotował już projekt ustawy o strukturach dowódczych, w którym podtrzymuje podporządkowanie szefostwa sztabu ministrowi obrony, nastąpiło wypowiedzenie wojny.

Na manewrach w Drawsku Pomorskim, na spotkaniu z udziałem m.in. 13 generałów z dowództwa sił zbrojnych, z szefem sztabu Tadeuszem Wileckim, ministra Piotra Kołodziejczyka, wiceministrów Milewskiego i Waniek oraz Wałęsę i Wachowskiego odbyła się dyskusja, w której generalicja nie zostawiła na Kołodziejczyku suchej nitki; jego wiceministra Danutę Waniek oskarżono o podważanie dyscypliny i katolickiego morale wojska przez niewczesne ankiety socjologiczne. Musiało to być nie lada widowisko, kiedy zasłużona komunistyczna generalicja gromiła panią Waniek z SLD za obrazę boską... Zaiste, sukcesy biskupa generała Głódzia w nawracaniu kolegów graniczą z cudem. Ale to był raczej humor na deser. Po dyskusji, Wałęsa zalecił generałom głosowanie nad... votum zaufania dla ministra: 11 głosowało przeciw, 2 się wstrzymało. Wobec tak pomyślnego rozwoju scenariusza, prezydent zaproponował ministrowi dymisję obiecując mu „inne stanowisko” (ponoć ambasadora przy NATO w Brukseli). Kołodziejczyk wziął krótki urlop zdrowotny, prezydent wyruszył do Holandii powiadomiwszy uprzednio Pawlaka w czasie poniedziałkowej (3. X) rozmowy, że Kołodziejczyk musi odejść.

Pod koniec tygodnia minister przeprowadził rozmowy w sejmie z Kwaśniewskim i Mazowieckim, którzy obaj w imieniu SLD i UW zawiadomili go, że nie chcą, by podawał się do dymisji oraz z Pawlakiem, który powiedział to samo. Kołodziejczyk oświadczył wobec tego, że nie widzi powodu by odchodzić.

Następny akt rozpoczął się 10 października. Wałęsa przyjął Kołodziejczyka, który przekonywał go, że jest źle informowany o sytuacji w wojsku — ale nie przekonał, bo Wałęsa ponowił swą propozycję: do dymisji i do Brukseli. Potem nie odbyła się kolejna poniedziałkowa rozmowa prezydenta z premierem (Pawlak na ogół manifestacyjnie odmawia odwiedzin, rozmowy są najczęściej telefoniczne), za to Paw-

lak przyjął Kołodziejczyka i Wileckiego. We wtorek 11 października obu panów miała wysłuchać sejmowa komisja obrony... I tak dalej.

Może Kołodziejczyk się utrzyma, a może i nie. Ale to, co się nie powinno stać, już się stało. Generalicja, którą prezydent zachęcił, by ocenzurowała swego ministra, wkroczyła na scenę polityczną. Poprzednio, ta sama grupa generalska z Wileckim przygotowała na zamówienie Belwederu projekt nowej struktury dowodzenia siłami zbrojnymi, w której szef sztabu generalnego podlegałby bezpośrednio prezydentowi, z pominięciem ministra obrony i jego resortu. Prezydent jest konstytucyjnie „najwyższym zwierzchnikiem” sił zbrojnych, co, oczywiście, nie znaczy, by Wałęsa z Wachowskim i Goryszewskim byli w stanie rzeczywiście kontrolować armię. Cywilny minister obrony ma do tego cały MON. Projekt szefostwa sztabu oznacza z pewnością koniec kontroli cywilnej.

Generałowie mają, oczywiście, szereg pretensji rzeczowych, zwłaszcza o pieniądze (ale którzy generałowie na świecie nie mają?). Uważają, że poniżej 3% dochodu narodowego na wojsko — nie wydolą (teraz mają 2,5%). A nie ma na to żadnych szans, również w 1995, i bynajmniej nie z winy Kołodziejczyka, którego sztab oskarża, że się źle stara. Lecz poza rzeczowymi pretensjami kadra generalska kultywuje też swój szczególny, kastowy stosunek do świata. Generał Jaruzelski, który w swoim czasie dał jej poczucie, że uwalnia ją od kontroli cywilnej (wtedy PZPR) — jest po dziś dzień jej idolem. Nie zapominajmy, że to jest ta sama kadra, która sprawnie i z zapałem wprowadziła stan wojenny (wówczas wprawdzie byli majorami i pułkownikami).

Prezydent Lech Wałęsa w swej walce o „więcej władzy i jak najdłużej” dotarł na bardzo zaiste niebezpieczny teren. Pojmuje on zapewne, że wraz ze swoją kancelarią nie jest w stanie kontrolować sił zbrojnych. Ale Wałęsa wcale nie rozumie kontroli — rzeczowo. Sądzi, że kontroluje ludzi, to znaczy, że manipuluje nimi. Jeszcze, zdaje się, nie zauważył, że wszyscy „swoi ludzie” okazują się raz za razem nie swoi, że jest coraz bardziej sam.

Jest taka bajka o uczniu czarnoksiężnika. Też chciał manipulować, a nie umiał. Skończyło się zalaniem mieszkania. Ale uczeń manipulował miotłą. Z generałami może być gorzej.

11 października 1994

Krzysztof WOLICKI



## Z ukosa

Spotkanie z kobietą, już niemłodą, w której zastygł niemal doskonale kształt młodej ślicznej dziewczyny. Powstało dzieło tak spójne, że nawet nie przychodzi na myśl by je od siebie oddzielić. Bardzo niewielu ludzi podobnie się starzeje.

Nasze dzieci tak wyrosły, że stały się niemal naszymi rówieśnikami. Kiedy rozmawiam z piękną dziewczyną która w mojej pamięci jest małą dziewczynką, czuję, że stało się coś doniosłego, co widzę, ale czego nie pojmuję. Najtrudniej mi z ulokowaniem siebie w tej bruździe po obrocie wielkiej sceny.

U moich przyjaciół spotykam ludzi kiedyś bliskich, których nie widziałem przez lata i teraz nie potrafimy się odnaleźć w śmietniku zmian, które w nas zaszły.

Córce dziewczynki, z którą bawiłem się w dzieciństwie a z której dorosłym wcieleniem przyjaźnię się do dziś, opowiadam jak bawiłem się z jej mamą na podwórku, które zna bo odwiedza czasami swoich dziadków. Zadaje mi bardzo konkretne pytania i dochodzimy do wniosku, że świat jednak bardzo się zmienił przez te lata. Nawet trzepak pełni już dzisiaj inne role.

Z wiekiem coraz mniej jest marzeń, coraz mniej mają one kolorów, często zmieniają się w sople, z których kapie woda, a kiedy spadają mogą rozbić głowę.

Od lat marzyłem by zagrać w tenisa z ładną dziewczyną. (Przepraszam, że mam takie luksusowe marzenia). Gram z facetami, cóż z tego, że niektórzy wyglądają przyjemnie. W Polsce kobiety uprawiają bardzo mało sportu, w ogóle stan sprawności naszego społeczeństwa jest żaloszny. Wszędzie trwa pochłanianie tej papki papierosowej, alkoholowej, jest w tym jakiś rodzaj autodestrukcji. I oto udało mi się zagrać w tenisa z ładną dziewczyną, ale nie przypadkiem moja partnerka chociaż mieszka teraz w Polsce całe świadome życie spędziła w lepszym świecie. Po realizacji tego marzenia nie czułem się pusty jak to się zdarza, gdy zbyt długo się czeka, było miło, ale tkwiła w tym zaspokojeniu jedna drzazga. Dopiero po kilku dniach udało mi się ją wyjąć i obejrzeć. W marzeniach dziewczyna miała białą tenisową spódniczkę, a moja partnerka grała w spodenkach.

Zaś ekskluzywny klub tenisowy, w którym opisywałem kil-

ka miesiący temu gołe rekiny naszego drapieżnego kapitalizmu, zdążył już zbankrutować. Odcięto im najpierw elektryczność, a obecnie telefon, zostały tylko gołe korty, przy pozamykanych restauracjach i saunach. Jestem pewien, że właściciele, wcześniej zdążyli się spakować i uciec w krzaki. Takie czasy.

Mój przyjaciel, Japończyk od lat mieszkający w Polsce, bardzo kiedyś zaangażowany w działalność opozycji, wydaje się dzisiaj bardzo zagubiony, może bardziej niż my wszyscy. Bo jak wiadomo, dla Japończyka niezwykle ważna jest hierarchia i gdzie kto w niej się lokuje. Polska jest krajem gdzie hierarchie są bardzo ważne, ale na ruchomych piaskach i doprawdy nie można się w tym połapać. Był taki czas gdy przynajmniej było wiadomo kto wróg a kto nasz, co czarne a co białe. Po sporej wódce J. próbuje wyłuskać z siebie wielki problem, który go dręczy, wypłata go ze swojej japońskiej głowy i wypłata i wypłeść nie może, w końcu pyta wybałuszając skośne oczy: — o co właściwie teraz w tej Polsce chodzi?

Gdybym ja wiedział?!

Jak duch przeszłości, duch niezwykle odkształcony przez czas, na przyjęciu u J. pojawia się Jan Kułaj, tak, ten Kułaj, słynny przywódca chłopskiej „Solidarności”, wtedy kawał niezwykle przystojnego i wygadanego chłopca, takiego sienkiewiczowskiego watażki. Ale przyszedł stan wojenny i Kułaj udzielił telewizji wywiadu gdzie poparł ten stan. To był chyba najwyższy hierarcha „Solidarności” co tak nawalił. Teraz bodaj tłumaczy się, że był zaskoczony i nieprzygotowany.

Dzisiaj Kułaj nosi drugiego Kułaja w postaci tłuszczowej, ledwie się w drzwiach mieści. Czy dźwiga swoją zdradę? Jak się wydaje ona już prawie mu nie ciąży, więc nawet próbuje wrócić do polityki. Mówi, że znał trochę Wachowskiego, który teraz jest wielkim politykiem, to co, on teraz sam nie może? I jeśli superszpiega PRLu proponuje się na szefa wywiadu, to dlaczego on, Kułaj nie ma wrócić do polityki? Czy to on brudniejszy od nich?

Fascynuje mnie to gadanie polskich chłopów, gadanie, które odkryliśmy właściwie w czasie „Solidarności”, niezwykle jędrne, obrazowe, gdzie w słowach zdarzają się grudy ziemi, i fragmenty korzeni odległej przeszłości. Ale ta swada, jędrność ironii i dowcipu, te niezwykle obrazy są w dużej mierze formą, za którą jest mniej mądrości niż się zdaje. Przykrywa

ona też wiele irracjonalnych strumieni oraz myślowych mielizn. Kiedy Kułaj opowiada o swoim gospodarstwie, by ukazać, że jest na uboczu, mówi „tam gdzie wrony zawracają”. I jak wbrew pozorom nie jest poetą, nie jest też politykiem. Dzisiaj prowadzi gospodarstwo, ale ma też jakiś interes. Przyjeżdża po niego samochód z kierowcą, któremu długo każe czekać przed domem, celebryta to czekanie wielce publicznie, po czym wychodzi uroczyście, krokiem Prezydenta. Czyli z chłopca Pan, jak wszystkie Polskie Pany, lekko wzdęty godnościowo, a ten nieszczęsny wywiad w mroku wojennego stanu tkwi w jego plecach jak nóż zupełnie już otorbiony i widoczny jedynie dla wtajemniczonych.

Kilka godzin jazdy niemal zupełnie pustym autobusem do Sandomierza. Wysłany zostałem z kolegą na spotkanie jako współpracownik miesięcznika X. Nigdy nie byłem w Sandomierzu więc czułem wstyd, że nie znam własnego kraju. Nieco się zawiodłem, bo obszar zabytkowy w imaginacji wydawał mi się większy. Ale widok z wieży na okolicę niebywały. Jako że Polska została dosyć starannie obrzydzona przez polucję i architekturę, jak się patrzy na taki ładny krajobraz miejsko-przyrodniczy, to się człek obraca delikatnie, jakby się bał, że ten krajobraz zaraz się stłucze.

Na spotkanie nie przyszedł prawie nikt. Jeśli nie liczyć osób co były niejako z urzędu, pojawiło się bezinteresownie osób sześć. Tak wygląda kulturalne tętno nie tylko naszej prowincji. Ktoś mi opowiadał, że w Warszawie na spotkanie z pewnym słynnym poetą przybyło osób niewiele więcej. Ta publiczność w Sandomierzu zachowywała się bardzo po polsku. Nie była szczególnie zainteresowana tym co mamy im do powiedzenia, a bardzo tym co ma do powiedzenia sama. Zostaliśmy zupełnie zagadani, dosyć zresztą chaotycznie. Obserwowałem jak w tych głosach z sali kwitnie *Ja*, bardzo rozkrzewione. Poczułem, że w gruncie rzeczy jesteśmy, my goście, tylko lustrem, w którym obecni przeglądają się na różne sposoby, rozdając przy okazji sobie nawzajem małe kuksańce. Słuchałem tego z pewnym rozbawieniem, a w pewnym momencie nawet zaproponowałem, że zamienimy się na miejsca, my się przesiądziemy na widownię, ale to też nie przerwało gadania.

Potwierdza się, że ludzie u nas są pogubieni w nowej rzeczywistości, nie mogą dla siebie znaleźć pisma, partii politycznej i sensu. Jeden z Panów zwierzył się jakoś podobnie do mojego Japończyka.

— „Mam straszną trudność ze zrozumieniem zachowań Polaków”.

W rzadkich chwilach dialogu na sali zgadzamy się, że brakuje nam wszędzie energii, by robić cokolwiek. Również na tej małej sali panuje poczucie, że niczego się zrobić nie da, bo wszędzie coś przeszkadza. Ci ludzie bardzo łatwo wierzą w jakiś spisek, bo nie chcą uwierzyć we własną niemoc.

Dochodzę do wniosku, że Polacy, chociaż niby indywidualiści, nadal bardzo chcą, by nieustannie za nich ktoś decydował. Lecz jako że mają ten mocny zarodek indywidualizmu, i źle się czują w kolektywie — chcą by decydował ktoś za nich, ale tak, jak oni chcą. Nie jest to łatwa formuła.

A jak się zmienia parter małego miasta? Wolniej niż w Warszawie, ale jednak się zmienia. Pojawiają się ładne wystawy, barek gdzie można dosyć tanio, szybko, czysto i ładnie zjeść. W nocy jednak wszystko pustoszeje a wtedy po kątach króluje wódka. I cała prowincja jeszcze bardziej niż Warszawa jest przesiąknięta jakimś przenikliwym zapachem papierosów i piwa. Bronię się przed myślą, że ten zapach najbardziej mi się kojarzy teraz z Polską.

Rząd Pawlaka coraz bardziej żałośnie wygląda na zewnątrz. Więc wyniki badania opinii publicznej, które mówią, że Pawlak zostałby dzisiaj Prezydentem bijąc na głowę Kwaśniewskiego, Kuronia i Wałęsę, znowu budzą brzydkie myśli, że jesteśmy głupszy niż nam się zdaje. Premier, przezywany portretem pamięciowym, ma twarz której wyraz nadaje ukryte przerażenie własną ważnością i czy jej sprostą. Chłopi go rzecz jasna już nie uważają za swojego, bo za bardzo zważniał. Inteligentów poraża swoją prostotą. Zresztą, czy jako wyziciel wiejskich interesów — idei przetrwania dla milionów małych gospodarstw, które są balastem dla kraju — czy może podobać się miastu? Więc doprawdy zdumiewa jego popularność. Czyżby ta szarość, pozorny spokój, małowówność, i ów wyraz, nie spodziewajcie się po mnie żadnych gwałtownych ruchów, czyżby ten splot dawał mu taką popularność? A może zaściankowość, brak dynamiki i wyrazu jest pastylką, która uspokaja polskie nerwy zszarpane wielką zmianą. Wydawało się, że jest regułą, że ludzie chcą by rządził nimi ktoś znacznie ich przewyższający, kto potrafi otworzyć drzwi a nie pilnuje zamkniętej bramy. Jedno pewne, jest w tym znak jak bardzo skompromitowało się u nas życie polityczne. A fakty coraz bardziej gołe — szef

rządu nieustannie odkłada trudne decyzje, rosną konflikty w łonie gabinetu, są próby centralizowania wszystkiego, a tempo reformowania kraju spada. I jest myślenie kategoriami: własnej partii, a nie Polski.

X. wysoki rangą urzędnik mówi mi — „Pawlak, pół biedy, ale jego otoczenie, już nawet przestałem chodzić na obiady do URM, takie okropne jest tam teraz towarzystwo, że tracę apetyt”.

Inny urzędnik mówi mi, że ma poczucie zupełnego absurdu, a jest, jak twierdzi, w tym urzędzie „niedobitkiem po Suchockiej”. Opowiada, że nastał w Urzędzie Rady Ministrów jakiś kompletny marazm. „Kiedy tam chodzę i coś załatwiam czuję się jakbym nosił w rękach z miejsca na miejsce wyciekającą wodę”. Najbardziej pobudzają wszystkich wycieczki dla pracowników, które rozmnożyły się niebywale.

To przerażający obraz, bo oddaje brak wizji politycznej rządowej ekipy, brak pojemności umysłowej by kierować krajem. W gruncie rzeczy cała inteligencja rządu zawiera się w trójkącie miasteczek Płock, Siedlce, Łuków... bo stamtąd jest Premier i najbliżsi mu ludzie. Złośliwi przewidują nawet rozkwit tego regionu w szybkim czasie. A co z resztą kraju?

O tej szlacheckiej folwarczności Polski piszę do znużenia, ale to się nieustannie potwierdza.

Wałęsa ponownie rusza do szturm na komunizm. Przywitany gwizdami oraz ochłapkami oklasku na zjeździe „Solidarności”, Prezydent cisnął pioruny na rząd. Że blokują reformy, że pogrążamy się w marazmie. Ma rację, ale do prawdy żalodne, że on ma być naszym św. Jerzym co ruszy na smoka, skoro tego smoka uprzednio nieźle podkarmił.

Premier tak się przejął atakiem, że wystąpił wieczorem w telewizji. Trafiała kosa na kamień. Sprytny chłop dał do zrozumienia narodowi, że blokuje prywatyzację, bo ma obawy by Polski nie przejęły przy tej okazji obce ręce. Oto Premier utrafia w dość powszechne spiskowe myślenie, że obce ręce mieszają w Polsce, dlatego jest tak ciężko. I że grozi nam, że obcy nas połkną. Ciekawe jakim chwytem złapie go za gardło sprytny robotnik. Tak oto chłop z robotnikiem pobawią się naszym kosztem w targaniu się za szlacheckie czuby, bo o dziwo, oni te szlacheckie czuby mają.

Książka Edwarda Redlińskiego „Szczuropolacy”, autora niegdyś doprawdy interesującej prozy, narobiła trochę hałasu, ale kiedy przejrzałem wszystkie o niej recenzje to nie znalazłem ani jednej sensownej. Stan naszej krytyki jest więc niż

opłakany. A powieść „Szczuropolacy” właściwie interesująca, ale czy coś więcej?

Redliński w latach 80-tych wyjechał do USA, spędził tam sporo lat, jak się wydaje zupełnie bez sensu. Męczył się nieludzko, zienawidził USA za drapieżność, a kiedy wrócił na łono ojczyzny odkrył z przerażeniem, że prawie wszystko, co tak zienawidził tam, zastał w swej ojczyźnie.

W książce wyjaśnia co czuł przed wyjazdem z USA. „Co dalej? Dogorywać w tej nieszczerzej Polsce — zaszczutej od Zachodu i Wschodu — i jeszcze od środka? Brnąć jak szkapa ze zwieszoną beznadziejnie głową, jakoś dobrać do końca? Zapić się na śmierć, powiesić — jak to dwóch moich bliskich uczyniło, żeby z wszechogarniającego fałszu się wyrwać — sprawdzić? A nuż można inaczej?”

Ciekawe, bo tak mówił pisarz, który w swoim kraju zrobił wielką karierę. Czy jednak nie podobnie beznadziejnie czuliśmy wtedy wszyscy, ci przegrywający ale też i ci co wygrywali? Tak, tu nawet ludzie sukcesu byli przegrani.

Już poza książką Redliński zwierza się, „Pojechałem na 6 tygodni — nawet bez marynarki, bez zapasowej koszuli. I ugrzązłem na 7 lat i... jedenaście dni. Zaplątałem się”.

Jak to więc możliwe, że Redliński dzisiaj wyplątany i powrócony na łono wolnej ojczyzny w wywiadach prasowych wzdycha do PRLu? Czy podobnie jak miliony Polaków zapomniał co kiedyś czuł?

Widziałem go bodaj przelotnie będąc w Nowym Jorku w roku 1989, zzieleniały na tle Greenpointu i bardzo pomniejszony wobec majaczącego w chmurach Manhattanu. Sam Redliński w książce wyróżnia trzy podstawowe składniki rozpaczem emigranta: „Gorszość. Upośledzenie. Upokorzenie”. To wszystko pisarz przeżył osobiście — a dwie jego książki „Dolorado” i „Szczuropolacy” są artystycznymi dziećmi tego upadku. Czy było warto? Chyba tylko arcydzieła są warte takich doświadczeń.

Redliński zastanawia się w tych książkach, co przeszkadza Polakom wybić się na amerykańskość, czyli na światowość? „To, co wy, Polacy, wyprawiacie ze swoimi mordami, po prostu kompromituje nas jako naród. (...) Z takimi mordami nasz naród nie ma czego szukać w Ameryce ani gdziekolwiek w cywilizowanym świecie”. I dalej uważa, że naszym narodowym błędem jest szczerść, „szczerą twarz ma prosię państwa tylko zwierzę. Tylko koń, tylko krowa i pies, mają na pysku to, co w głowie. Jak w głowie smutno, to i pysk smutny. Do tego opuszczony ogon, zwieszony łeb...”. Więc

pisarz radzi, „weź się za swoją mordę, ćwicz ją, trenuj, modeluj, formuj, przetwarzaj, dorzeźbiaj”. W „Dolorado” pisze: „Jesteśmy — Polacy w Polsce — krajem mało... cywilizowanym. Mało aktorskim. Wciąż szczerłość, prostolinijność — cnotą. Gra — czymś nagannym”. Zastanawiam się skąd Redliński wynalazł tę naszą prostolinijność. Rzeczywiście u nas dość łatwo wali się kawę na ławę, co bywa zaletą, ale bywa też kłopotliwe i powoduje wiele konfliktów. Ale przecież jest też u nas niezwykle wiele gry wokół własnej ważności i pańskości. I właśnie owe połączenie poczucia, „Pan nie wie kim ja jestem”, z poczuciem podrzędności i upokorzeniem typowym dla każdego emigranta tworzy ten pokraczny splot u polskiej emigracji, szczególnie w USA, gdzie napięcia i požądania są niezwykle obfite. Stąd też bierze się pogardliwy stosunek polskich emigrantów do innych emigracji, szczególnie czarnych i brązowych. A tym Redliński prawie zupełnie się nie zajmuje, chociaż jest to zjawisko uderzające, które bulwersowało mnie nieustannie w czasie moich amerykańskich podróży. Ale te rasowe, powiedzmy, niechęci, zwykle nie przybierały form drapieżnych, a były gadaniem i pocieszaniem się czyjąś jeszcze głębszą niższością, i tak karmiły naszą zhańbioną pańskość — teraz dodam, by choćby częściowo zgodzić się z Redlińskim — pańskość podszyta przewrotnie wiejskością.

Nie zgadzam się jednak, że „wiochą”, czy mordą wytłumaczy się kłopoty jakie Polacy mają dzisiaj ze sobą, i owego trudu wejścia w nową cywilizację. Nie jest też chyba kluczem nasza rzekoma poczciwość i naiwna prostota. Dwie metafory ukochał sobie masochistycznie Redliński. Polacy jako szczury, Polacy jako kundle. To nasze skundlenie, już nie tylko na emigracji, ale i w kraju jest ostatnio modnym pojęciem.

Dzisiaj po powrocie, pisarz wydaje się rozdarty, klasycznym polskim rozdarciem, między starym i nowym, Wschodem i Zachodem. Chłopskością i pańskością. Prowincjonalnością i zaściankiem, a wielkim światem. Miłością do symbolicznej Ameryki i nienawiścią gdy ta nas nie kocha.

„Ani ja komuch, ani ja dureń”, tłumaczy się w gazetach pisarz, oskarżany, że tęskni za PRLem. I chyba rzeczywiście ani on komuch, ani dureń, a tylko bez wątpienia lekko otumaniony od nowego. Oświadcza oto — „Gdyby Polska nie była Ludowa czekałby mnie los najgorszy. Bo byłaby Polska albo prowincją hitlerowską (...) albo 17 republiką ZSRR”.

Nie będziemy z tym głupstwem dyskutować. I jak się zda-

je, Redliński nadal potwierdza swe słowa z lat 70, że „gdyby nie socjalizm, pasałby krowy nad Narwią”. A przecież awans społeczny, do diabła, nie został wymyślony przez PRL. Więc doprawdy dziwią te nostalgiczne przeciągi w nowym domu Redlińskiego. Kiedy dzisiaj płacze nad upadkiem Ministerstwa Kultury, miesięczników itp., to jednak patrzmy ze zdziwieniem, bo chwile paniki jak tu żyć, mamy chyba za sobą (my inteligenci). Redliński wyjechał do Ameryki za późno, a wrócił do ojczyzny też jakby za późno.

Niełatwo jednak odrzucić pytanie — czy jesteśmy gotowi na przyjęcie nowej cywilizacji, czy ta cywilizacja jest warta przyjęcia? I jak się bronić przed zalewem śmietnika ze świata, nie ograniczając wolności? Niestety, najgorliwsi obrońcy polskiej tradycji przeciw nowemu potopowi, to element narodowo-prawicowy, w naszych warunkach chory na ciężkie zbęczałowacenie. Tak kompromitowany jest problem przecież niebagatelny.

Redliński mówi w jednym z wywiadów o stanie rzeczy dzisiaj w Polsce, „kompletne zac zadzenie, zagubienie samoswiadomości i tożsamości. Powszechne samozaklamanie”. Nie tylko jemu „amerykanizacja”, nasze skundlenie na skutek finansowych namiętności, zalew tandety z Zachodu, jawi się jako nowy diabeł w miejsce czerwonego. Podobnie ostrzega Miłosz, już nie znad zatoki San Francisco, a z Krakowa, i wielu, wielu innych. Co jednak proponuje się zamiast? Tu jest klops. Gdy szaty kapłańskie wszystkich naszych intelektualistów podarte, a oni sami wynędzniali od wielkiej zmiany i przez nią pomniejszeni — czy więc ktokolwiek ich słucha?

Zamykam drzwi windy na swoim palcu wskazującym. Tak się zdziwiłem, że nie poczułem bólu. Na szczęście dwa piętra wyżej mieszkała pani chirurg, i chociaż to nie był mój dom, w ramach domowej solidarności, wzięła mnie do zaprzyjaźnionego szpitala. Właściwie bardzo było przyjemnie. Szpitalna znajoma pani chirurg wsuwała kanapki z szynką, a w trakcie konsumpcji obejrzała mój palec, który odebrałby apetyt zwykłemu obywatelowi a pobudził apetyt psa. Palec został prześwietlony, równolegle niemal z kończyną górną młodego obywatela, któremu piła uczyniła krzywdę prawdziwą, która moje nieszczęście osadziła na właściwym, pod rządym miejscu. „Ale jatka” zmartwiła się pani chirurg, ale to dotyczyło nie mojej dłoni a tej od piły — „to będzie z pięć godzin, a czwóreczkę obcinamy”. Ja zostałem tylko wzięty na skromny zabieg nakłucia paznokcia.

— To nie będzie przyjemne — oświadczyła pani doktor — ale ze znieczuleniem będą trzy nakłucia, a bez tylko jedno. To może być interesujące, pomyślałem i zgodziłem się na to jedno bez.

„Jezus Maria” — krzyknęła na to pielęgniarka — „ja wychodzę”. I czmychnęła zakrywając z przerażenia oczy.

Muszę przyznać, że to nieco nadwątlilo mój heroizm. Pewnie dlatego, co się stało potem, muszę uznać za najprzyjemniejszą niespodziankę roku — było doprawdy przyjemnie.

Pielęgniarka wsadziła głowę do gabinetu — zemdłał? — zapytała. Miałem ochotę ją walnąć w łeb, ale nie miałem czym.

Na korytarzu zastaliśmy obywatela robotnika, na ruchomym łóżku, najwyraźniej w drodze na operację i tłum zaambarasowanych pielęgniarek z kroplówką.

— Pani doktor, on nie godzi się żeby wsadzić igłę — skarżyły się pielęgniarki. I to była szczerą prawdą. Ranny wolał śmierć niż kroplówkę. Z obcinania czwórki nie był chyba świadom. Płakał jak dziecko w sprawie tej igły. Miałem ochotę go uświadomić, że zaraz mu ciachną czwóreczkę, więc co on się wygłupia z powodu głupiej igły, ale wyręczyła mnie pani doktor, nastroszyła się jak wielka matka i nieszczęśnik odnalazł przerażenie dzieciństwa większe od grozy igły, więc godził się już na wszystko.

Rzecz działa się w korytarzu, wśród jakiejś nieopisanej obskurności, obok otwarty telewizor, chorzy w gipsach i w obłokach papierosowego dymu, jak wniebowzięci, polski szpitalny horror. Postanowiłem twardo, że postaram się o cykutę, gdybym miał iść do polskiego szpitala, to najpierw zażywam. Chyba, że idę jak z palcem, po znajomości.

Moje doświadczenie nie jest tak nietypowe, bo każdy kto idzie do szpitala walczy jak o życie o protekcję. Bez tego iść do polskiego szpitala jest aktem niebywałego heroizmu. I trzeba być doprawdy zamożnym. Wszystkie zabiegi mają swoje ceny, nieoficjalne, ale respektowane. Bo nasza służba zdrowia prywatyzuje się sama na dziko, więc zupełnie nie zależy jej na prywatyzacji oficjalnej. Szara strefa jest zawsze najbardziej pełna profitów.

Piotr Niemczyk, kolega z opozycji stał się wysokim urzędnikiem MSW. To byli nasi ludzie, tam. Przed laty pułkownik MSW pojedynkował się ze mną na spojrzenia w gabinecie na Rakowieckiej, a gdy wynik był nierozstrzygnięty, warknął by odetkać sytuację — „myśli, że zamienimy się na

miejsca o, nie będzie tak, nigdy”. Rok był bodaj 86 — zdumiałem się, że im coś podobnego po głowach chodzi, ale to „nigdy” uznałem za prawdziwe. W kilka lat potem, gdybym się postarał mógłbym takiej zamiany dokonać. Uczynił to Niemczyk, kiedyś działacz opozycyjnego WiPu, więziony i prześladowany przez bezpiekę, której potem stał się pracownikiem.

Teraz odchodząc z MSW mówi, że problemem nie jest powrót komuny, ale że „wracały czarno-białe schematy, lęki przed innowacjami, biurokratyczna rutyna”. Nie żałuje swoich doświadczeń, ale ma poczucie zmarnowania szans. I, że jego formacja przegrała. „Coś nam się nie udało i dlatego powinniśmy odejść”.

Tak, powrót różnych niemożności jest problemem zasadniczym, i nowego typu konformizm, sam go czasami odkrywam u siebie. Tyle opornych ścian wokół, zbudowanych zwykle z niemyślenia, lenistwa, głupich ambicji, zawiści, i partactwa. A jeszcze kilka miesięcy temu, gdy po kilku latach poza krajem wracałem, zdawało mi się, że będę w te ściany walił pięścią, a one poczną się walić. Ale te ściany są z dziwnej materii, pięść grzęźnie, wyjmuje się rękę i jest cała, ale brudna. Co ja będę się szarpał i walał. Mam tyle czystych rzeczy do zrobienia. Dosyć się naszarpałem z komunizmem, nie będę się teraz szarpał z bezwładem naszej wolności. Tak zaczynam budować swój własny konformizm.

Obserwuję, ale pół-okiem i na jednym siedząc pośladku, nowe szaleństwa na naszej politycznej scenie. Wielki konflikt dotyczy Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Tu szaleje sam Prezydent, odwołuje, wygraża, a w Radzie roi się od moich znajomych strasznie zjeżonych i naburmuszonych. Wszyscy wyglądają jakby pilnie potrzebowali zabiegu, do którego używa się lewatywy. Czy ja co z tego rozumiem? Nic nie rozumiem, kto tu świnia, o co się kłóć, abrakadabra. Może jakbym się pochylił i sprawę począł studiować, coś bym pojął, ale jak tu się pochylić i nie zachorować na nudności. Więc może zadzwonić, i z głupia frant pytać kolegów. Dają głowę, że będą argumenty podwórkowe — to tamci są świnie, pluja i przezywają się.

Konflikt i niemożność wyboru Komendanta Policji — tu też krzyżują się interesy partii i Osób, bo każdy chce mieć na tej funkcji swojego człowieka.

I nadal płonie konflikt, kto ma być prezydentem Warszawy. Prezydenta miasta nie daje się wybrać, bo kandydata-

mi są przedstawiciele skłóconych partii, więc wszyscy się nawzajem blokują. W końcu po miesiącach wybierają, i wszyscy zdają się być przerażeni kogo przez przypadek wybrali.

I jakby mało było nieszczęść już na progu wysyłki mego tekstu, kotłuje się jakaś niebywała afera w armii naszej. Sztab się podobno buntuje przeciw Ministrowi Obrony i przeciw cywilnemu kierownictwu wojska, a w tym wszystkim miesza Wałęsa i jego przyboczny spec od wojska Wachowski.

Doszło do tego, że nasz Prymas, jak zwykle przed odlotem w świat, wydał z siebie grom. Zgromił polityków za kłótnie i użył nawet słowa młodzieżowego „przepychanki”. Oświadczył, że modlić się będzie do Pana Boga o pojednanie. Czy doprawdy wypada takimi paskudztwami zwracać Panu Bogu głowę? On jakby się tym interesował, to już dawno by pognał całe towarzystwo.

A nasz naród, co na to nasz naród? Naród też już nie interesuje się, ale widzi, bo trudno nie widzieć, że dobro wspólne, jak niemowlę leży na ziemi w niezmienianej pieluszcze, gdy na górze się biorą za czuby zacierzawieni politycy. A to wszystko dla ludzi jest doprawdy nie do pojęcia. Jak mogą rozumieć o co w tych sporach chodzi, gdy ja mając w tym politycznym tumanie wielu znajomych i łatwy dostęp do informacji czuję się zupełnie zagubiony.

Czy nie jest to tylko preludium? Czy w najbliższej przyszłości znowu czeka nas przeszłość?

Z archiwów nadal wychylają się dokumenty przeszłości. I jeszcze raz powtórzę banał, to wszystko jest mniej interesujące niż mogło się zdawać, gdyż czas którego dotyczy już martwy. Zresztą niezwykle jest mało rzeczy, które nie są po czasie, mijanie się z czasem jest częścią ludzkiej kondycji.

Dwie książki, które czytałem razem, bo obie są zbiorami listów. Jedna to listy z archiwów Partii do I sekretarza PZPR, drugą podał beczelnie do druku Mieczysław Rakowski, czyli po prostu listy do niego. Ależ to były obrzydliwe czasy. Ci co narzekają na nasze, niech sobie poczytają.

List zdaje się formą rozmowy poufnej, ale rzadko nią jest w rzeczywistości. W proch rozsypuje się ludzka pamięć, a listy zostają. Kto nie pisywał na komunistyczny Olimp, intelektualści jak i kretyni. Nie było prawa, więc Oni mogli być prawem. I doprawdy zaskakująco często te listy, nawet w najgłupszych sprawach, powodowały cudowną reakcję Onych. Zdumiewa, że ludzie, co trzymali wielki ster socja-

lizmu w ręce, mieli czas na takie głupstwa. Większość tych listów całkowicie kompromituje piszących, nawet tych co wydawali się już do końca skompromitowani. Jest wśród piszących garstka dzisiaj aktywnych i tak zwanych porządnym ludzi, którzy jednak obecnie coraz częściej zachowują się dziwnie. Po lekturze ich listów przestają się dziwić. Sfera ludzkiego konformizmu jest wielka, a zwykle ukryta jak podziemne jezioro. Wiele listów to butelki z wodą z tego właśnie jeziora. Zdarza się też pewnie, że była to chwila słabości, którą list utrwalił na wieki, jak skorupiaka.

Oczywiście łatwo dzisiaj młodszym wydawać wyroki. Przez 50 lat usuwano pracowicie i skutecznie wszystkie znaki moralne, a co dzisiaj wydaje się paskudztwem, wtedy stawało się normą. A moralność ma też swój stadny wymiar. Ludzie patrzą nie tylko w swoją duszę, ale też na plecy innych ludzi. Ja np. posiadam paskudny zwyczaj przechodzenia na czerwonym świetle. Ostatnio staram się z tym zerwać, bo kilkakrotnie o mały włos nie zamordowałem kilku osób. Oczekujący na zmianę światła nie patrzą bowiem na słup z sygnalizacją, a na innych przechodniów. Toteż z reguły pociągam za sobą stadko ludzkich owiec nieświadomych, że nadal płonie czerwone światło.

W podobny sposób zatarto dzisiaj wiele znaków, szczególnie tych, którymi znaczyliśmy przeszłość, stawiając je w miejscu gdzie wszystkie miary były rwane z korzeniami przez reżym.

Trzy dni w Szwajcarii, wśród gór, jezior i czytelników *Kultury*. Często mam poczucie, że piszę i wrzucam w studnię. A tu, proszę taki tłum i tyłu świetnych ludzi rozsianych po całym wielkim świecie, którzy często mnie traktują jak członka rodziny, czasami krewnego, który jest lekko stuknięty i denerwujący, ale trudno go nie słuchać kiedy gada.

*Kultura* jest nadal kanałem, którym poprzez kontynenty nieustannie kursują statki, łącząc tyle fascynujących portów. To, że jeden z tych statków ładuję swoim towarem napawa mnie chwilami szczerym przerażeniem, boję się że zaraz dojdzie do katastrofy, a on jednak płynie.

## Sprawy i troski

### Kartki ze skażonej strefy

Pogorszył mi się wzrok, więc poszłam do okulistki. Do spółdzielni lekarskiej. Koszt wizyty — 180 tys. zł. Dodatkowo badanie dna oka (za dodatkowe sto tysięcy) skłoniło okulistkę do wysłania mnie do specjalisty od krążenia. Wizyta prywatna u niego — 350 tys. zł. Ten skierował mnie z kolei do endokrynologa oraz na badanie tętnic szyjnych i kręgowych, wskazał miejsce, gdzie mam to zrobić.

Była to oznaczona wielkim szyldem klinika KONSYLIIUM na krańcach miasta, nowoczesny wystrój, recepcja jak w pięciogwiazdkowym hotelu, sztuczne kwiaty i atmosfera towarzyskiego spotkania, mająca łagodzić dramat choroby.

Tu, jak i w innych tego typu placówkach, dorabiają popołudniami i wieczorami klinicyści ze szpitali miejskich. Badanie trwało długo, więc wdałam się w rozmowę z lekarzem, który je przeprowadzał. Zwierzył mi się, że oboje z żoną (też lekarką, dorabiającą jak on) są stale nieobecni w domu, nie widują własnych dzieci, które dogląda chora matka. Nie powinni ją tym obarczać, ale cóż, trzeba jakoś wiązać koniec z końcem... Koszt badania — 400 tys. zł.

Kolejny lekarz w łańcuszku badań, endokrynolog, wziął ode mnie też 400 tys. zł za wizytę; też dorabia „po godzinach”, też pogadaliśmy sobie od serca.

Jego macierzysty szpital ma opinię najbrudniejszego ze wszystkich brudnych szpitali warszawskich. Obłożnie chory, gdy nie zapłaci salowej za każdorazowe mycie, nie jest w ogóle myty; chodzący chory, który może samodzielnie korzystać z umywalni i ubikacji, musi się za każdym razem wewnętrznie mobilizować i zatykać nos, wkraczając do tych przybytków. Jako reguła „łżejsi” chorzy obsługują „cięż-

szych”, ale jeżeli zdarza się sala samych „ciężkich” — to biada im! Śmierć nierzadko odbywa się na korytarzu, na dostawce, wśród rejwachu szpitalnego, na oczach postronnych...

Mój rozmówca nie zaprzeczył tym faktom — nie mógłby — ale stwierdził, że takie widzenie rzeczy jest typowym spojrzeniem z zewnątrz, z perspektywy odwiedzających. Ciężko chory nie dba bowiem o tego typu szczegóły, zawsze nadzieję na łopocie białych fartuchów wokół niego i tych wszystkich rurkach, jakimi jest spowity, a które sprawiają mu ulgę.

Spytałam, czy nie upokarza go jednak praca w takich warunkach. Nie, bo przywykł do stałej dekapitalizacji szpitali, jak to określił. A zresztą, któż przyjdzie pracować na fizycznego do szpitala? Mówi, że gdy zagadnął o to kogoś z licznych opiekunów bezrobotnych, biadających nad ich losem, ten dowiedziawszy się o stawkach, jakie płaci szpital, stropił się i powiedział, że niestety, ale za taki psi grosz nie znajdzie nikogo do sprzątania. Kółko się zamknęło.

Więc gdzie może Polak w Polsce chorować i umierać jak człowiek? Nasuwałaby się odpowiedź, że jedynie w klinikach rządowych. Otóż niekoniecznie.

Poza tym, że otacza je publiczna niechęć, „mój” endokrynolog, jak większość lekarzy, jest też przeciwny ich istnieniu ze względów pryncypialnych, których tu nie będę powtarzać; rządy demokratyczne „dały plamę”, nie skasowały od razu przywilejów, jakie jako opozycja wytykały poprzednikom; ale, jak powiadam, poza tym, jest publiczną tajemnicą, że komfort chorowania stoi w rządowych klinikach w jaskrawej sprzeczności z poziomem leczenia. Po prostu — w klinikach rządowych pracują nie najlepsi lekarze. Komuna, w ciągłym lęku przed wrogiem, angażowała na te posady lekarzy „prawomyślnych” — kryterium polityczne stało pierwsze przed fachowością. Skutek wiadomy. Dziś niewiele się pod tym względem zmieniło. Ambitni młodzi lekarze wołają śmierzzące miejskie oddziały, nie kwapią się na staże do „rządówek”, bo nie ma tam mistrzów, niewiele mogą się więc nauczyć.

Tak sobie pogadawszy, endokrynolog, nim zaaplikował mi obręcz ortopedyczną na szyję, wysłał mnie jeszcze na specjalistyczne prześwietlenie. Idę „na Waryńskiego”, do jednej z pierwszych, pionierskiej, bo powstałej jeszcze za Gierka, spółdzielni rentgenologicznej. Tutaj również „elegancja-Francja” — 460 tys. zł. Zmierzenie ciśnienia krwi w tym przy-

bytku — jedyne 15 tysięcy.

Ale nie korzystam z okazji. Na zalecony mi codzienny pomiar postanawiam chodzić za darmo.

Wbito mi przecież swego czasu do głowy, że jako „zdobycy świata pracy” każdy przechodzień — bez żadnego zaświadczenia i skrępowania — może wstąpić do najbliższej przychodni i zmierzyć ciśnienie u dyżurnej pielęgniarki. Wbito, ale i wybito.

Zachodzę do pierwszej z brzegu poradni służby zdrowia. Wielkie przestrzenie pełne zakurzonego medycznego sprzętu i cisza jak w kościele. W kościele jednak jest ludno, tutaj — pusto. Tylko rejestratorki za szybką brzęczą kubkami z herbatą i przez telefon przepytują dzieci z tabliczki mnożenia. Gabinety specjalistyczne pozamykane, bo lekarzy gdzieś wywiał. Każdego ranka odbywa się bieg chorych po numerki, których wydaje się coraz to mniej; rzadko udaje się choremu dostać na wizytę za pierwszym podejściem.

Pielęgniarka w pokoju zabiegowym, gdzie wchodzi, czyta pismo ilustrowane. Dyskusja, jaka wywiązuje się między nami, trwa dziesięciokrotnie dłużej niż kilkusekundowa czynność pomiaru ciśnienia. Pielęgniarka udziela mi reprimendy, że powinnam iść na swój rejon, ja dowodzę, że przecież wszędzie było można. „Było, ale się zbyło” — odparowuje. Z wdzięcznością przyjmuję więc jej łaskawy rozkaz: „proszę odwinąć rękaw”... Potem użaliła się przede mną: „żeby ciśnienie było płatne choć z pięć tysięcy...”

Czyż można się dziwić takiemu rozumowaniu? Pielęgniarka intuicyjnie wyczuwa nerw czasu. Wszystko wokół jest dziś płatne; wszędzie panuje zasada, że coś za coś; wymiana rzeczy i usług stała się bardzo wymierna. Tylko jej usługa wymyka się jakimkolwiek liczeniu. Przeciągająca się zapaść w tym, co zwykle się przez półwiecze nazywało u nas służbą zdrowia — rodzi u jej pracowników frustrację i jednocześnie poczucie bezkarności. Niedookreślenie obowiązków i brak jakichkolwiek sankcji zwalnia personel medyczny od odpowiedzialności.

Powstające prywatne kliniki ściągają tylko najlepszych. Gorszi, w tym i lekarze, pozostają nadal w służbie zdrowia, pełni zniechęcenia i niepewności o własny los. Chcieliby zarobić, ale są przeciwni prywatyzacji, bo boją się konkurencji. Reforma straszy swoim widmem, tym większym, że nie nadchodzi. Tonie w gadaniu parlamentarno-rządowo-prasowej i w biurokracji, która pożera koszta na niąłożone. Choremu trudno jednak pocieszać się myślą, że martwota w

lecnictwie jest niczym innym jak częścią większej całości; że rządy Pawlaka tym się właśnie charakteryzują, iż kieruje nimi zastój jako zasada. Taka sytuacja trwać oczywiście wiecznie nie może, tylko że chory nie ma czasu...

Cykl badań, któremu się poddałam, zamknął się w ciągu dziesięciu dni. Za lekarzy, badania, leki, obrozę i poduszkę ortopedyczną zapłaciłam w sumie 5.290.000 zł. Moja miesięczna emerytura wynosi 3.801.300 zł. *No comments.*

Niektóre z tych usług mogłabym prawdopodobnie uzyskać „na ubezpieczalnię”. Trwałoby to około roku i kosztowało energię, którą dysponuje jedynie człowiek żelaznej kondycji. Slogan, że trzeba mieć końskie zdrowie, żeby się u nas leczyć, znajduje tu bezpośrednie zastosowanie.

Mamy w kraju zadziwiająco dużo, jak na warunki, doskonałych lekarzy — i nie jest to wcale stwierdzenie szowinistyczne — kompetentnych, dobrze wyszkolonych, obdarzonych intuicją lekarską, świetnie kojarzących, oddanych bez reszty swojej profesji. Tak więc, zdawać by się mogło, że gdy przychodzi na człowieka choroba, to pod ich okiem i w ich rękę powinniśmy się znaleźć w „przedsionku raju”. Tymczasem nasze szpitale, poczynając od *entrées* — od izby przyjęć, to bez przesady — przedpola piekła.

Modlimy się po kościołach: „Od nagłej i niespodziewanej śmierci, zachowaj nas, Panie...”. Czy w tej sytuacji nie powinniśmy modlić się o jej szybkość i nagłość?

A wszystko rozbija się o nic innego, jak tylko — prozaicznie — o naszą rozpaczliwą nieumiejętność samorządzenia się.

26 września 1994 r.

Ewa BERBERYUSZ

## Śląsk Katowicki

W 1910 r. pruski spis powszechny na Śląsku wykazał 57% ludności polskojęzycznej i 43% niemieckojęzycznej. Plebiscyt narodowy w 1921 r. przyniósł 40% głosów za przyłączeniem obszaru plebiscytowego Górnego Śląska do Polski i



60% za pozostawieniem go przy Niemczech. (40% głosów, jak by nie patrzył, po 600 latach nieobecności, to wynik rewelacyjny). Wyniki miały być rozpatrywane gminami. Granic jednak nie ustalił wynik głosowania lecz arbitralna decyzja Rady Ambasadorów. Z 683 gmin, które opowiedziały się za Polską, przyłączono zaledwie 338. Wiele polskich rodzin mieszkających na Śląsku Opolskim (tak nazwano niemiecką jego część) z własnej woli przeszła do wybranej ojczyzny, pozostałych zmusił niemiecki terror. W sumie do Polski przenieśli się około 100 tys. osób, na Śląsk Opolski około 200 tys. Niemców. Podział, właśnie taki, dodatkowo skomplikował sytuację społeczną. Wzmocnił też narodowo obie strony. W momencie przejścia władzy przez państwo polskie, mieszkało w nim około 250 tys. Niemców.

Pozostał jednak dość specyficzny kapitał niemiecki. Nietypowość polegała na tym, że właściciele latyfundiów byli jednocześnie właścicielami hut i kopalń.

Polska przejmując obszary Śląska Katowickiego uzyskiwała dostęp do 53 (z 67) kopalń węgla kamiennego, 10 (z 15) kopalń cynku i ołowiu, 9 (z 14) stalowni i 22 (z 37) wielkich pieców, ale jednocześnie odziedziczyła wspomniany kapitał niemiecki i wszystkie konsekwencje z nim związane. Z 499.023.654 marek kapitału 74 istniejących towarzystw akcyjnych, w rękach polskich znajdowało się zaledwie 239.500 marek (T. Jędruszczak, „Polityka Polski w sprawie Górnego Śląska w 1918-1922”, Warszawa 1958, s.12). Nie trzeba dodawać, że Niemcy nie zaakceptowały postanowień Traktatu Wersalskiego a latyfundiści pruscy nie mogli się stać nagle Polakami. Trzeba też zaznaczyć, że nieformalny plebiscyt trwał nadal. Według historyków polskich dodatkowo sytuację w tym względzie utrudniała Konwencja Genewska, którą Polacy musieli podpisać. Oznaczało to zamrożenie stosunków gospodarczych na 15 lat, do 1937 r.

Stosunek do kapitału niemieckiego, między większością ludności rodzimej i kościołem śląskim (do czasu bpa S. Adamskiego) a ludnością napływową był tłem nieporozumień. Polska racja stanu wymagała jak największego ograniczenia kapitału niemieckiego, kościół śląski i W. Korfanty propagowali linię solidaryzmu. Po przewrocie majowym w 1926 r. nastąpiła zmiana na stanowisku wojewody śląskiego. Wojciecha Korfantego zastąpił Michał Grażyński, który z czasem uzyskał miano bardzo skutecznego w działaniu. Powszechnej sympatii ludności rodzimej jednak nie zaskarbił sobie. Stosunek do kapitału niemieckiego był też jedną z przyczyn konfliktu między polsnością a śląsnością.

### Województwo katowickie po drugiej wojnie

Po kolejnym konflikcie światowym wywołanym przez Niemcy, granice Polski tym razem oparły się na Odrze. Pierwsze województwo śląsko-dąbrowskie objęło, jak się później okazało, zbyt duży obszar. Z czasem podzielono je na kilka mniejszych, w tym opolskie. Dziś województwo katowickie zajmuje narożnik dawnych trzech zaborów. Pod względem powierzchni plasuje się na 20 miejscu w Polsce. W 42 miastach mieszka 3,5 mln. ludzi, na wsi 500 tys. — 3/4 stanowią przyjezdni, 1/3 ludność rodzima. O jego specyfice decyduje 66 kopalń węgla kamiennego, 16 hut żelaza i stali, 14 dużych elektrowni i 11 zakładów metali nieżelaznych oraz 100% produkcji cynku i ołowiu, 97% węgla kamiennego (wystarczyć go ma na 200 lat), 58% stali, 56% wyrobów walcowanych, 49% samochodów, 43% koksu, 23% energii elektrycznej.

Słabą stroną całej struktury przemysłowej jest w 54% zużyty potencjał przemysłowy. 70% przemysłu katowickiego przypada na przemysł energetyczny, oparty na węglu, i metalurgię, a więc według naukowców tzw. schyłkowe gałęzie przemysłu. Natomiast środowisko, w którym żyją mieszkańcy województwa, stanowi bezpośrednie zagrożenie dla zdrowia człowieka. Jest ono przyczyną głównej troski jego mieszkańców. Dyrektor Wydziału Ekologii Wojciech Beblo mówi jednak, że nie ma katastrofalnej sytuacji. W ciągu czterech ostatnich lat skażenie powietrza zmalało o połowę. W 20% spowodowane zostało zmniejszeniem ilości produkcji a w 80% zmianą technologii lub asortymentu. Opinię tę potwierdza broszura pt. „Ochrona zdrowia w województwie katowickim”, wydana przez Urząd Wojewódzki w 1993 r. Średnia umieralność niemowląt i nadumieralność mężczyzn jest równa lub niższa od przeciętnej krajowej, są jednak rejon w Katowickiem w których jest znacznie wyższa. Dominują zdecydowanie choroby układu krążenia i nowotwory. W porównaniu do standardów europejskich żyje się tam 5-6 lat krócej. W sumie środowisko skażone było przez dziesiątki lat, dziś widać skutki.

Mniejszość niemiecka w odróżnieniu od Opolszczyzny, skupiona jest w dwóch zwarto zamieszkałych grupach: wokół Raciborza i Gliwic. Obie należą do struktur opolskich. Wraz z rodzinami Wydział Obywatelski Urzędu Wojewódzkiego szacuje ich na około 200 tys. Oddziały opolskiej mniejszości znajdują się w 8 miastach (Bytom — 7400, Gliwice — 23.500, Katowice — 8.600, Orzesze — 800, Racibórz —

19.800, Tychy — 3.700, Wodzisław — 2.100 i Zabrze — 6.800 osób. Dane z 1992 r., dziś niewiele się zmieniły). Niemiecka Wspólnota Robocza „Pojednanie i Przyszłość” w Katowicach skupia około 10 tys. członków. Ponadto istnieją jeszcze trzy inne organizacje: Związek Młodzieży Pochodzenia Niemieckiego w Gliwicach, Stowarzyszenie Autorów i Twórców Mniejszości Niemieckiej w Polsce — Bytom i Forum Mniejszości Niemieckiej Województwa Katowickiego, również w Bytomiu.

W ostatnich wyborach parlamentarnych mniejszość niemiecka w okręgu katowickim uzyskała od 0,4-2,2% głosów. Z niewielkimi zmianami w górę podobnie było w pozostałej części Katowickiego, z wyjątkiem okolic Raciborza: w gminie Krzanowice — 57%, Nędzy — 41,4%, Piotrowicach Wielkich 49%, Rudniku 48%.

Oprócz mniejszości niemieckiej Ślązacy grupują się w Związku Górnośląskim, który skupia inteligencję śląską i jest najpotężniejszą i najliczniejszą organizacją w regionie, oraz rybnickim Ruchu Autonomii Śląska, mającym kierunek separatystyczny. Ale nie tylko, ponieważ można ich spotkać w każdej ogólnopolskiej partii politycznej na Śląsku. Poczucie krzywdy jednak jest dość powszechne. Nikt dokładnie jednak nie zbilansował krzywdy śląskiej i polskiej w PRL-u. Nikt też nie policzył ile pieniędzy Katowickie odprowadza do Warszawy... A tak naprawdę, nikomu na tym nie zależy, ponieważ argument krzywdy używany jest w sposób propagandowy — przez wszystkie ugrupowania polityczne, bez wyjątku. Pewne konflikty kulturowe oczywiście istnieją, ale ogólnie nie zauważa się podziału na: Ślązaka i Polaka. Konflikt rozkłada się bardziej pomiędzy mieszkańcami Zagłębia Dąbrowskiego („Zagłębiakami”, dawny zabór rosyjski) a mieszkańcami rodzimymi województwa katowickiego, przy czym identyfikacja ludności napływowej z interesem województwa zdaje się być coraz większa.

#### *Dwie różne połowy jednej całości*

Obraz śląski aglomeracji miejskiej województwa katowickiego jest bardziej złożony, ale też znacznie bardziej racjonalny. Tendencje niemieckie maskowane są tutaj przez śląskość, ale ogólnie panuje tam tęsknota za przedwojenną formą województwa śląskiego z własnym skarbem i sejmem. Wiąże się to z postulatem regionalizacji kraju i separatyzmem, który zrodził się na bazie poczucia doznanych krzywd

od Niemców i Polaków, ale również ze śląskiej megalomanii — „My Ślązacy damy sobie radę”.

Dominantą polityczną jest tam Związek Górnośląski (ZG). Należy go rozpatrywać na tle dwóch wspomnianych organizacji niemieckich: mniejszości opolskiej z okolic Raciborza i miejscowej Niemieckiej Wspólnoty Roboczej „Pojednanie i Przyszłość”. Jest kuźnicą od lat oczekiwanej inteligencji śląskiej. Wielu z nich, wykształconych oczywiście w Polsce, już zasiada we władzach całego województwa. Organ ZG „Nasza Gazeta” wnosi istotne wartości. Odbyna się tam dyskusja na gruncie polskim, choć w śląskim odcieniu, co powinno być zrozumiałe. Na Śląsku można spotkać naprawdę wspaniałych ludzi. Ale i tam zdarzają się „fajerwerki”. Przewodniczący Sejmiku Samorządowego w Katowicach (członek Związku Górnośląskiego) wysłał do przewodniczącej Bundestagu prof. Rity Süsmuth oficjalne pismo z prośbą o powołanie w Katowicach konsulatu niemieckiego, bo przed wojną było kilkanaście... Jest to zawłaszczanie sobie kompetencji Ministerstwa Spraw Zagranicznych i podsycanie obawy co do lojalności Związku Górnośląskiego.

Dziś dwie połowy Górnego Śląska to dwa różne światy. Zdominowanie Katowickiego przez znacznie silniejszą politycznie i propagandowo Opolszczyznę nie wydaje się być możliwe, ale w przyszłości, gdy niechęć do Polski tej części ludności województwa katowickiego, która jest wyczulona na propagandę niemiecką, osiągnie podobne napięcie jakie na Śląsku Opolskim istnieje wśród mniejszości niemieckiej, może dojść do połączenia się pod innym kierownictwem. Tak krystalizującej się sytuacji sprzyja postawa rządu polskiego pełna bierności, niezdecydowania. Ślązacy interpretują ją jako zagrożenie dla siebie, chcą „wziąć sprawy w swoje ręce”. Stąd tak przekonywujące jest hasło niemieckiej propagandy, że Śląsk uzdrowić mogą tylko Niemcy i ich pieniądze. Jak wobec tego zachowa się 2/3 ludności napływowej? I oto jest pytanie!

Gdy jednak przyjrzymy się bliżej problematyce śląskiej, zauważymy inną obawę. W 1994 r. Katowickie ze swoim przestarzałym przemysłem straciło dominującą pozycję — Warszawa wypracowała większy dochód. A więc utrwała się obawa, że Śląsk (wł. Katowickie) pozostanie na prawach kolonii. Kolonii dlatego, że według ludności rodzimej, zarówno za czasów pruskich, jak i polskich bogactwo tej

ziemi w zbyt małym stopniu służyło Górnemu Śląskowi. Dziś jest socrealistycznym skansenem.

Śląsk ma być osobnym regionem z własnym skarbem i sejmem, obejmując województwo katowickie (bez Sosnowca), bielskie i opolskie wraz z Olesnem i Dobrodzieniem w województwie częstochowskim, czyli tylko ziemie byłego zaboru pruskiego. Jest to jednak podział życzeniowy ponieważ województwo opolskie też chce być osobnym regionem ze wspomnianym Olesnem i Dobrodzieniem, ale również i Raciborzem, który jest częścią Katowickiego. Bielszczanie osiągnęli 30% wzrostu dochodu i jest im dobrze.

### *Śląsk na co dzień*

Województwo katowickie jest obrazem wszystkich błędów PRL: nadmiernego przeinwestowania, produkcji „na pokaz”, sowieckiego myślenia itd., ale również i ostatnich czterech rządów: brak inwentaryzacji majątku narodowego, brak programu restrukturyzacji, brak strategii gospodarczej; a ponadto nikt nie wierzył w kompetencje tych rządów itd. Każdy chce godnie żyć, ale nikt nie wie jak przeskoczyć dystans dzielący od Zachodu. „Przyszłość Śląska — górnictwo o nowoczesnej technologii”. A skąd wziąć pieniądze na jej zakup? Przychodzi obcy kapitał i wykańcza polskie firmy swoją nowoczesnością. Dyrektor Wydziału Gospodarki Urzędu Wojewódzkiego, Andrzej Czarnik, mówi, że do napływu masowego kapitału nie jesteśmy przygotowani ani prawnie, ani organizacyjnie, tym bardziej mentalnościowo. Po województwie krąży hasło „pomysł na Śląsk”. Najogólniej koncepcje są dwie: wspomniana regionalizacja i koncepcja ogólnopaństwowa, którą propagują partie: KPN, SLD, NSZZ „Solidarność”. Trwa ogólna dyskusja w środkach masowego przekazu. Każdy chce rządzić, ale większość rozmówców przyznawała, że nie pojawiła się żadna indywidualność. Nie ma autorytetów. Nie ma ogólnej zgody na sposób restrukturyzacji, zmniejszenia stopnia uprzemysłowienia, roli węgla w przyszłej gospodarce. Gdy pojawią się strajki, mówi się o restrukturyzacji — jednej branży a wszystko jest tu systemem naczyń połączonych. Nie wiadomo kto ma finansować przemiany na Śląsku. Ale jest propozycja utworzenia skarbu śląskiego z 50% udziałem skarbu państwa. Wkład miałby wynosić 7 bln zł. w gotówce. Solidarność proponuje powołanie „okrągłego stołu”. Wstępem do dyskusji ma być „Kontrakt dla województwa katowickiego”.

Ryszard SURMACZ

## Sąsiedzi

### Notatki rosyjskie

Lato 1994 upłynęło w Rosji zadziwiająco spokojnie. Strzelano tylko do bankierów i przemysłowców, ale to normalne: mafia, haracz i korupcja stały się nieodłącznym elementem życia w Rosji. Grunt, że politycy wyjechali na urlop: jedni na Cypr, drudzy na Wyspy Kanaryjskie... To również stało się normą: tradycyjne kurorty na Kaukazie i Krymie znalazły się za granicą, a z dwojga złego lepiej jechać do Miami niż do Eupatorii. Prosty lud też nie miał powodów do skarg: co prawda wiele przedsiębiorstw wypłaca pensje z wielomiesięcznym opóźnieniem, ale za to nikt nikomu nie każe pracować. A i ceny przez całe lato nie szły w górę.

Niestety nadeszła jesień. Na początku wszystko wydawało się jeszcze znośne. Borys Jelcyn poleciał do Waszyngtonu. Kilka dni przedtem szef kontrwywiadu rosyjskiego Jewgienij Primakow zorganizował konferencję prasową, podczas której zaprezentował opracowany przez swe służby raport na temat ekonomicznej i politycznej reintegracji byłych republik sowieckich. Dobrowolna reintegracja jest — tłumaczył akademik Primakow — konieczna i wszystkim przyniesie pożytek. Zachód powinien się z tym pogodzić, tym bardziej, że Rosja wykluczyła z procesu reintegracji republiki nadbałtyckie.

Z kolei Borys Jelcyn tłumaczył na forum ONZ, że stosunki między Rosją a byłymi republikami związkowymi są znacznie bliższe aniżeli zwykle stosunki sąsiedzkie. „Są to więzy krwi”, powiedział Jelcyn. „Więzy krwi spojone krwią”, pisali komentatorzy, zwracając uwagę, że wojska rosyjskie uczestniczą w wojnach domowych w Tadżykistanie, Gruzji i Czeczenii. Prezydent Rosji miał szczęście: przyjechał do Wa-

szynhtonu akurat w chwili, kiedy Clinton wysłał amerykańskich żołnierzy na Haiti. Jeśli wam wolno, to dlaczego nie nam?, słusznie zapytał prezydent Rosji prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Stany Zjednoczone zawsze były przeciwne strefom wpływów. Franklin Roosevelt po podpisaniu umowy w Jałcie tłumaczył światu, że on, Stalin i Churchill „położyli kres jednostronnym działaniom, wyłącznym sojuszom, strefom wpływów...” Clinton i Jelcyn niczego nie podpisali, ale rozstali się z uczuciem zrozumienia: dokonali pozytywnej wymiany doświadczeń.

Zaraz potem zaczęły się drobne kłopoty. Na lotnisku w Shannon rosyjski prezydent nie mógł wyjść z samolotu, przed którym czekał z wyciągniętą dłonią premier Irlandii. Złośliwi twierdzą, że Borys Nikołajewicz miał nieco w czubie i szef ochrony generał Korżakow postanowił nie wypuszczać go z samolotu. Sam Jelcyn tłumaczył, że usnął zmęczony podróżą, a ochrona go nie obudziła. Rosyjscy komentatorzy, nie upierając się przy szczegółach tego epizodu, podkreślają rolę Korżakowa koło prezydenta. W kolejnym comiesięcznym rankingu stu głównych polityków rosyjskich Aleksander Korżakow zajął siedemnaste miejsce.

Wreszcie nieszczęścia zaczęły sypać się jak z rogu obfitości. Najpierw ogłoszono, że urodzaj tego roku był fatalny, jeden z gorszych, jakich Rosja zaznała przez ostatnie trzydzieści lat. Potem wyłączono prąd w centrali strategicznych raket nuklearnych w Odyńcewie pod Moskwą. Państwowy zarząd energetyki wyłączył prąd, bo rakietciarze nie płacą rachunków i są mu już winni ponad 20 milionów dolarów. Gdyby akurat wtedy paskudni Amerykanie postanowili skończyć z Rosją, nic by im nie stanęło na przeszkodzie. Nie było prądu.

11 września nagle jak kamień runął rubel. Spadek od tysiąca do dwóch tysięcy rubli za dolara trwał rok. Do trzech tysięcy — kwartał, a do czterech — dwa-trzy dni. Dopiero wtedy rząd zaczął przeciwdziałać. Usunął mianowicie ministra finansów. Jelcyn zażądał, aby Duma pozbyła się także prezesa banku centralnego Geraszczenki (podlegającego Dumie). Oficjalnie mówiono, że upadek rubla był wynikiem spisku między mafią a zagranicznymi bankierami. Autorytatywni eksperci twierdzą, że spisek owszem istniał, ale nie mafii, tylko głównych działaczy gospodarki rosyjskiej, którzy nie mieli pieniędzy na wypłaty pensji. Pieniądzy mieli tym mniej, że na początku jesieni przyznano duże kredyty wojsku

(na prąd: rakiety mogą już ruszyć), bankrutującym zakładom przemysłu wojskowego, kołchozom i sowchozom. W ciągu kilku dni skarb państwa wypełniły góry papierowych rubli, które częściowo (nie licząc tego, co rozkradziono) poszły do kieszeni ludu pracującego. Operacja „Rubel” mocno uderzyła w kraje WNP, w których rubel jest głównym środkiem płatniczym, i pokazała im, gdzie znajduje się prawdziwa dźwignia władzy.

Koniec urlopów zbiegł się naturalnie z ożywieniem życia politycznego. Powstają nowe partie i ruchy, stare wznawiają działalność. Na początku października przeciwnicy Borysa Jelcyna szykowali się do wielkiej demonstracji w związku z rocznicą zeszłorocznego puczu i walk w Moskwie. Demonstracja się odbyła, ale skromniutka, ozdobił ją Aleksander Ruckoj, były wiceprezydent, przez kilka godzin herszt buntowników, któremu marzy się prawdziwy fotel prezydencki — z wyboru. Demonstracja odbyła się 2 października, a 6-7 miał miejsce Wszechrosyjski Zjazd Monarchistów. Ruckoj i na zjazd się stawił. W gości do monarchistów przyszedł również Giennadij Ziuganow oraz gorący wielbiciel myśli mocarstwowej z kierownictwa „Pamięci”, „Rosyjskiego Zboru Narodowego” i „Czarnej Sotni”. Obserwatorzy odnotowali nieobecność eparchów cerkwi prawosławnej — w prezydium zasiadło siedmiu zwykłych popów. Problem rosyjskiego ruchu monarchistycznego polega na tym, że nie ma kandydata na tron. Ściślej mówiąc, że ma bardzo wielu kandydatów. Poza członkami rodziny cesarskiej, potomkami Romanowych, pojawili się także dobrze znani rosyjskiej historii samowładcy.

Ruch czerwono-brunatnych zajmuje sporą przestrzeń i składa się z mgławicy grup, związków i partii tyleż hałaśliwych co nielicznych. Każda ma swojego watażkę, wspólnego przywódcy nie widać. Wpadło mi w ręce zaproszenie na konferencję prasową, którą zorganizował we wrześniu Walerij Skurlatow, przywódca liberalno-patriotycznej partii „Odrodzenie” (nie mylić z Liberalno-Demokratyczną Partią Żyrynowskiego). Główne tematy konferencji prasowej brzmiały: „Czy naród rosyjski świadomie degeneruje się duchowo i wykorzenia genetycznie?” oraz „Odsunięcie od władzy sprzedawczyków jako konieczny warunek odrodzenia demograficznego Rosji”. W 1965 roku Walerij Skurlatow, wówczas działacz Moskiewskiego Komitetu Komsomołu, sporządził „Kodeks moralny”, w którym żądał surowych kar dla osób, zawierających związki małżeńskie z cudzoziemcami itp. Miło widzieć, że człowiek nie zmienia poglądów. Bo na przykład

Oleg Rumiancew, deputowany do Rady Najwyższej, a obecnie do Dumy, 33-letni ekonomista i prawnik, jeden z autorów obecnej konstytucji rosyjskiej, zaczął karierę polityczną w szeregach zażartych demokratów, a dziś? „Byłem za bardzo zafascynowany Zachodem — tłumaczy. — Dziś lepiej znam duszę rosyjską”. Bliski doradca Ruckiego, Oleg Rumiancew oświadczył na pierwszym jesiennym posiedzeniu Dumy: „Nasza alternatywa to alternatywa społeczno-państwowa, alternatywa socjalizmu rosyjskiego...” Rosyjskiego, czytaj narodowego.

Na drugim krańcu rosyjskiej palety politycznej pojawiła się nowa, założona na początku października partia pod nazwą Demokratyczna Rosja. Jej współprzewodniczący nazywają się Lew Ponomariow i Galina Starowojtowa. Czym się nowa partia różni od „Wyboru Rosji” Jegora Gajdara, współprzewodniczący nie potrafili wytłumaczyć, nie ulega jednak wątpliwości, że są to szczerzy demokraci.

We wrześniu zebrała się w Moskwie Rada Koordynacyjna Ruchu na Rzecz Wzmocnienia Demokracji przeciw Ekstremizmowi, Ksenofobii i Faszyzmowi. Jurij Kariakin, badacz literatury, specjalista od Dostojewskiego i członek Rady Prezydenckiej Jelcyna, oświadczył przy tej okazji, że „narodowi patrioci” działają w rejonach, na fabrykach i na wsi, „a my nie mamy na razie przeciwwagi dla grzmiącej fali prawosławno-komunistyczno-faszystowskiej, tak jak nie ma zorganizowanego demokratycznego ruchu robotniczego”. Rada Koordynacyjna składa się z pisarzy, prawników i dziennikarzy.

W rosyjskiej magmie politycznej trwają poszukiwania stałego ładu i działaczy, którzy mają jasny program i potrafią zdobywać zwolenników. Krąg ludzi, którzy wraz z Jelcynem weszli w skład „elity władzy” jest w zasadzie stały, niezależnie od tego, czy mowa o zwolennikach, czy o przeciwnikach Jelcyna. Bywa, że ktoś z niego wypadnie, ale na ogół wraca. Ubytki trwale zdarzają się rzadko. Wśród powracających zwraca uwagę Jurij Skokow. Jest to inżynier architekt, urodzony w 1938 roku, członek partii od 1967 do jej rozwiązania w sierpniu 1991. W czerwcu 1990 wszedł do rządu Rosji (jeszcze w składzie ZSSR) i zajął stanowisko pierwszego wicepremiera. Podczas puczu 1991 roku uczestniczył wraz z Olegiem Łobowym w tworzeniu „zastępczego rządu rosyjskiego” na Uralu. W kwietniu 1992 został mianowany sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Rosji, która kontrolowała i kontroluje kluczowe ministerstwa: obrony, spraw wewnętrznych i bezpieczeństwa. Zarazem stanął na czele stworzonej

wówczas Rady Republik Federacji Rosyjskiej, dzięki czemu odgrywa ważną rolę w regulowaniu stosunków między Moskwą i regionami. Na Zjeździe Deputowanych Ludowych, który obalił rząd Gajdara, Jurij Skokow kandydował na premiera i zdobył największą liczbę głosów. Borys Jelcyn zaproponował Wiktora Czernomyrdina, który ostatecznie stanął na czele rządu.

W maju 1993 Jurij Skokow zaczął krytykować rozmaite posunięcia prezydenta i został zwolniony ze stanowiska sekretarza Rady Bezpieczeństwa. Jego miejsce zajął Oleg Łobow. Pozbawiony rządowej posady Jurij Skokow został przewodniczącym Federacji Przemysłowców Rosji, która ma ogromne możliwości wpływania na gospodarkę kraju. W grudniu 1993 Jurij Skokow potępił Jelcyna za rozpędzenie Rady Najwyższej. W ostatnim czasie nazwisko Skokowa zaczęło uporczywie wracać w dyskusjach o zmianach w składzie rządu i polityce. W najbliższym otoczeniu prezydenta widać jasno dwie grupy. Jedna nazywa się liberalną (kiedyś liberalno-biurokratyczną), drugą można by nazwać nostalgiczną. Należą do niej starzy przyjaciele Jelcyna, jego trener tenisowy, szef ochrony... Borys Jelcyn mistrzowsko rozgrywa jedną grupę przeciw drugiej, zmieniając w razie potrzeby politykę i opierając się na jednej z grup. Powrót Jurija Skokowa do „komanda prezydenta” może znacznie wzmocnić wpływy drugiej grupy.

Na liście stu najważniejszych polityków rosyjskich, o której wyżej wspominałem, Jurij Skokow zajął we wrześniu 33-cie miejsce. Nie jest jeszcze na szczycie, ale nie jest też na samym dole. Ranking, pozwalający ustalić, jaki wpływ wywierają poszczególni politycy na życie kraju, ustala się na podstawie ocen czterdziestu ekspertów, którzy oceniają wpływ polityków niezależnie od ich przynależności partyjnej. Oceny wystawiają na skali 10-punktowej. 10 — największy wpływ, 1 — najmniejszy.

W obecnym rankingu zwraca uwagę znaczny wzrost wpływów Aleksandra Sołżenicyna. Z końca listy eksperci wywindowali autora programu przebudowy Rosji na 22-gie miejsce. Jego punktacja wynosi 5,46. Skokowa — 4,75. Borys Jelcyn zdobył 8,73, Wiktor Czernomyrdin 8,54. Można sądzić, że stały program telewizyjny, w którym Aleksander Sołżenicyn odpowiada na pytania dziennikarzy, opowiada o swoim życiu, tłumaczy swoje książki oraz wypowiada się o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Rosji, w niemałym stopniu przyczynia się do wzrostu jego popularności. Jeśli

Sołżenicyn nadal będzie miał możliwość regularnie zwracać się do telewizorów, jego wpływy będą rosły. Telegeniczność, osobowość, która bije z ekranu, charyzma, centralistyczna polityka, którą proponuje pozwalają mu — jeśli zechce — kandydować na stanowisko prezydenta Rosji. Jeśli nie zechce, może w każdym razie wywrzeć znaczny wpływ na wybory.

15.10.1994

Adam KRUCZEK

## Ukraina: Program reform Kuczmy

Prezydent Leonid Kuczma przedstawił w parlamencie 11 października swój długo zapowiadany program reform. Oficjalna nazwa tego programu brzmi: „Nowa strategia gospodarcza i polityczna prezydenta”. Na posiedzeniu posłowie usłyszeli tylko zasadnicze punkty proponowanych kroków sanacji chorego organizmu. Całość koncepcji wyłożono w stustronicowym elaboracie. Nie widziałem dotychczas tego dokumentu i powołuję się na przemówienie prezydenta w Werchownej Radzie. Można było zresztą stwierdzić, że następca wielkiego oratora Krawczuka poczynił ogromne postępy lingwistyczne — do niedawna, na skutek długoletniego obcowania jedynie z rekinami rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego, operował raczej żargonem rosyjsko-ukraińskim. W każdym razie przemówienie wygłosił nienagannym językiem ukraińskim z naleciałościami z rodzimej Czernihowszczyzny. Dodajmy przy okazji, że ktoś ze szperaczy w archiwach odkrył, że przodek Kuczmy był czernihowskim pułkownikiem kozackim.

Cała Ukraina czekała na tę proklamację. Dlatego obalono Krawczuka i obrano Kuczma. Inercja tak wszystkim już obrzydła, że powstało nawet hasło: *Chajby hirsze — szczyby insze*, czyli „Niechby gorzej — lecz inaczej”. Nowy prezydent — na podstawie smutnych doświadczeń w okresie krótkiego premierostwa — wiedział gdzie leżą główne przyczyny kryzysu i miał mniej więcej świadomość konieczności radykal-

nych zmian. Ale przejście od znajomości faktów do wypracowania programu wymagało skompletowania doradców, zanalizowania aktualnej sytuacji i rozeznania w międzynarodowych uwarunkowaniach. Rezerwy dobrych fachowców były ograniczone. Najpierw ze względu na postkolonialne rezultaty polityki Moskwy, która stale wyląwiała talenty na Ukrainie i wciągała je prawie bezpowrotnie w obieg krwi imperium. Stąd miliony Ukraińców w Moskwie. Jedni mówią o dwóch milionach, inni twierdzą, że jest ich ponad trzy miliony. Oczywiście, że ta masa — to nie udziałowcy najwyższych kondygnacji władzy. Ale głębsze spojrzenie na ukraińską sytuację dowodzi, że odpływ talentów na północ bardzo ogranicza możliwości zestawienia kadry potrzebnych zarządców i twórców koncepcji. Dla Kuczmy, jako człowieka przez wiele dziesięcioleci oddalonego od Kijowa, wyrósł również problem przekroczenia Rubikonu między stolicą i prowincją. Ukraina na wzór sowieckiego imperium mimo kolonialnego statusu imitowała w karykaturalny sposób moskiewski centralizm. Liczyło się tylko to, co jest w Kijowie. Stąd też nieufność zadufanej biurokracji stołecznej wobec przybysza z „prowincji” i specyficzny styl „niezadawania się” z „obcym”. A jednocześnie reżym Krawczuka „zużył” wiele kadr, bo za tamtej prezydentury pozacieraly się zupełnie różnice między władzą a opozycją. Oprócz wąskiego grona bezpośrednich administratorów wokół prezydenta powstały ogromne struktury „współudziałowców”, „zwolenników”, „popleczników”, „podskakiewiczów” i „potakiwaczy”. Na skutek tej olbrzymiej kolaboracji z reżymem — bo taka była polityczna kultura postkomunistyczna — została bardzo zniszczona wątki tkanka opozycji walczącej o zachowanie własnej tożsamości intelektualnej i programowej gotowości do przedstawienia koncepcji alternatywnych. Kuczmie niełatwo było dobrnąć sobie grono ludzi nie „zużytych” w poprzednich koneksjach, a jednocześnie kompetentnych. Trudność w selekcji polegała też na tym, że duża część inteligencji z obozu narodowo-demokratycznego od początku ustosunkowała się do nowego prezydenta negatywnie. Nie odpowiadał ich kryteriom o „państwowcu” i „patriocie”. Zwinny i wszędobylski Krawczuk był im bardziej bliski.

*Nolens volens* Kuczma musiał sięgnąć do sił w znanym mu środowisku Dniepropietrowska, które było związane z tamtejszymi przedsiębiorcami przemysłu, uniwersytetem i administracją. W ten sposób doszło do powstania nowej struktury władzy prezydenckiej, opartej na drugim wydaniu

„mafii dniepropietrowskiej”. Pierwsza była związana z Breżniewem i jego namiestnikiem na Ukrainie, Szczerbickim. Są to przeważnie ludzie młodzi, przeciętnie między trzydziestką i czterdziestką. W większości rozmaitego typu inżynierowie. Działa wśród nich też spora grupa kijowska i kilku Galicjan. Ale przesunięcie z zachodu na wschód jest oczywiste. Kijów i Lwów wciąż jeszcze boczą się na nowego prezydenta. Kamieniem niezgody jest wypowiedź Kuczmy na temat równouprawnienia języka rosyjskiego jako „oficjalnego” obok ukraińskiego jako „urzędowego”. Niejasność sformułowania wywołała wielki zamęt i doprowadziła do zespolenia opozycji narodowej przeciwko ideom rzekomej „rusyfikacji” Ukrainy. Jest to niesprawiedliwe i niepotrzebnie zaostrza sytuację w zupełnie niewłaściwym miejscu. Śladem tych kół poszła też większość emigracji, która nagle zapalała nostalgią po Krawczuku.

Tak samo zamęt i opór wywołało sformułowanie Kuczmy o konieczności orientacji na kurs „euroazjatycki”. Ponieważ prezydent nie wyjaśnił tego od razu, a o wiele później wytłumaczył, że chodzi głównie o ofensywę na rynki Rosji i Środkowej Azji jak też o dalsze kraje azjatyckie, ruszyli na niego ławą ukraińscy „Europejczycy” broniąc koncepcji więzów z Polską, Węgrami i krajami bałtyckimi. W wyniku tej kontrofensywy doszło nawet do zwołania narady w Kijowie na temat utworzenia Międzymorza od Bałtyku do Morza Czarnego. Plan ten nie spotkał się z entuzjazmem u sąsiadów. Jediną znaczącą partią z zagranicy, która poparła Międzymorze była KPN z Polski. Przykład ten ilustruje deficyt w ukraińskich próbach powiązań z Europą.

Trochę lepiej wygląda obecnie sprawa stosunków z Ameryką. Administracja Clintona przestała manifestować swą jednostronną prorosyjskość, ale po drugiej stronie — ukraińskiej — nastąpiło wraz ze zwrotem na lewo ochłodzenie sympatii proamerykańskich. Wizyta Borysa Jelcyna w Waszyngtonie wzmocniła jednak ciągotki rusofilskie w Białym Domu. Powstrzymuje ten pęd utworzony w zeszłym roku Doradczy Komitet Amerykańsko-Ukraiński pod egidą Zbigniewa Brzezińskiego i Henry’ego Kissingera. Inicjatywy tego komitetu hamują trochę apetyty Rosji w rokowaniach z Ukrainą o nowy układ o „przyjaźni i dobrym sąsiedztwie”. Pertraktacje na ten temat toczą się już od dwóch lat, ale podpisanie umowy rozbijało się na niechęci Rosji w sprawie uznania nieetykalności granic Ukrainy i na żądaniach Moskwy wprowadzenia podwójnego obywatelstwa na Ukrainie. Teraz przy-

spieszono bieg rozmów i niebawem układ ma być podpisany podczas wizyty Jelcyna w Kijowie.

Zanim Leonid Kuczma ogłosił swe reformatorskie orędzie, zreorganizował nie tylko własną administrację ale i gabinet ministrów. Najważniejsze zmiany nastąpiły w resortach Spraw Zagranicznych i Obrony. Kuczma pozbawił stanowiska dawnego kierownika ukraińskiego MSZ-tu Anatola Zlenkę, bo ten istotnie mało działał. Był klasycznym przedstawicielem starej, sztywnej kadry bez najmniejszej inwencji i fantazji. Jego następcą został trochę obrotniejszy, dotychczasowy ambasador w Warszawie, Hennadij Udowenko. Najdłużej pracował w aparacie ONZ, potem w Polsce. Fakt ten pozwala oczekiwać, że nowy minister będzie miał na oku stosunki ukraińsko-polskie. Natomiast w resorcie obronnym Kuczma zamienił generała o historycznym — choć nie tym samym — nazwisku Radeckiego, na cywila, inżyniera Szmaraowa. Jest to pierwsza nominacja tego typu w państwach postsowieckich.

Takie jest ogólne tło, na którym ma się rozwinąć dzieło reform Leonida Kuczmy. Fakt, że eks-prezydent Krawczuk powrócił do politycznego życia dzięki zwycięstwu w dodatkowych wyborach w okręgu Trembowli na razie nie ma wielkiego znaczenia. Partie opozycyjne centroprawicy nie śpieszą się z powołaniem nowego posła na przywódcę. Nie śpieszy się też prezydent Kuczma z przyjęciem oferty Krawczuka na udzielanie mu porad.

Przemowienie Leonida Kuczmy w parlamencie było bardziej dramatyczne i drastyczne niż jakiegokolwiek oświadczenie polityków od początku niepodległości. Państwo ukraińskie znalazło się na krawędzi upadku gospodarczego. Większość przedsiębiorstw nie pracuje. Trwa ucieczka rodzimego kapitału za granicę, a zagraniczni inwestorzy omijają gospodarkę ukraińską. Zadłużenie za źródła energii — ropa i gaz ziemny — w Rosji i Turkmenistanie osiągnęło astronomiczne sumy. Pomoc Zachodu jest minimalna. Przedsiębiorstwom grozi ekspansja bardziej prężnego kapitału rosyjskiego. Niedołężne dotychczasowe reformy — a właściwie brak jakichkolwiek przemian oprócz mafii, korupcji i szarej strefy w gospodarce — wszystko razem doprowadziło Ukrainę do niespotykanej inflacji, zubożenia ludności, upadku eksportu i odpływu najlepszych fachowców za granicę.

Cóż więc proponuje nowy prezydent? Przede wszystkim „końską kurację”. Uwzględniając o wiele trudniejsze warunki niż w Polsce, jest ona chyba ostrzejsza od znanej kuracji Balcerowicza. A więc: stabilizację pieniądza drogą radykalnej

zmiany podatków w sensie liberalizacji, zmianę dotychczasowej scentralizowanej polityki budżetowej poprzez wprowadzenie budżetów państwowych i lokalnych, liberalizację cen, zerwanie z dotychczasową pseudoprywatyzacją i przyspieszenie odpaństwowienia przedsiębiorstw, likwidację systemu ministerialnego zarządzania gospodarką, strukturalne zmiany na rzecz nowoczesnych technologii, podjęcie radykalnej reformy rolnej celem uwłaszczenia chłopów i ożywienia konkurencji na wsi, wprowadzenie zdyferencjonowanej polityki społecznej celem ochrony tych warstw ludności, które najbardziej ucierpią na skutek reformy.

W dziedzinie politycznej prezydent Kuczma pragnie konsekwentnego rozdziału kompetencji pomiędzy legislatywę i egzekutywę, uchwalenia na przejściowy okres Małej Konstytucji, wprowadzenia prezydenckiej administracji na wszystkich szczeblach, od organizacji wiejskiej do gabinetu ministrów, uchwalenia ustawy o opozycji i formowaniu gabinetów cieni, mocniejszego niż dotychczas zabezpieczenia praw obywatelskich. Kuczma proponuje też, na wzór polityki Jelcyna, podписание aktu obywatelskiego przymierza pomiędzy wszystkimi siłami politycznymi na czas wprowadzania reform oraz półrocznego moratorium: zawieszenia strajków i wszelkich demonstracji antyrządowych.

Na polu polityki zagranicznej, na pierwszym miejscu znajduje się rozwój i uporządkowanie stosunków z Rosją i innymi państwami Wspólnoty Niepodległych Państw, uchwalenie systemu finansowych rozliczeń, cel — bez uszczerbku dla suwerenności i bez prób reanimacji struktur Związku Sowieckiego. Równoległe do tych prób mają przebiegać starania o zbliżenie z sąsiadami na zachodzie i włączenie Ukrainy w procesy europejskiej integracji.

Realizacja będzie trudna. Przeciwnicy reform — zwłaszcza prywatyzacji ziemi — już się odezwali. Szykuje się zwieranie szyków przeciwstawnych obozów i batalia o przyszłość umęczzonego, zdewastowanego i zdezorientowanego kraju.

13 października

Bohdan OSADCZUK

## Kronika niemiecka

**SPRAWY GOSPODARCZE I SOCJALNE:** Od roku 1991 do 1993 w nowych krajach związkowych zainwestowano ogółem 342 miliardy marek, z czego 288 miliardów przypada na sektor przedsiębiorstw a 54 na sektor państwowy. ■ W ubiegłym roku udział landów wschodniemieckich w eksporcie ogólnoniemieckim wyniósł 2%. ■ W najbliższych 3 latach konieczny jest nadal transfer finansowy środków federalnych do nowych landów o wysokości 150 miliardów marek rocznie. ■ 7 miliardów marek ze środków Unii Europejskiej przeznaczonych zostało we wrześniu br. na likwidację bezrobocia w Niemczech Wschodnich a 6,1 miliarda marek na pomoc dla tamtejszego rolnictwa. ■ W ubiegłym roku eksport niemiecki do krajów byłego bloku komunistycznego wzrósł o 15% do sumy 27,7 miliarda marek. Niemcy zainwestowały tam też 1,8 miliardów marek, z czego 1,6 miliarda przypada na Węgry, Polskę i Czechy. ■ Z liczbą 80,6 miliona mieszkańców Niemcy były w roku 1992 najbardziej zaludnionym krajem Unii Europejskiej, przed Wielką Brytanią i Irlandią Północną (razem: 57,9) oraz Francją (57,4 miliona). W grudniu 1993r. przybyło do Niemiec 987 000 cudzoziemców (92r. — 1.208 tys.), z czego 323 000 to osoby ubiegające się o azyl (92r. — 438 000). W 93r. Niemcy opuściło natomiast 710 tys. cudzoziemców (92r. — 615 000). Ponadto w roku 1993 osiedliło się w Niemczech 281 000 obywateli niemieckich, w tym 219 000 przesiedleńców. Ogółem w roku 1993 w Niemczech mieszkało 81 338 000 osób. ■ Z powodów gospodarczych oczekuje się w Niemczech migracji 25% ludności z obszarów rolniczych i terenów przygranicznych do większych ośrodków przemysłowych. ■ Co piąty obywatel Niemiec przekroczył 60 lat. ■ 58% ankietowanych młodych mężczyzn twierdzi, że „można być szczęśliwym bez dzieci i rodziny”. ■ **POLITYKA:** W lipcu br. przekazane zostało władzom niemieckim Berlińskie Centrum Dokumentacji „Berlin Document Center” (BDC) znajdujące się dotychczas w rękach władz amerykańskich. Archiwum to obejmuje 25 milionów akt osobowych członków reżimu nazistowskiego. Przed przekazaniem BDC Amerykanie sporządzili kopie wszystkich akt. Ubolewania z powodu oddania tego centrum przez USA wyraził Simon Wiesenthal. ■ Minister spraw wewnętrznych Kanther zapewnił, iż na przyszły rok zabezpieczone jest finansowanie zarówno programu przyjmowania w Niemczech przesiedleńców z innych krajów jak też programu pomocy dla mniejszości niemieckich w zamieszkiwanych przez



nich krajach, na co przeznaczono ogółem 1,1 miliarda marek. ■ Szwecja zamierza zakupić ponad 200 nowych czołgów niemieckich typu „Leopard”, od 120 do 200 czołgów używanych, jak też 800 opancerzonych pojazdów piechoty ze stanu byłej armii NRD. ■ W wielu miastach niemieckich odbyły się uroczystości upamiętniające rocznicę napadu Niemiec na Polskę i wybuch II Wojny Światowej, jak też wybuch oraz upadek Powstania Warszawskiego. ■ W nowo wydanej „Historii Czechosłowacji” pominięto milczeniem fakt zamieszkiwania tam przed wojną 3,3 miliona Niemców, tj. prawie 25% ogólnej liczby obywateli. Według tej publikacji przedwojenną Czechosłowację zamieszkiwało ogółem 13 613 172 osoby, w tym m.in. 6 850 000 Czechów (51%), 1 190 000 Słowaków, 745 000 Węgrów, 185 000 Żydów oraz 75 000 Polaków i innych „mniej licznych mniejszości narodowych”. ■ Powstała z członków byłej partii komunistów niemieckich SED partia PDS zażądała przeprosin od kanclerza Kohla za nazwanie jej członków „pomalowanymi na czerwono faszystami”. ■ Decyzją zarządu od władzy odsunięty został przywódca skrajnie prawicowej partii „Republikanów” Franz Schönhuber. Protestując przeciwko tej decyzji, Schönhuber określił ją jako pucz i zapowiedział podjęcie przeciwko niej kroków prawnych. ■ Decyzją Sądu Federalnego zabronione jest publikowanie nazwisk byłych nieoficjalnych członków energetycznej bezpieki. ■ Minister spraw wewnętrznych Manfred Kanther zarządził obserwowanie przez Służbę Ochrony Konstytucji działań w kierunku zbliżenia się skrajnie prawicowej partii Niemiecka Unia Ludowa DVU oraz Republikanów. ■ Dania zamierza zaostriżyć politykę wobec grupek niemieckich neofaszystów prowadzących na terenie tego kraju bezkarną działalność, za którą w Niemczech grożą kary więzienia. ■ Po raz pierwszy od zakończenia II Wojny Światowej w Niemczech ukazała się historia Ukrainy „Geschichte der Ukraine”. ■ Zdaniem niemieckiego ministra obrony Rühle, Rosja nigdy nie zostanie przyjęta do NATO. W odróżnieniu od ministra spraw zagranicznych Klause Kinkla Rühle popiera plan możliwie szybkiego przyjęcia do NATO Polski, Czech i Słowacji. ■ 23% ankietowanych bezrobotnych w landach wschodnich i 13% w zachodnich uważa obcokrajowców za przyczynę swych trudności. KULTURA: Pokojową Nagrodę Księgarzy Niemieckich otrzymał w tym roku pisarz hiszpański Jorge Semprun. ■ Niemiecki Instytut Polski (*Deutsches Polen-Institut*) Karla Dedeciusa oraz fundacja Robert Bosch Stiftung zorganizowały w Dreźnie symposium pt. „Niemieckie i polskie kultury pamięci”. ■ Nagrodę fundacji Robert Bosch Stiftung dla polskich tłumaczy literatury niemieckiej otrzymał w tym roku Ryszard Wojnakowski. ■ Przeciętne gospodarstwo domowe w Niemczech wydaje na

media drukowane ok. 60 marek miesięcznie, z czego 25 marek na książki, 20 na gazety i 15 na czasopisma. Zainteresowaniem czytelników niemieckich cieszy się głównie literatura fachowa, literatura faktu, poradniki i przewodniki turystyczne. Na końcu skali zainteresowania znajduje się literatura piękna. ■ Liczni znani pisarze niemieccy wezwali do utworzenia fundacji „Dla prześladowanych pisarzy”. ■ Tegorocznym laureatem nagrody im. Goethego „Goethe-Preis” honorowanej sumą 50 000 marek został brytyjski historyk sztuki Sir Ernst Gombrich. ■ Spadkobiercy niemieckiego archeologa Heinricha Schliemanna żądają zwrócenia Niemcom przez Rosję tzw. „skarbu Priama”. ■ Powstająca we Frankfurcie nad Menem Biblioteka Niemiecka *Deutsche Bibliothek* dysponować będzie miejscem dla 18 milionów książek. ■ Wyższe uczelnie niemieckie pragną utrudnić handel tytułami doktorskimi. Ocenia się, że za milionowe sumy marek nadaje się rocznie w Niemczech od 200 do 300 fałszywych tytułów doktorskich. ■ Uniwersytet Europejski Viadrina we Frankfurcie nad Odrą oczekuje w tym roku 500 nowych studentów w tym 200 z Polski. ■ Po raz pierwszy w historii Izraela przygotowywany jest koncert muzyki Richarda Straussa. Obok Richarda Wagnera Strauss był drugim kompozytorem niemieckim, którego muzyka nie była grana w Izraelu z powodów antysemitycznych postaw obu twórców. ■ W Berlinie uruchomiona została pierwsza tego rodzaju w Europie wielokulturowa rozgłośnia radiowa „Radio Multi Kult”. Na falach tej rozgłośni od poniedziałku do piątku wśród 16 języków nadawany jest też 20-minutowy program polskojęzyczny.

Andrzej STACH

Polnische Buchhandlung

**KSIĘGARNIA POLSKA**

**Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria**

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

**Tel. i fax: (1) 52 63 114**

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

## Kronika kulturalna

### Uparty w swoim posłannictwie: Adam Czerniawski, tłumacz i krytyk

Pozycja Adama Czerniawskiego jako ambasadora poezji polskiej w świecie anglojęzycznym jest już dobrze ugruntowana. Zasłużył sobie na nią kilku dziesiątkami lat samotnej (co nie znaczy jednak: nie zauważonej i nie docenianej, dowodem czego całkiem okazała liczba nagród literackich) pracy nad przekładami na angielski wielu ważnych pozycji współczesnej poezji polskiej. Brytyjski krytyk, David Morley rozpoczyna recenzję ostatniej pozycji na długiej liście publikacji Czerniawskiego, od stwierdzenia: „Czerniawski zrobił więcej niż ktokolwiek inny dla wzbudzenia zainteresowania świata poezją swojego kraju” (...*he did more than anybody else to bring his country's poets to international attention*). Co więcej, zdaniem tego krytyka, przez obudzenie świadomości Zachodu na sytuację w jakiej, do tak niedawna jeszcze, znajdowała się poezja polska a w szczególności na jej zasadniczy dylemat wyrażony epigramatycznie słowami jej „pierwszej damy”, Wisławy Szymborskiej: „*Jesteśmy dziećmi epoki / epoka jest polityczna.*”, Czerniawski wywarł jednocześnie znaczący wpływ na kierunek rozwoju poezji brytyjskiej od lat 60-tych. Przez uwrażliwienie poetów brytyjskich na dylematy moralne, z jakimi mierzyli się ich rówieśnicy z „drugiej Europy”, obnażył on przed nimi *implicite* zagrażające im samym niebezpieczeństwo zasklepienia się w jałowym kręgu samoobsesji i egotyizmu. „W tym względzie — konkluduje swój wywód angielski krytyk — tłumacz-poeta jak Czerniawski (...) wywarł tak ważny wpływ jak Eliot w latach 20-tych naszego stulecia”.

Zasługa to z pewnością niemała, tym większa, jeśli się zważy, że angielskie środowisko literackie nie odznacza się otwartością na wpływy z zewnątrz (właśnie wyczytałam, że tłumaczenia z języków obcych reprezentują zaledwie 5% produkcji wydawniczej w tym kraju!). Jest to z całą pewnością inny klimat niż ten, w którym rozwija swoją działalność w Niemczech wielce zasłużony dla literatury polskiej Karl Dedecius.

Od ponad trzydziestu już lat pracuje Czerniawski nieustrudzenie i z podziwu godną wytrwałością nad popularyzacją polskiej poezji na gruncie anglojęzycznym i to nie tylko piórem (bo nie jest wykluczone, że jego seria znakomitych programów i pogadanek radiowych dla BBC, odniosła większy sukces w tym zakresie docierając — co jest oczywiście w naturze samego medium — do większej ilości odbiorców). Plon tej pracy reprezentują dwie antologie wydane na przestrzeni ostatnich lat — jedną jest wybór przekładów ze współczesnej poezji polskiej pt. *The Burning Forest* (Bloodaxe, 1988), drugą zbiór esejów krytycznych pt. *The Mature Laurel* (Seren Books, 1991). Ten ostatni zawiera pisma krytyczne pióra bardzo rozmaitych autorów, tak polskich jak i angielskich, w redakcji Czerniawskiego. Tytuł zainspirowany cytatem z Norwida (z wiersza rozpoczynającego się od słów: „*Nikt nie zna dróg do potomności...*”). Nietrudno zgadnąć, że to Norwid właśnie patronuje całej działalności Czerniawskiego; trudno się też obronić wrażeniu, że to siebie samego ma na myśli, kiedy pisze (w końcowej strofie poetyckiej prozy „Poeci o Norwidzie” z tomu „Wiek Złoty. Jesień”):

„*Był więc, jak wszyscy opętani poezją — zespołem sprzeczności; uparty w swoim posłannictwie, drażliwy i nieporadny; myślał — naiwny — że coś mu się od współczesnych należy*”.

Obie uzupełniające się niejako antologie ilustrują świetnie to zespolenie dwóch ważnych dla Czerniawskiego sfer działalności, z których każda wspiera i wzbogaca drugą. Jego zmysł krytyczny daje o sobie znać na każdym kroku w jego przekładach; jego analizy literackie nabierają dodatkowego ciężaru gatunkowego przez praktyczną znajomość warsztatu pracy pisarskiej.

Jako poeta-tłumacz największe triumfy święci tam, gdzie jego osobista predylekcja do powściągliwości uczuć, niedomówienia, a nawet pewnej surowości wyrazu, niechęć do baro-

kowych ozdobników i romantycznych gestów (choć przecież można by się spierać, że to one właśnie stanowią o owej *differentia specifica* literatury polskiej), spotyka się z podobną wrażliwością u autora tekstu tłumaczonego („antypoezja” Różewicza, ironiczny dystans Herberta, inteligencja w grze z samą sobą Szymborskiej).

Osobiście brakuje mi w antologiach Czerniawskiego tego, czego (jak mi się wydaje) czytelnik biorąc do ręki taką książkę niemal aksjomatycznie oczekuje: reprezentatywności. Jego selekcja jest uwarunkowana osobistym smakiem i kryterium „przetłumaczalności”. Ambitnym zadaniem (wciąż czekającym na śmiałka, taką którą by się odważył zapaść w te ciągle jeszcze niemal aksjomatycznie oczekuje: reprezentatywności. Jego selekcja jest uwarunkowana osobistym smakiem i kryterium odległościem leżące regiony) dla tłumacza tej miary co Czerniawski, byłaby próba „zangielszczenia” tych obszarów poezji polskiej, gdzie „duch narodowy” (jeśli wolno użyć tego bardzo dziś *politically incorrect* i mglistego zwrotu, tu w konkretnym sensie: „czegoś *specyficznego* dla kultury społeczności powiązanej wspólnym losem historycznym”) wypowiedział się najpełniej, a takim jest chyba wielki kanon XIX-wiecznej poezji romantycznej. Bez pełniejszego kontekstu antyromantycznej rebelii nie sposób zrozumieć korzeni modernizmu, oryginalność Norwida trzeba mierzyć miarą współczesnych jemu a nie nam.

Marzy mi się antologia, która by mogła zaprezentować całą rozpiętość „gamy głosu” polskiej poezji, a takiej antologii trud Czerniawskiego w obudzeniu zainteresowania współczesną poezją polską na obszarze anglojęzycznym z pewnością utorował drogę. Należy mu się za to wdzięczność wszystkich, którym nieobojętne są sprawy percepcji literatury polskiej za granicą.

Wdzięczność należy mu się też za jego zachętę i pomoc świadczoną innym, którzy próbują swoich sił na tym polu (Czerniawski wiele zdziałał w tym względzie w czasie dwóch lat swego pobytu w charakterze wicedyrektora The British Centre for Literary Translation na Uniwersytecie East Anglia w Norwich).

Z okazji zbliżającego się 60-lecia, wypada życzyć poecie, tłumaczowi, krytykowi, wielu dalszych lat owocnej pracy. I nie zapominajmy: „*Nikt nie zna dróg do potomności...*”.

Teresa HALIKOWSKA-SMITH

## Wystawa dzieł Augusta Zamoyskiego w Warszawie\*

„Cztery małe szkicowniki (kat. 113-116) są ogromnie ważne w prześledzeniu drogi, jaką kroczył artysta w burzliwym okresie swej twórczości formistycznej. Do „widzenia formistycznego” bowiem dochodził od kształtu realnego przez stopniowe szukanie w tych kształtach formy syntetycznej. [...] Na pobieżny realistyczny rysunek dwu postaci, na szkic aktu nanosił Zamoyski niepewną kreskę szukając formy najbardziej zwartej, przenikających się owalów, kompozycji maksymalnego skrótu. Uczył się realnych kształtów, by je uogólnić, zamienić na „formistyczne”. Świadczą o tym notatki przy niektórych szkicach [studium aktu]: *okrągłe i płaskie powierzchnie, beczki chińskie, zamknięte kielbasy, proste linie słupy lub tors to dwa stożki* (Szkicownik III, kat. 114). Podobnie w głowach portretowych, w ołówkowym profilu szukał syntezy wyrazu, niekiedy od razu zafascynowany kształtem głowy żywego modelu [...]. *Spojrzawszy na mnie — opowiadał mi Antoni Słonimski — Guccio zaważał: Jajko! Zupełne jajko! Będziesz mi pozował! — Nie podobało mi się to określenie mojej głowy — dodał Słonimski — ale co było robić? Pozowałem*”. (Z. Kossakowska-Szanajca, Katalog wystawy, s. 66).

Ten pełen *ineditów* fragment tak wiele mówi i o metodzie twórczej, i o temperamentie i osobowości artysty i, *last but not least*, o wartości dokumentarnej katalogu jego *oeuvre* towarzyszącego wystawie zorganizowanej w Warszawie w stulecie jego urodzin, że nie waham się przytoczyć go tu w całości.

August Zamoyski, jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy polskich XX wieku, przez swoje pobyty, powroty, przyjaźnie, powiązania artystyczne, należał także do Francji. Tu spędził młodość i część lat męskich, tu powrócił na starość, tu umarł i tu spoczywa, tu wreszcie pozostawił ogromną ilość swych dzieł, a także swe bezcenne archiwa. Tu podpisywał kontrakt z legendarnym już dziś marszandem Zborowskim, tu przyjaźnił się z Ludwikiem Marcoussisem (obydwu portretował), a także z Maillolem, tu pisał o nim (m.in. w *Kulturze* 1956, nr 2) Józef Czapski.

\* August Zamoyski, 1893-1970. Wystawa monograficzna w stulecie urodzin artysty. Warszawa, Muzeum Narodowe, 4.IX.1993-2.I.1994. Komisarze wystawy: Zofia Kossakowska-Szanajca, Hanna Kotkowska-Bareja, Andrzej Wat. Pokazana następnie w Krakowie i w Poznaniu, ma ona również przyjechać do Tuluzja, a potem do Paryża.

Tu także wielokrotnie wystawiał i tu miała miejsce jego jedyna wielka wystawa monograficzna, zorganizowana przez panią Héléne Zamoyską w Tuluzie w 1977 roku. Obecna wystawa warszawska jest drugim przedsięwzięciem tej miary.

O ile życie Augusta Zamoyskiego — o którym nie miejsce tu opowiadać, a szkoda! — było burzliwe, o tyle jego *parcours* artystyczny należy do wyjątkowo jednolitych, a może raczej: zwartych. Formistyczna — a więc awangardowa — przedłużona aż po połowę lat 1920-tych młodość przechodzi po roku 1925, zgodnie z duchem epoki, w spokojny klasyczny monumentalizm typu Maillola (siedzące akty kobiece, „Wenus”, głowa „Wierki”) aby od końca lat 1930-tych spełnić się w wielkiej monumentalnej rzeźbie przeznaczony do pleneru. Pomimo kilku niefortunnych pomników (Zamoyski nie znośił ich robić i słusznie uważał, że się do tego nie nadaje) rzeźbiarz był, jak sądzę, od początku swej kariery monumentalistą. Późne lata twórczości — a może także, w Brazylii i potem Prowansji, bardziej osiadły tryb życia i łatwiejszy dostęp do materiału — sprawiły że ów monumentalizm, oczywisty przecież nawet w małych formach z okresu formizmu, przemówił wreszcie pełnym głosem, dając chyba najlepsze, najpełniejsze dzieła. Przyczyniły się do tego: nowa spirytualistyczna koncepcja życia, pasja jaką od zawsze żywił dla materiału („kucie wprost w kamieniu”), i olbrzymie doświadczenie tej właśnie jednolitej, zwartej, skupionej na dążeniu w głąb ciągle tych samych kilku form, drogi. Bo Zamoyski, wybitny portrecista, jest również autorem powtarzanych przez całe życie w różnych wariantach dwóch tematów: wystrzelającej ku górze grupy dwu splecionych ciał („Ich dwoje”, ale także „Pietà” oraz samotnego, ciężkiego, najczęściej kobiecego, aktu („Wenus”, „Rhea” i inne). Na poszukiwaniu rozstrzygnięcia rzeźbiarskich problemów wyrastających z tych dwóch tematów zeszło mu życie.

Piękna wystawa w Muzeum Narodowym miała, zgodnie ze swym tytułem, zakres i wymiar monograficzny i objęła rysunki, rzeźby i rzadkie projekty scenograficzne artysty. Katalog, pióra Zofii Kossakowskiej-Szanajca, do minimum ogranicza komentarz (na pierwszych 30 stronach pomieszczono wstępy, wprowadzenie, oraz szczegółowe kalendarium życia i twórczości artysty)<sup>1</sup>, na rzecz części dokumentarnej, którą jest 70-stronicowy katalog *oeuvre* Zamoyskiego. Obejmuje on, co ważne, nie tylko rzeźby pokazane na wystawie, ale całość twórczości artysty, wraz z dziełami których ślad istnienia udało się wytropić na starych

1. Pełną i pogłębioną interpretację dzieła Augusta Zamoyskiego znajdzie czytelnik w monografii opublikowanej przez Z. Kossakowską-Szanajca w 1974 roku („August Zamoyski, Warszawa, wyd. Arkady).

fotografiach, we wzmiankach prasowych, we wspomnieniu samego rzeźbiarza. Wiele z nich już nie istnieje, o losie wielu nic nie wiadomo, czasem nie wiemy nawet, jak wyglądały. Większości towarzyszą oryginalne komentarze Zamoyskiego spisane „na żywo” przez Zofię Kossakowską w 1968 roku, a także informacje i odkrycia dokonane przez tę autorkę, zaprzyjaźnioną z Zamoyskim i zajmującą się jego twórczością od wielu lat, już po jego śmierci, w trakcie przeglądania i klasyfikacji udostępnionych jej przez wdowę po artyście pozostałych po nim papierów, dokumentów, fotografii, tworzących razem dotąd nie opublikowane „archiwum Zamoyskiego”. Archiwum dotyczące, rzecz jasna, nie tylko jego, ale też ludzi których znał, portretował, z którymi pracował lub korespondował: artystów, polityków, pisarzy; polskich, francuskich, brazylijskich, austriackich, niemieckich i innych. Wzbogacają je setki wywiadów przeprowadzonych przez Z.K.-S. z tymi ludźmi — jak na przykład z cytowanym tu Antonim Słonimskim. Powstał w ten sposób dokument, którego ważności dla przyszłych badaczy, zarówno twórczości Zamoyskiego jak i sztuki polskiej XX wieku w ogóle, nie sposób przecenić. Myślę, że oprócz pierwszego w Polsce pokazania całokształtu twórczości rzeźbiarza, które samo przez się jest wielkim wydarzeniem, katalog ów jest jednym z największych sukcesów tej wystawy.

Joanna SZCZEPIŃSKA-TRAMER

## Kresy — fenomen kulturowy

Kresy w ciągu ostatnich kilku lat zrobiły swoją karierę, czego wyrazem stały się między innymi wznowienia takich utworów, jak „Pożoga” Z. Kossak-Szczuckiej, „Burza od Wschodu” M. Dunin-Kozickiej, licznych powieści M. Rodziewiczówny, powstanie w Lublinie kwartalnika *Kresy*, reportaże telewizyjne „Podróże na Kresy”, spora ilość publikacji na temat Lwowa, Wilna, regionalne zjawiska, np. powołanie Forum Kultury Kresowej im. St. Vincenza w Strzyżowie i wiele innych. Fenomenem było też zaistnienie w szerokim sensie kontrowersyjnego Józefa Mackiewicza. Problematyka kresowa — co ciekawe — jest obecna zarówno w obiegu popularnym, jak i w kulturze wysokiej, jest obecna w rozmowach „kawiarnianych”, towarzyskich, ale piszą też o niej publicyści i naukowcy.

Samo pojęcie Kresów, rozumiane jako nazwa topograficzna oznaczająca konkretne w danym czasie terytorium, wywołuje wiele różnych sporów, kontrowersji. Przeciwno jej używaniu są w zasadzie Ukraińcy, Białorusini, Litwini czy Łemkowie, bo odczuwają w tym jakiś negatywny podtekst, historyczne resentymenty. Sam byłem świadkiem takiej dyskusji na konferencji w Strzyżowie poświęconej właśnie Kresom, kiedy zastrzeżenia terminologiczne zgłosili równocześnie: historyk ukraiński i przedstawiciel mniejszości łemkowskiej w Polsce. Z drugiej strony badacze tego fenomenu argumentują, iż kategoria ta jest utrwalona historycznie i tylko od nas zależy, jakimi sensami, wartościami ją wypełnimy. Blisko tego pojęcia funkcjonują też takie sformułowania, określenia, jak: pogranicze, dialog kultur, „skrzyżowanie kultur”, które wydają się nośne semantycznie a emocjonalnie neutralne, do przyjęcia dla wszystkich. Książka Stanisława Uliasa\*, wykładowcy rzeszowskiej WSP, dotyczy literatury kresowej okresu dwudziestolecia międzywojennego, ale jest właściwie pracą z pogranicza historii, historii literatury, antropologii czy też socjologii.

Termin Kresy stał się swego rodzaju — jak mówi znawca tej problematyki, Jacek Kolbuszewski — „domem polskiego bytu”, w nim bowiem skupiają się znaczenia zarówno geograficzno-historyczne, polityczne, jak i aksjologiczne. Im bliżej teraźniejszości — termin ten uzyskuje wymiar, jak chce autor „Literatury Kresów”, fenomenowi kulturowego.

Z etymologicznego punktu widzenia Kresy kojarzone były w staropolszczyźnie z linią czatowni ciągnącą się przez stopy od Dniestru do Dniepru, co uległo oczywiście historycznym przemianom, które Uliasz szeroko opisuje. Tak w ogóle, kontekst historyczny — zdaniem rzeszowskiego badacza — stanowi konieczny punkt odniesienia dla zrozumienia omawianego fenomenu.

Najciekawsze dla współczesnych miłośników tej problematyki wydaje się pytanie: „Czym są Kresy w świadomości współczesnych Polaków?” To pytanie wydaje się centralne dla całej rozprawy, a próba odpowiedzi — odkrywczą i najcenniejszą. Najprostsza odpowiedź może brzmieć: Kresy są fenomenem, czymś niezwykłym, zadziwiającym zjawiskiem kulturowym, skarbnicą wartości. Naukowa próba odpowiedzi jest oczywiście bardziej złożona.

Zdaniem Uliasa, Kresy są dziś przede wszystkim kategorią *kulturową* właśnie, to znaczy „jawią się w postaci symbolicznej i wysublimowanej, oznaczając pewien stan świadomości, typ wrażliwości i wyobrażeń, a mówiąc inaczej — wizję świata” (22).

\* S. Uliasz, „Literatura Kresów — kresy literatury”, WSP Rzeszów 1994, s. 246.

Kresy „żyją” więc i poszerzają swoje wymiary w umysłach ludzi. W przestrzeń tej kategorii wpisują się problemy „miejsc utraczonych”, „małej ojczyzny”, jak też wartości: otwartość, tolerancja, dialog kultur, akceptacja „inności”, polifoniczność i pluralizm kulturowy. Właśnie te wartości sytuują nas, narody słowiańskie, w centrum kultury europejskiej.

Literatura kresowa to — jeśli wolno posłużyć się sformułowaniem Mickiewicza — „arka przymierza między dawnymi i młodszymi laty”; taką rolę pełniła w procesie samookreślenia się wspólnoty kresowej. Pamięć słów i pamięć rzeczy, przekonuje autor, służyły utrwalaniu świadomości końca II Rzeczypospolitej, ale też poprzez kresową księgę literacką, na innym pięttrze semantycznym, stały się poszukiwaniem „ładu aksjologicznego”.

Przy całym szacunku dla warsztatu badawczego, wydaje mi się, iż autor „Literatury Kresów — kresów literatury” nie tylko nadużywa żargonu naukowego, ale chowa się za niby-naukowe „my” i bezosobowe formułki. Może czasami warto zawierzyć intuicji, wewnętrznemu „głosowi” i pozwolić sobie na odrobinę naukowego, a jakże! szaleństwa. Nasuwa się jednak smutna refleksja, inaczej pisze się dla recenzentów z tytułami, a jeszcze inaczej dla czytelników.

Rozprawa Uliasa, przy pewnych formalnych i językowych zastrzeżeniach, ma niewątpliwie charakter odkrywczy, jeśli idzie o interpretację, odczytywanie „sensów głębokich”, ale i przełomowy, jeśli chodzi o sposób czytania — sądzę — wzorcowy dla kolejnych badaczy literatury kresowej.

Stanisław DŁUSKI

## NOWA PLACÓWKA BIBLIOTEKI NARODOWEJ

31 lipca br. w strukturze organizacyjnej Biblioteki Narodowej powstała Pracownia Badań nad Książką Polską za Granicą.

Do jej statutowych zadań należy:

1. Prowadzenie prac badawczych i dokumentacyjnych związanych z:
  - dziejami, funkcją i rolą książki polskiej na obczyźnie i jej instytucjami (biblioteki, oficyny wydawnicze, księgarnie, drukarnie itp.),
  - zbiorami materiałów polonijnych (emigracyjnych) i dotyczących Polonii (emigracji) w bibliotekach polskich.
2. Współpraca z instytucjami i organizacjami polskimi za granicą, a szczególnie bibliotekami oraz organizowanie różnych form pomocy dla nich.

3. Współdziałanie z krajowymi instytucjami i organizacjami o pokrewnym Pracowni profilu działania.
4. Upowszechnianie i popularyzowanie wyników prac badawczych i dokumentacyjnych dotyczących problematyki książki polskiej na obczyźnie.

Kieruje Pracownią — dr A. Kłossowski łącząc to ze stanowiskiem profesora w Katedrze Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (gdzie prowadzi wykłady i seminaria magisterskie z zakresu książki polskiej za granicą) oraz funkcją prezesa, powstałego 23 października 1993 r., Towarzystwa Rapperswilekiego, którego celem jest promocja kultury polskiej za granicą.

## FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych we wrześniu 1994 roku. *Dziękujemy:*

- AGENCJI WYDAWNICZEJ JACEK SANTORSKI za przekazanie 1.400 egz. książek;
- DOMOWI KSIĘGARSKIEMU STOWARZYSZENIA WOLNEGO SŁOWA za przekazanie 10.415 egz. książek;
- TOWARZYSTWU „WIĘŹ” za przekazanie 1.536 egz. książek;
- WARSZAWSKIEJ OFICYNIE WYDAWNICZEJ GRYF za przekazanie 1.233 egz. książek;
- WYDAWNICTWU SICI za przekazanie 100 egz. książek;
- WYDAWNICTWU WAB za przekazanie 2.340 egz. książek;
- Panu Dyonizemu Jusce za przekazanie 135 egz. książek;
- Panu Andrzejowi Mietkowskiemu za przekazanie 155 egz. książek;
- Panu Andrzejowi Mrowińskiemu za przekazanie 115 egz. książek;
- Pani Magdalenie Ślósarskiej za przekazanie 163 egz. książek;

Otrzymane pisma i książki przekazujemy nieodpłatnie bibliotekom w kraju i za granicą.

Nasz adres:

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM,  
ul. Hoża 29/31, 00-524 Warszawa,  
tel./fax 621-37-36

## Ci, co odeszli

### Wspomnienie o profesorze Agostinho da Silva

W roku 1933 premier Portugalii Antonio de Oliveira Salazar wydał dekret zobowiązujący wszystkich pracowników państwowych do podpisania oświadczenia o nieprzynależności do żadnej „tajnej organizacji”. Można by mówić o absolutnym sukcesie Salazara, gdyby nie pewien nauczyciel gimnazjalny, który postanowił nie podpisać.

Zwolniony z pracy, więziony, Agostinho da Silva — on to bowiem był tym jedynym niesubordynowanym pracownikiem państwowym (ani masonem, ani komunistą) — żyje z lekcji prywatnych, wyjeżdża na stypendium do Madrytu i Paryża, później jednak decyduje się na emigrację i po krótkim pobycie w Argentynie i Urugwaju, osiada w Brazylii. Bilans 25-letniego pobytu w tym kraju obejmuje współudział w zakładaniu wielu uniwersytetów (Paraíba, Brasília, Santa Catarina), a przede wszystkim niezamordowaną działalność pedagogiczną, naukową i twórczą.

Słynne zdanie Fernanda Pessoa, które lubił cytować — „Moją ojczyzną jest język portugalski” — nie miało dlań nacjonalistycznego zabarwienia. Urodzony w Porto (1906), lata dzieciństwa spędził na granicy portugalsko-hispańskiej i zawsze podkreślał swoją iberyjską tożsamość i konieczność iberyjskiej i iberoamerykańskiej współpracy. Studiuje filologię klasyczną w Porto i doktoryzuje się na Sorbonie na podstawie rozprawy o Montaigne'u. W okresie prowadzonej przez Portugalię wojny kolonialnej rzuca propozycję stworzenia wspólnoty suwerennych państw byłego imperium ze stolicą w Angoli, która to propozycja tylko irytuje Lizbonę. Po rozpadzie imperium kolonialnego, podejmuje wbrew panującym uprze-

dzeniom i resentymentom wiele inicjatyw służących zbliżeniu między rozrzuconymi po czterech kontynentach jego byłymi prowincjami.

On sam najkrócej określił zakres swej działalności, gdy w rozmowie z poetą i prezydentem Senegalu Leopoldem Senghorem, zapytany o swoją *spécialité*, odpowiedział *généralité*.

Pasja poznawania szła zawsze w parze z niezwykle aktywnym uczestnictwem w życiu społecznym. Angażował się w akcje o szerokim zasięgu, ale bardziej jeszcze w pomoc w rozwiązywaniu konkretnych ludzkich problemów. Zawsze troszczył się o warunki materialne swoich uczniów i często dzielił z nimi swoją profesorską pensję.

Po 24-letnim pobycie w Brazylii, wraca do Portugalii (1969). W rzeczywistości jednak nigdy z Brazylią się nie rozstał, pozostał jej obywatelem (dopiero w 1992 r., na skutek osobistego zaangażowania premiera Cavaco Silva, otrzymuje na powrót portugalskie obywatelstwo).

Poznałem Profesora wkrótce po przyjeździe do Lizbony. Znalazłem się tam w kwietniu 1981 r. z zadaniem kontynuowania rozpoczętego przez mego kolegę z Polonistyki UJ, Dra Franciszka Ziejkę, lektoratu Języka i Kultury Polskiej na Uniwersytecie Lizbońskim. Któregoś dnia zadzwonił pewien student w imieniu profesora, którego nazwisko nic mi wówczas nie mówiło, zainteresowanego nauką języka polskiego — i tak po raz pierwszy wdrapałem się na wzgórze Bairro Alto i znalazłem w mieszkaniu z widokiem na wpadający do morza Tag i starą Lizbonę. Choć Profesor nie wyglądał na swoje wówczas 75 lat, zaskoczył mnie wiek przyszłego ucznia i zaintrygowały motywy takiego przedsięwzięcia. Wystarczyła jednak chwila rozmowy by przekonać się, że trafiłem pod właściwy adres. Wystarczyła też, by Profesor zrozumiał jak bardzo potrzebne mi są lekcje portugalskiego, i tak zaczęły się nasze cotygodniowe spotkania, tylko w niewielkim stopniu poświęcone nauce polskiego. Jako „podręcznik” do nauki języka, a zarazem wprowadzenie do historii Portugalii, mój nauczyciel wybrał „Mensagem” (Przesłanie) Fernanda Pessoa — poetycką i mesjanistyczną wizję historii tego kraju. Język portugalski stawał mi się coraz bliższy, ale profesor nie zaniechał nauki polskiego. Zaopatrzony w podręczniki i słowniki zawsze miał przygotowane jakies pytania, ćwiczył wymowę, interesował się historią i zakiescynowany „Solidarnością” śledził rozwój wydarzeń w Polsce.

Mityczny Agostinho da Silva żył w Lizbonie jakby w ukryciu, na marginesie, jakby wiadomość o jego powrocie dotarła tylko do garstki przyjaciół. Jednakże w jego mieszkaniu krzyżowały się coraz bardziej drogi studentów, artystów, polityków i najnormalniejszych Portugalczyków, aż w połowie lat 80-tych stał się jednym z największych autorytetów, szczególnie wśród młodego pokolenia.

Po „Mensagem” (którego fragmenty we wspólnym przekładzie opublikował miesięcznik *Znak*) przyszła kolej na inne teksty portugalskiego kanonu. Trzeba tu dodać, że Profesor wszedł niejako do naszej rodziny i „z tej strony Tagu” był naszym największym oparciem („z tamtej” był dom pani Marii Danilewicz Zielińskiej i pana Adama, jej śp. męża).

Profesorowi w dużej mierze zawdzięcza powstanie pismo *Aproximações* (Zbliżenia), poświęcone głównie przekładom z literatur „innej Europy”. Tu również nieoceniona stała się pomoc „z tamtej strony Tagu”, a także (za pośrednictwem Instytutu Literackiego, kierowanego przez Ralpa Dahrendorfa) Central and East European Publishing Project z Oxfordu.

W roku 1985 kończyła się moja umowa z Uniwersyte-tem Lizbońskim i nadszedł czas powrotu do Krakowa. Wszystko pokrzyżowały jednak brazylijskie „czary” Profesora. Wrócić do Polski z Portugalii bez poznania Brazylii wydało się jakby zawróceniem w połowie drogi. Pokusę wzmagala możliwość kontynuowania *Aproximações* w tym największym kraju luzofońskim, ale pojawiły się trudności przy staraniach o paszport i wizę brazylijską. Czekając na załatwienie tych formalności, zaproponowałem Profesorowi nagranie rozmowy, która rozrosła się do rozmiarów książki („Vida conversável”, Universidade de Brasilia, 1994).

Później droga z Brazylii do Polski zawsze wiodła przez Lizbonę — ostatni raz w sierpniu ubiegłego roku. Duża fotografia jasnogórskiej ikony, przywieziona poprzednim razem, zajęła honorowe miejsce z widokiem na starą Lizbonę i wpadający do morza Tag. Jak zawsze rozmowa była o wszystkim, i jak zawsze Profesor zaskakiwał nowymi pomysłami i inicjatywami, ale po ciężkiej, dopiero co przebytej chorobie, nie było już mowy o podróżowaniu. Planowana od dawna podróż do Polski stawała się coraz bardziej nierealna. Zmarł w lizbońskim szpitalu w Niedzielę Wielkanocną, 3 kwietnia 1994 roku.

Brasilia, maj 1994

Henryk SIEWIERSKI

## Książki

### Kolejna ważna publikacja

Pisząc niedawno (*Kultura* nr 9) o ożywieniu ruchu zbliżającego w Polsce problematykę niemiecką, wspomniałem o zasługach pism *Res Publica* oraz *Przegląd Polityczny*. Pisałem o tym przede wszystkim ze względu na fakt, iż oba te pisma prezentowały czytelnikom poważne „bloki” materiałów poświęconych tej problematyce. Niezależnie od tego wskazać trzeba dwa przynajmniej pisma posiadające od lat znakomitych komentatorów zagadnień niemieckich i systematycznie zajmujące się aktualnymi wydarzeniami w tej dziedzinie — *Politykę* oraz *Tygodnik Powszechny*. Nakładem tego ostatniego — dzięki wsparciu Fundacji Roberta Boscha — ukazał się specjalny numer stałego dodatku do pisma, wrześniowy „Apokryf”, zatytułowany „Polacy-Niemcy. Pół wieku później”. Sporo tu materiałów historycznych, zajmujących i tak skomponowanych, by wyeksponować zasadę nakazującą szacunek dla pamięci łączony z powinnością przebaczenia. W tym bloku pomieścić należy przede wszystkim artykuł Grzegorza Barana „My, niskie numery”, tekst Reinholda Lehmana poświęcony szansom rozwoju Fundacji Krzyżowa (nawiasem mówiąc o trudnościach tej fundacji, skądinąd niezwykle szlachetnego przedsięwzięcia i o tyle interesującego, że zakorzenionej w działalności opozycji dawnej NRD, pisała niedawno *Polityka*), szkice Krzysztofa Karwata dotyczące problematyki mniejszości niemieckiej w Polsce międzywojennej. Część tekstów poświęcona jest zagadnieniom współpracy ekonomicznej.

Dwa materiały zasługują jednak na szczególowsze omówienie. Pierwszym jest komentarz stale zajmującego się w *Tygodniku* problematyką niemiecką Wojciecha Pięciaka „Wróg

staje się sojusznikiem” poświęcony polityce Niemiec wobec Polski — w szczególności: trudnościom, jakie mają Niemcy w forsowaniu dążeń Polski do wejścia w struktury europejskie. Pisze autor, że „poparcie Niemiec nie jest jednak tak duże, jakbyśmy sobie tego życzyli”. Wśród przyczyn tego stanu rzeczy wymienia Pięciak trzy: 1. niewypracowanie po zjednoczeniu Niemiec długofalowej koncepcji polityki zagranicznej; 2. konieczność liczenia się ze zdaniem innych partnerów Unii Europejskiej; 3. ostrożność wobec Moskwy, która obawia się izolacji. Warto może te twierdzenia skomentować. Otóż pierwsze z nich łączy się nierozdzielnie z drugim: jest rzeczą oczywistą, że Niemcy — i tak już podejrzewane w Unii o chęć dominacji — nie mogą polityki wobec krajów wschodnioeuropejskich prowadzić samodzielnie. Jest oczywistym paradoksem historii, że nasi sojusznicy z roku 1939 mniej są zainteresowani włączeniem Polski w struktury zjednoczonej Europy niż Niemcy. Historycznie rzecz ujmując — to właśnie owi alianci dokończyli po wojnie dzieła zapoczątkowanego przez Hitlera, oddając Polskę pod wpływy sowieckie. Dziś można bez zbytej przesady twierdzić, że są konsekwentni w utrzymywaniu naszego kraju na dystans. Niemcy natomiast nie — i tu rzeczywiście tytułowa teza artykułu Pięciaka znajduje potwierdzenie. Dyskusyjny natomiast wydaje się punkt pierwszy. Otóż „długofalową koncepcję polityki zagranicznej” Niemcy mają i powstała ona na długo przed zjednoczeniem. Trzeba to podkreślić, w zasadzie jest realizowana konsekwentnie. Jest to koncepcja Adenauera, która zakłada wkomponowanie Niemiec (najpierw zachodnich) w struktury europejskie, potem zjednoczenie kraju w owych właśnie strukturach. Tak właśnie Niemcy postępują, a to w oczywisty sposób zakłada uzależnienie ich polityki zagranicznej od postawy partnerów.

Pisząc o nadchodzących wyborach zauważa Pięciak, że „w naszym interesie leży reelekcja Kohla i jego CDU/CSU”. Pomijając fakt, że CSU nie jest partią Kohla (co nie jest zupełnie bez znaczenia, choć to partia „siostrzana”, ale jednak nie „filia” polityczna CDU), twierdzenie to jest słuszne. Chrześcijańscy demokraci w Niemczech są bardziej konsekwentni w „europeizowaniu” kraju niż socjaldemokraci (gdzieś w prasie niemieckiej przeczytałem nawet ostatnio uszczypliwe uwagi na temat „nacjonalizmu” w SPD). Mają też dużo większą wolę współpracy z Polską, o czym świadczą choćby wypowiedzi — jednoznaczne i dość wyraziste — z okazji wspólnych manewrów wojskowych pod Poznaniem we wrześniu.



W mniejszym też stopniu ulegają szantażom moskiewskim. I choć Niemcy naprawdę potrzebują zmian politycznych, na eksperyment z oddaniem władzy socjaldemokratom jest w tej chwili za wcześnie: istnieją po temu przesłanki w polityce wewnętrznej, lecz decydującą — ze względu na formujący się dopiero porządek polityczny po roku 1989 — jest kwestia konsekwentnego budowania jedności Europy, a w tej sprawie postawa socjaldemokratów nie jest wcale jednoznaczna. Inaczej mówiąc: ze względu na sytuację wewnętrzną SPD zainteresowana jest spowolnieniem procesów integracyjnych — zarówno w samej Unii, jak w odniesieniu do ewentualnych nowych jej członków. Wreszcie swoista „słabość” SPD w stosunkach z Moskwą i jej niezbyt chlubna, partyjna i niezależna od państwowej (np. podpisanie „cyrografu” z SED, odmowa spotkania Brandta z Wałęsą w 1985 itd.) działalność w latach 80-tych nie stanowi zbyt dobrej prognozy dla polskich aspiracji.

Pięciak, na marginesie niejako swego tekstu, ledwo wspomina o jednym z bardziej istotnych problemów, który być może wart jest bardziej szczegółowego omówienia. Jest to kwestia niemieckiej tożsamości. Z tym były problemy przed zjednoczeniem kraju, po zjednoczeniu dodatkowo się zwiększyły. Píše autor o konieczności „znalezienia równowagi między dwiema skrajnościami: nacjonalizmem a odwracaniem się plecami od przynależności narodowej”. Owszem — obie postawy są obecne w Niemczech, ale nie one decydują o kłopotach z tożsamością. Tu decydujące znaczenie ma swoista „regionalizacja” niemieckiego patriotyzmu (wyrażana m.in. w dość ostrym rozróżnieniu między pojęciami Heimat i Vaterland): nie należy zapominać, że mamy do czynienia z krajem stanowiącym federację Niemiec — różnych Niemiec. Z tego punktu widzenia patrząc, Niemcy zawsze mieli problemy ze skonstruowaniem ogólnonarodowej tożsamości. Rzecz wymagałaby, oczywiście, szerszego omówienia. Tu tylko może warto wspomnieć, że opisywana przez Pięciaka ostrożność współczesnych Niemców w stosunku do pojęcia „narodu” wyrasta również z doświadczenia narodowego socjalizmu, okresu, w którym — też zresztą bez rzeczywistego sukcesu — narzucono Niemcom poczucie jedności.

Píše Pięciak w zakończeniu: „Mamy dziś szansę zakończenia „odwiecznej wrogości” z sąsiadami zza Odry, szansę zmienienia kompleksu Niemiec-wroga w relację z Niemcami-sojusznikiem”. To prawda tylko po części. Podstawowym kompleksem jaki Polacy mają do przewyciężenia, jest własny

kompleks ofiary: wynika z niego m.in. postawa żądająca zadośćuczynienia, a więc zwalniająca z własnej aktywności politycznej. Mowa w artykule o polityce Niemiec wobec Polski. Warto, myślę, sformułować kiedyś koncepcję polskiego współkształtowania niemieckiej polityki zagranicznej — koncepcję pozbawionego kompleksów partnerstwa. Ale to temat osobny.

Drugim tekstem wartym uwagi jest próba bilansu „postkomunistycznych” stosunków polsko-niemieckich przeprowadzona przez Adama Krzemińskiego w artykule „Kompleks Odry i Nysy”. Tu zwraca uwagę przede wszystkim niebanalna analiza niemieckiego kompleksu tej granicy, który, jak píše Krzemiński, „polegał na tym, że egzekutorem dziejowego wyroku za przegraną wojnę okazał się w roku 1945 sąsiad ignorowany lub przynajmniej lekceważony”. I dalej: „Gdyby Pomorze, Śląsk i Prusy Wschodnie przypadły w 1945 r. Rosji, byłoby to dla niemieckiej psychiki mniej bolesne, gdyż zgodne z 'porządkiem dziobania'. Rosjanie wjechali do Berlina, mieli więc prawo zwycięzcy, ale Polska?”. Warto, myślę, tę interpretację pamiętać, bo choć nie bezdyskusyjna, zawiera sporo racji. I trafna uwaga na zakończenie szkicu: „Sąsiedztwo polsko-niemieckie nie stworzyło w ciągu ostatnich pięciu lat własnej 'legandy pozytywnej', nie stało się ideą młodego pokolenia, wspieraną przez szkołę i media (...). Pod tym względem okres po roku 1989 na pewno nie został należycie wykorzystany”.

Gdy zastanowić się nad przyczynami tego stanu rzeczy, należałoby chyba wymienić na pierwszym miejscu pasywność strony polskiej czekającej jakby na inicjatywy niemieckie, na drugim — niedocenywanie szansy, jaką stwarza kultura. Nie ma bowiem powodu, by właśnie w tej dziedzinie takie np. miasto jak Szczecin nie miało pełnić w zbliżeniu polsko-niemieckim tej roli, jaką spełnił Strasburg w stosunkach niemiecko-francuskich. To oddalone o 130 km od Berlina miasto ma naturalne niejako warunki, by zostać symbolicznym miejscem spotkania, by stać się siedzibą jakichś wspólnych organizacji, centrum współpracy przynajmniej kulturalnej. Ale Polska wciąż dzieje się tylko w Warszawie.

A przy okazji: właśnie kulturze specjalny polsko-niemiecki numer „Apokryfu” nie poświęcił ani jednego tekstu. To bardzo symptomatyczne. I smutne.

## Wiadomości bibliograficzne

Historia literatury polskiej XX w. rozłamuje się w wyniku wielkich wydarzeń historycznych na kilka różnie określanych i opracowywanych okresów. Wiek XIX przedłużył się właściwie do 1914 r., jeśli nie 1918, by wejść w Dwudziestolecie (1919-1939) — zwane przez Tymona Terleckiego międzywojnem — a temu położył kres Wrzesień 1939. Okres wojenny pozbawiony jest wyraźnego początku, gdyż rozpoczynają go w literaturze wiersze wojenne Wierzyńskiego i Słonimskiego i ogłaszane po r. 1939 reportaże wojenne. Literatura zwana emigracyjną nie rozpoczyna się bezpośrednio po opuszczeniu Polski przez Rząd RP i Prezydenta — i brak jej daty końcowej, choć skłonna jestem uznać za nią datę zniesienia cenzury.

W dyskusjach o jedności czy wielotorowości literatury polskiej w latach 1939 — po dzień dzisiejszy przeważały głosy opowiadające się za *literaturą polską* traktowaną jako dalszy ciąg literatury pierwszej połowy XX w., a więc nie tylko Dwudziestolecia ale i Młodej Polski, modernizmu i postmodernizmu. Ciągłość tę ilustruje wymownie *casus* Staffa. Ujęciu takiemu towarzyszy potrzeba gruntownej przebudowy istniejących już w praktyce nomenklatur i nawyków. Potrzebne jest scalenie obrazu ogólnego, żywotności prądów literackich i zachodzących w ich obrębie zmian, całokształtu dorobku poszczególnych ośrodków lub pisarzy. Wiele wskazuje na to, że podjęto już zakrojone na szeroką skalę próby wyrównania zaległości lub świeżego spojrzenia na zniekształcone cenzurą opracowania i „białe plamy”, przynębia jednak fakt, iż obok nowych inicjatyw budzą się obawy zlikwidowania od dawna istniejących a wysoce pożytecznych wydawnictw mogących wykazać się dużym dorobkiem. Myślę więc z serdeczną troską o „Polskiej bibliografii literackiej”, spóźnionych „Rocznikach Literackich”, zatrzymanej w biegu reedycji Estreichera, niedomaganiach bibliografii bieżącej, szczególnie ważnej w okresie chorobliwego rozmnożenia placówek wydawniczych o charakterze efemeryd i nieuchwytnych adresach. Cieszy mnie natomiast, że można tej czarnej liście przeciwstawić podejmowanie takich prac pionierskich, jak „Słownik literatury polskiej XIX w.” pod red. Józefa Bachórza i Aliny Kowalczykowej (Ossolineum 1991), przewodnik encyklopedy-

czny „Literatura polska” PWN (1985) czy „Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie, 1939-1980” pod red. B. Klimaszewskiego (Interpress 1992), czy wreszcie pionierskie prace prof. Dobrochny Ratajczakowej z Poznania nad teatrem emigracyjnym.

Najlepiej przedstawia się sytuacja na odcinku naukowo pojętej biografistyki i biobibliografii, wracających do łask krytyków literackich po katastrofie (?) strukturalizmu obywatelskiego się bez zyciorysów autorów omawianych utworów lub ich cząstek. „Polski Słownik Biograficzny” kroczy dostojnie w tempie dwu zeszytów rocznie i nieprędko wydobędzie się z pułapki R, S — daleko mu do końca, a materiały do uzupełnień rosną i wypełniłyby już pewno kilka tomów.

Wiele wydarzyło się pocziwemu niezastąpionemu „Korbutowi”, który z jednoosobowego bohaterskiego przedsięwzięcia przeobraził się w specjalny dział Pracowni Dokumentacji Literatury Współczesnej Instytutu Badań Literackich i obecnie pracuje pod dowództwem Jadwigi Czachowskiej i Alicji Szalagan. Potrzebę kontynuacji w zmienionym i ulepszonej formie kształcie uswiadomiono sobie wcześniej. Formalnie jednak dopiero w 1950 r. rozpoczęto w IBLu prace nad „Nowym Korbutem”, którego pierwszym redaktorem był K. Budzyk, zastępcą T. Mikulski a jedną z kierowniczek grup opracowujących poszczególne tomy była Irmina Śliwińska, co wskazuje na bliskie powiązania z Biblioteką Narodową, w której wszyscy wymienieni wyżej pracowali i z którą blisko był związany przed 1939 r. Gabinet Filologiczny Tow. Nauk. Warszawskiego tzw. Korbutianum, wcielony następnie do Instytutu Badań Literackich. „Nowy Korbut” urósł na przestrzeni lat do 17 tomów i stał się podstawowym narzędziem pracy polonistów, ale niejednym tom „indywidualny” można by do niego dodać.

Blizniaczym przedsięwzięciem obliczonym na zaspokojenie palących potrzeb badaczy literatury współczesnej (dziś już raczej: XX w.) stał się „Słownik współczesnych pisarzy polskich” wydawany od 1963 r., gdy ukazała się edycja znana dziś jako seria I pod red. Ewy Korzeniewskiej, podczas gdy seria II, rozszerzona i ulepszona nosi datę 1977 a redaktorką jej jest Jadwiga Czachowska, nowe ważne nazwisko w dziejach bibliografii polskiej.

Owe opracowania bibliograficzne współczesnej literatury polskiej tym przede wszystkim różnią się od korbutowskiego prototypu, że odrywają od układu rzeczowego przechodząc na alfabetyczny. Poszczególne opisy przynoszą: 1) biografię,

opartą gdzie tylko to było możliwe na kwestionariuszach autorskich, 2) bibliografię twórczości, 3) ważniejsze tej twórczości opracowania, z uwzględnieniem filmu, telewizji i słuchowisk radiowych. Powstrzymano się od hierarchizowania i ocen twórczości poszczególnych autorów. Na marginesie serii II powstała i trwa dotąd w archiwach Państwowego Instytutu Wydawniczego wersja zminiaturyzowana (2207 haseł autorskich) przeznaczona dla szerokich rzesz czytelników. Wydanie jej zatrzymał brak finansów. Gdy wreszcie się ukáže, stanie się „klasycznym” podręcznym, zwięzłym i przejrzystym słownikiem biograficznym.

Nie oznacza to, na szczęście, braku pokrewnych i na ogół udanych przedsięwzięć. W podobnym kierunku idzie „Przewodnik bibliograficzny. Literatura polska” (PWN, 1987) w dwu tomach, z których drugi kończy się pokaznym suplementem, wymownie ilustrującym skutki zniesienia cenzury, która nakazywała przemilczanie jednych a zniekształcanie życiorysów lub bibliografii innych.

Momentem przełomowym jest jednak podjęte przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne (1994) siedmiotomowe opracowanie pt. „Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik biobibliograficzny”, którego pierwsze dwa tomy: A-B i C-F już się ukazały, dając pojęcie o całości przedsięwzięcia kierowanego podobnie jak Seria II „Słownika” przez Jadwigę Czachowską, tym razem we współpracy z Alicją Szałagan. Nazwisko Czachowskiej, nb. córki wybitnego historyka literatury i bibliografa, Kazimierza, wiąże się z kilkoma tomami „Polskiej bibliografii literackiej”, „Przewodnika polonisty” (najnowsze wyd. 1988), pomnikowego opracowania „Literatura polska i teatr w latach II wojny światowej” (I-III, we współpracy z Marią K. Maciejewską i T. Tyszkiewicz) czy wreszcie szczególnie trudnej a bardzo ważnej „Literatury i krytyki poza zasięgiem cenzury” (współpr. Beata Dorosz, 1991). Znane i ciche zasługi Jadwigi Czachowskiej, pionierki licznych przedsięwzięć wydawniczych

\* „Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik biobibliograficzny”. Opracował zespół pod redakcją Jadwigi Czachowskiej i Alicji Szałagan. Warszawa 1994, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, T.I:A-B, s. 371, (1); t. II: C-F, str. 367, (1). (Praca przygotowana w Inst. Badań Liter. P.A.N. w Pracowni Dokumentacji Literatury Współczesnej. Zespół autorski: Jadwiga Czachowska, Beata Dorosz, Ewa Głębińska, Anna Hejman, Julia Pitera, Alicja Szałagan, Barbara Tyszkiewicz, Joanna Zawadzka oraz Felicja Lichodziejewska i Barbara Winkłowa. Tytuł dotowany przez Ministra Edukacji Narodowej).

i redaktorki podstawowych wzorowych opracowań, nasuwają porównanie jej roli z dorobkiem i zasługami Gabriela Korbuta, „człowieka z kurzu”, z tym że ona i jej fraucymer zasługują na miano „dam z kurzu”.

Na czoło zalet „Współczesnych polskich pisarzy i badaczy literatury” wysuwa się przejście ponad podziałami literatury na krajową i emigracyjną, literaturę okresu wojennego, podziemną, „drugiego obiegu”, by pozostawiając je monografistom, pokazać *literaturę polską XX w.*, łącznie obejmującą dzieła literackie bez względu na to gdzie się ukazały i do jakiej formacji politycznej należą ich autorzy. Zamyka to drogę dzielenia a nieraz ćwiartowania pisarzy w zależności od sytuacji politycznej lub miejsca zamieszkania lub osiedlenia, co tak bardzo daje się we znaki przy opracowywaniu dowolnego tematu z literatury zwanej emigracyjną będącej w rzeczywistości częścią literatury polskiej, tak jak literatura Wielkiej Emigracji jest częścią literatury polskiej XIX w.

W przeżywanym obecnie stadium scalania się dorobku pisarzy „emigracyjność” opatruje się często znakiem równania z przebywaniem poza granicami Kraju, w kraju osiedlenia. Mimo woli nasuwają się analogie z „zagraniczną” twórczością Sienkiewicza, Konopnickiej czy Żeromskiego. Francuski adres *Kultury*, włoski adres Herlinga-Grudzińskiego, meksykański Mrożka a nawet moja skromna „Granatka” (= Romazeiras) portugalska są w równej mierze otwarte na polskość i uprawnione do karty wstępu do ogólnych opracowań literatury polskiej. Czas na koniec dyskusji na ten temat.

Istnieją jednak inne, praktyczne, zasady przyznawania karty wstępu. Dla Czachowskiej, przy uwzględnianiu poszczególnych nazwisk, obowiązywały we „Współczesnych polskich pisarzach i badaczach literatury” następujące zasady: trzy pozycje wydane lub wystawione przed r. 1988, z wyjątkiem wybitnych młodych i pisarzy znanych z czasopism lub przedwcześnie zmarłych. Pamiętając o trudnościach, jakie granica wieku stawia kandydatom do nagród Fundacji im. Kościelskich, boję się, że Redakcję zaleje lawina listów dotyczących niesłusznie pominiętych lub nieuwzględnionych.

Wreszcie pytanie: kogo uwzględniły Redaktorki „Współczesnych polskich pisarzy” w dwu wydanych już tomach. Myślę o pisarzach „emigracyjnych” o nazwiskach od A do F. Oto oni:

Kazimiera Alberti, Adam Bahdaj, Marek Baterowicz, Irena Bączkowska, Czesław Bednarczyk, Jan Bielatowicz, Danuta Irena

Bieńkowska, Andrzej Bobkowski, Antoni Bogusławski, Zofia Bohdanowiczowa, Stefan Borsukiewicz, Jerzy Braun, Zdzisław Broncel, Wiktor Brumer, Jan Brzękowski, Józef Bujnowski, Andrzej Busza, Tadeusz Chabrowski, Andrzej Chciuk, Michał Chmielowiec, Edward Chudzyński, Antoni Cwojdzński, Maja Elżbieta Cybulska, Maria Czapska, Józef Czapski, Florian Czarnyszewicz, Bogdan Czaykowski, Wawrzyniec Czereśniewski, Zdzisław Czermański, Adam Czerniawski, Marian Czuchnowski, Maria Danilewicz Ziełińska, Jan Darowski, Czesław Dobek, Edward Dusza, Wanda Dynowska, Zbigniew Folejewski, Władysław Folkierski, Anna Frajlch i Jan Fryling. (Ogółem 40 nazwisk).

Z poruszonymi wyżej sprawami wiąże się gromadzenie i przechowywanie dla tzw. potomności pełnej archiwalnej dokumentacji naszych czasów. Bogactwu i amatorstwu wielu ciekawych inicjatyw wydawniczych nie towarzyszy, niestety, troska o przesyłanie egzemplarzy obowiązkowych do Biblioteki Narodowej w Warszawie albo, przynajmniej, zbiorów publicznych dających szansę dostępu do nich i przechowania. Nowe formy powielania druków sprawiły, że ukazuje się wiele wydawnictw niejako chałupniczych, niskonakładowych a często ważnych i estetycznie wydanych. Literatura bieżąca — to dzikie pola, po których hulają przedsiębiorczy młodzi ludzie nie lubiący się troszczyć o *copyright* i wysyłkę egzemplarzy autorskich, starannie unikający kosztów przesyłki (istotnie zresztą wygórowanych i wrogich słowu drukowanemu).

Innym przeciwnikiem literatury „trwałej” tj. ujętej w okładki przynajmniej broszur jest konieczność publikowania maksymalnej części dorobku w czasopismach, za pośrednictwem których dociera istotnie najwcześniej do oczu czytelników po to, by utonąć w stertach dobrze jeśli roczników czy miesięczników a nie tak dziś popularnych i skądinąd pozytywnych dodatków tygodniowych do dzienników — albo nieregularnie wydawanych pism grup literackich na prowincji. O sięgających rozmiarów kataklizmu kształtach tego zjawiska dobrze informuje „Leksykon: grupy literackie w Polsce 1945-1980” Ewy Głębińskiej (Wiedza Powszechna 1991, str. 691) wyliczający dorobek kilkuset grup o niesłychanie wymyślnych nazwach i tytułach wydawnictw z ziem Rzplitej jak długa i szeroka.

Feijó pod Lizboną, 11 września 1994

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

## Kolaże Macieja Kledzika, kronikarza Powstania Warszawskiego

Ciekawe byłoby zbadać kim byli ludzie, którzy przeszli do historii jako kronikarze wielkich krwawych wydarzeń: podbojów, rewolucji, powstań. Bo owe krwawe wyczyny miały zwykle swoich kronikarzy, czasem tej miary co kronikarz podboju Meksyku, Bernal Diaz del Castillo.

Czy kronikarze ci byli zaplanowani i jeśli tak, kto ich wyznaczał? A może sami się zgłaszali? Przed czy w trakcie akcji? I dlaczego chcieli być kronikarzami?

Krótkotrwałość czy długotrwałość powstań jest często nie do przewidzenia. Powstanie Warszawskie, na przykład, miało trwać zaledwie kilka dni a trwało jak wiemy aż 63!

„Benon”, jeden z wielu powstańców opisanych przez kronikarza Powstania Warszawskiego Macieja Kledzika w jego debiutanckiej książce „Królewska 16”<sup>1</sup> „dopiero po wielu latach dowiedział się, że tej nocy (pierwszej nocy Powstania — A.I.) jego koledzy po fachu uruchamiali w fabryce Kamlera na Woli jedyną radiostację jaką dysponował generał 'Bór'”<sup>2</sup>.

„Wybrano fabrykę Kamlera — pisze Kledzik — ponieważ uznano, że jej budynek stanowią kompleks, który nadaje się lepiej jako gniazdo oporu mogące wytrzymać przez jakiś czas małe oblężenie. Tu miał się rozegrać ostatni akt Powstania — ujawnienie wobec wkraczających Rosjan władz polskich jako pełnoprawnych na ziemi polskiej gospodarzy”<sup>3</sup>.

Wątpię czy na te kilka przewidzianych dni zatroszczono się o kronikarzy walk powstańczych. Już w dwa tygodnie jednak po wybuchu Powstania zetknęłam się w kwaterze pułkownika Sławbora przy Alejach Ujazdowskich z młodą kobietą, która nam okropnie „zawracała głowę” zbierając materiały do kroniki Śródmieścia Południe.

Czy inne placówki powstańcze miały też kronikarzy?

Maciej Kledzik (urodzony w 1950 a więc z pokolenia dzieci warszawskich powstańców) mianowany został w 1985 roku przez porucznika AK Leopolda Kummanta (pseudonim

1. Maciej Kledzik, „Królewska 16”, Instytut Wydawniczy PAX, 1984.

2. Jak wyżej, s. 35.

3. Jak wyżej, s. 35, cytata z książki por. „Zycha” (Jerzego Nowaka).

powstańczy „Ryski”) kronikarzem plutonu DB 3, w związku z monografią tej grupy, nad którą wówczas zaczynał pracować.

— Rok temu przyjęto mnie do środowiska IV Zgrupowania AK GURT — mówi Kledzik podczas naszej rozmowy w Londynie zimą 1993. Dano mi honorową legitymację AK-owską i pseudonim „Kronikarz”. Uważam się za kronikarza Powstania Warszawskiego, a ściślej mówiąc za kronikarza Powstania w Śródmieściu-Północ. Staram się dotrzeć do wszystkich żyjących i rozproszonych po świecie powstańców z tej dzielnicy.

„Kronikarz” w cudzysłowie, bo owe kroniki to opisy *post factum*, które nazwałabym raczej historyczno-socjologicznymi kolażami. Są one czymś więcej niż kronikami dziejących się naokoło autora wydarzeń, sylwetek, rozmów. Na przykład w nie opublikowanej jeszcze monografii zgrupowania AK GURT pisze nie tylko o dziejach tego zgrupowania podczas Powstania, ale sięga również do losów jego bohaterów w czasie konspiracji i po kapitulacji Powstania.

Mimo zacieśnienia badań do powstańczego Śródmieścia-Północ i owej migawkowo-kolażowej techniki pisarskiej, obie powstańcze książki Kledzika, „Królewska 16” i „62 dni bez porucznika Rygla”<sup>4</sup>, dają znakomity wgląd w całość Powstania.

W swych wykładach z metodologii profesor Kotarbiński ostrzegał studentów przed rozpoczynaniem badań naukowych od zbyt szeroko zakreślonych zagadnień. Znacznie lepiej jego zdaniem było rozpoczynać od zagadnień węższych, oprzeć badania na konkretnych materiałach i z tej bazy dopiero „podróżować” do zagadnień szerszych. Warunkiem takiego podejścia do badań w jakiegokolwiek dziedzinie (Kotarbiński zawsze podkreślał metodologiczną jedność nauki) powinno być jednak jak najszersze, solidne wykształcenie. A tego Kledzikowi, wykształconemu ekonomicznie, dziennikarsko i historycznie na pewno nie brakuje.

Jego pierwsza książka „Królewska 16” to historia jednej tylko kamienicy z końca 19-go wieku, która podczas Powstania Warszawskiego stała się niezdobytą nigdy powstańczą redutą.

Historia tej kamienicy pokazana jest poprzez jej przedwojenne, okupacyjne i powstańcze dzieje, wraz z narastającą naokoło niej legendą.

4. Maciej Kledzik, „62 dni bez porucznika Rygla”, Caldra House Ltd, 1993.

Podczas okupacji funkcjonowała w niej dozwolona przez Niemców szkoła handlowa służąca za pokrywkę dla konspiracyjnego gimnazjum i liceum. Zagnieździło się w niej również szereg innych, nie wiedzących o sobie konspiracyjnych jednostek. Podczas Powstania stacjonowały w niej najróżniejsze ugrupowania. Historia tej niezdobytej kamienicy doprowadzona jest aż do kapitulacji Powstania i wyjścia jej obrońców do niewoli. Oto cytaty z listów do rodziny sanitariuszki „Soból”:

„Tak bardzo baliśmy się momentu wychodzenia w akompaniamencie złorzeczeń ludności. Ta bowiem, wyczerpana zupełnie, niechętnym wzrokiem obrzucała powstańców w ostatnich dniach walki... Bolało to nas okropnie a teraz świadomość, że w ślad za nami pójdą złorzeczenia, niechęć a nawet nienawiść, sprawiała nam niewypowiedzianą przykrość. Porucznik 'Paprzyca' twierdził, że z chwilą zakończenia działań sympatia ludzi odwróci się do nas... Długo mówił porucznik, ale mimo to baliśmy się tej nienawiści bardziej niż czegokolwiek innego podczas Powstania”.

Nie każda sanitariuszka, nawet w powojennych listach do rodziców, przyznałaby się do tego rodzaju obaw. Nie każdy kronikarz zacytowałby taki list w historii bohaterskiej reduty.

Kronikarz bez cudzysłówów, ograniczony do swoich własnych obserwacji i sporadycznych rozmów z ludźmi naokoło, nie potrafiłby pokazać takiej różnorodności postaw i zachowań powstańców, jakie pokazuje Kledzik. Nie pokazałby czytelnikowi owej „małej”, codziennej historii Powstania na tle historii przez duże „H”: panoramy przymierzy i konfliktów między ówczesnymi europejskimi potęgami, decyzji powstańczych wodzów, presji ze strony sprzymierzeńców.

Już w debiutanckiej książce „Królewska 16” zarysowuje się to przemieszanie Historii z codziennością Powstania. W drugim powstańczym kolażu „62 dni bez porucznika Rygla” zastosowana jest ta sama technika badań i ekspozycji.

Materiały na których opierają się obie książki to: 1) fragmenty nie opublikowanych pamiętników; 2) nie opublikowane relacje pisemne (niektóre z nich pisane na prośbę autora, inne udostępnione mu notatki robione podczas Powstania, listy między powstańcami, listy pisane po Powstaniu, powstańcze piosenki i wiersze; 3) liczne relacje ustne powstańców, których Kledzik poodnajdywał w Polsce, Francji, Anglii.

Cytuje on również opublikowane pamiętniki, artykuły

powstańców, odwołuje się do naukowych opracowań historyków Powstania, cytuje fragmenty z powstańczych gazetek, ulotek, rozkazów, raportów, meldunków odnalezionych w prywatnych i publicznych archiwach (m.in. w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie, ówczesnych archiwach KC PZPR, w Archiwach Studium Polski Podziemnej w Londynie).

Sięga również do wielu opracowań dotyczących poszczególnych powstańczych jednostek oraz różnych aspektów walk i życia codziennego powstańców (studia nad ludnością cywilną podczas Powstania, nad stanem uzbrojenia i wyżywienia powstańców itd.).

Walki powstańcze pokazane są przez Kledzika nie tylko od strony polskiej ale i niemieckiej. Powstańcy z obu jego książek nie tylko do Niemców strzelają ale nierzadko mają z nimi osobisty kontakt: słyszymy ich ostrzeżenia, czytamy ich ulotki, widzimy ich na kolanach błagających powstańców o darowanie im życia w imię wspólnego katolicyzmu, dowiadujemy się o próbach ich pertraktacji z powstańczymi dowódcami<sup>5</sup>.

W obu książkach uderza nastawienie na otwartą prawdę, zmieniającą się w miarę postępu badań historycznych, Kledzik nie daje nam biało-czarnego obrazu Powstania, unika moralnych ocen, zmusza czytelnika do wyciągania własnych wniosków.

Zaskakująca jest w obu jego książkach panorama zróżnicowań społecznych i w niemieckich oddziałach i wśród powstańców. Dowiadujemy się na przykład (ze źródeł niemieckich), że dnia 3 sierpnia wieczorem przyjechało do Warszawy z okolic Częstochowy około 1700 nieżonatych żołnierzy, wybranych z pięciu pułków brygady SS-Brigadeführera Mieczysława Kamińskiego. Ojciec jego był Polakiem, matka Niemką. On sam, urodzony w Poznaniu, zamieszkał w 1918 roku w Piotrogradzie i uważał się za Rosjanina. Wzięty do niewoli niemieckiej w 1941 roku w stopniu kapitana zorganizował brygadę złożoną z rosyjskich jeńców, dezertersów i ochotników, zaliczoną przez Himmlera do formacji SS. Marzył o wielkiej faszystowskiej Rosji, chciał być jej przywódcą, führerem. Generał von dem Bach powiedział o Kamińskim, że żadnego narodu tak nie nienawidził jak Polaków, o których mówił jedynie w obelżywych słowach<sup>6</sup>.

5. Autor powołuje się na Stanisława Płoskiego, „Niemieckie materiały do historii Powstania Warszawskiego”, Warszawa 1958.

6. Maciej Kledzik, „Królewska 16”, s. 41.

Pozycje niemieckie utrzymywały się przez cały czas Powstania w Ogrodzie Saskim i obrońcy reduty przy Królewskiej 16, będąc na pierwszej linii frontu stykali się bezpośrednio nie tylko z „prawdziwymi Niemcami” ale i z całą gamą kolaborantów. Niedaleko ich placówki zamurowany był niebezpieczny gołębiarz, który okazał się Ukraińcem. Jedzenie do jego kryjówki przynosiła mu „babina w chustce”. Od jego strzałów zginęło wielu powstańców i cywilów<sup>7</sup>.

Ale i wśród Polaków można było spotkać powstańców nietypowych. Taki na przykład bardzo jeszcze młody „Pedd”, którego ojciec w trzecim roku okupacji podpisał volkslistę, przeniósł syna do niemieckiej szkoły i zapisał do Hitlerjugend. „Pedd” chodził w znieawidzonym przez nas wszystkich mundurze, ale jego przyjaciele nie odsunęli się od niego, wiedząc że został zmuszony przez ojca. „Pedd” czuł się Polakiem i kiedy wybuchło Powstanie przyłączył się bez najmniejszego wahania do kolegów<sup>8</sup>.

Stosunek powstańców z Królewskiej 16 do często zmieniających się dowódców jest też daleki od biało-czarnego stereotypu. Pokazani są i dowódcy wydający „idiotyczne rozkazy” a nawet „tchórze”.

„Strzelec 'Czarny’ przypomina sobie, że łączniczka przyniosła idiotyczny rozkaz por. R rozpoznania niemieckich stanowisk w Ogrodzie Saskim. Idiotyczny, bo oznaczało to wystawienie się Niemcom jak tarcza...”<sup>9</sup>.

Gdy jednak „ten 'idiotyczny’ rozkaz został odczytany plutonowi i zaaprobowany przez szanowanego i ukochanego por. 'Paprzycę’, do wykonania akcji zgłosili się na ochotnika wszyscy. Wówczas jednak por. 'Paprzyca’ tak przemówił do swego plutonu:

„Nie chłopcy, wasze życie Polsce się przyda’. I poszedł sam, nie schylając się pod kulami. Rozpoznał wszystkie stanowiska i wrócił niedraśnięty<sup>10</sup>”.

Ów ukochany porucznik „Paprzyca” — jak jego żołnierze dowiedzieli się w wiele lat po wojnie — brał już udział w kampanii wrześniowej a podczas okupacji „jako oficer alianckiego wywiadu jeździł w mundurze niemieckiego oficera na Wschód Europy<sup>11</sup>”. Nie wiedzieli również o tym, że miał

7. Jak wyżej, s. 79-80.

8. M. Kledzik, „Królewska 16”, s. 37.

9. Jak wyżej, s. 79.

10. Jak wyżej, s. 79.

11. Jak wyżej, s. 48.

on dość sceptyczny stosunek do Powstania, które było dla niego „pustym gestem romantycznym<sup>12</sup>”. A jednak...

„Czym im mógł zaimponować” — zastanawia się Kledzik — „ten niewiele starszy od nich, schorowany (malarz), podpierający się laską (uszkodzony kręgosłup przy upadku z konia) blisko dwumetrowy, nie wymawiający głoski 'r' ciemny blondyn? Czy tylko odwagą, spokojem, szybkością i trafnością podejmowania decyzji oraz biegłą znajomością trzech języków obcych? A może szczęśliwą ręką? Od 10 września do kapitulacji nie zginął żaden z jego żołnierzy<sup>13</sup>”.

Takimi refleksjami od czasu do czasu autor dzieli się z czytelnikami obu książek. Niech czytelnicy znajdą sobie w nich swoje własne już inno-pokoleniowe zrozumienie i może natchnienie do dalszych badań Powstania Warszawskiego w świetle innych, polskich a nawet i niepolskich powstań.

Nie tak jak ów niezwykle „Paprzyca” oceniony jest przez swoich podkomendnych inny dowódca zmieniających się często przy ulicy Królewskiej 16 powstańczych ugrupowań.

„Nie miałem butów, to dobrze pamiętam” — powiedział autorowi powstaniec z Królewskiej 16 — „a nadarzyła się sposobność kupienia ich od cywila za dwie butelki wódki. Poszedłem do 'Romańskiego' i mówię: 'Nie mam w czym chodzić, chyba mi się należą buty za przeszło miesiąc służby'. Dał mi tylko jedną butelkę. Gdyby koledzy nie dołożyli drugiej, byłbym bez butów. Ułożyłem potem dwu-wiersz, który się przyjął w kompanii:

*My walczymy jak dzicy  
a dowódca wciąż w piwnicy<sup>14</sup>”*

Druga książka Kledzika o intrygującym tytule „62 dni bez porucznika Rygla” ma na okładce kolorową reprodukcję rysunku jednego z harcerzy-powstańców, przedstawiającą wzruszająco niezgrabną łączniczkę na tle gmachu Poczty Głównej przy Placu Napoleona, z powiewającą wyzwolenczo biało-czerwoną flagą. W prawym rogu na górze, w owalnym medalionie paszportowo wyglądająca fotografia młodego człowieka o wysokim czole i skupionym spojrzeniu. To właśnie ów porucznik „Rygiel”, bez którego trwały przez 62 dni przedstawione w tej książce walki powstańcze w

12. Jak wyżej, s. 36.

13. Jak wyżej, s. 156-7.

14. Jak wyżej, s. 140.

Śródmieściu-Północ. Ta sugestywna okładka nie pasuje jakoś do bezinterpretacyjnego kolażu Kledzika z „Królewskiej 16”. Czy może ta książka napisana jest inaczej niż poprzednia?

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że technika reportażowa jest w niej nieco inna. Książka o Królewskiej 16 pisana jest krótkimi, na pewno naumyślnie nie powiązanimi ze sobą paragrafami, podczas gdy ta druga książka ma podtytuły obrazujące chronologiczny przebieg walk.

Porucznik „Rygiel” (Kazimierz Pogorzelski), jak dowiadujemy się ze wstępu<sup>15</sup>, został na okres Powstania mianowany dowódcą dywersji bojowej DB-3 Obwodu I Śródmieścia Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej i skierowany do osłony sztabu Obwodu z siedzibą w kamienicy Wendego, w podwórzu między Pl. Dąbrowskiego a ulicą Mazowiecką. Dowiadujemy się również, że zastępcą jego był najbliższy przyjaciel ppor. „Ryski” (Leopold Kummant). Oprócz osłony sztabu plutonowi porucznika „Rygla” powierzono liczne, trudne zadania szturmowe, m.in. zdobycie silnie obsadzonego przez Niemców *Arbeitsamt*'u. Wyczyn ten udał się plutonowi znakomicie.

Oto opisana przez por. „Stefana” jedna z pierwszych zarządzonych przez por. „Rygla” zbiórek jego plutonu, na której młody kapelan rozdaje powstańcom medaliki i obrazki świętych:

„...Ten ksiądz jest zarazem kolegą. Łączy nas biało-czerwona opaska, połączy wspólne niebezpieczeństwo, wspólne cierpienie, może wspólna śmierć. Biorą obrazki i medaliki wszyscy. Ci ludzie przyzwyczajeni do strzałów i krwi, obyci z 'mokrą robotą', ludzie wśród których są jednostki o charakterze awanturczym i okrutnym bo w szeregi dywersji siłą rzeczy i ten element przenika, nie poważają się w tej chwili na żaden gest kpiny czy lekceważenia. Pochylają się w jednakowym skupieniu elegancki, wychowany w inteligentkim domu podchorąży i kanciasty w zniszczonym ubraniu robotniczym z Woli, i niesforny, nie mogący obejść się bez wódki i niebezpieczeństwa syn ulicy warszawskiej, którego tylko konspiracja uratowała od stoczenia się w pospolity świat przestępców...<sup>16</sup>”.

Oto obraz przemieszania społecznego, charakterystyczny dla wielu powstańczych ugrupowań.

Liczne fotografie zrobione przez łączniczkę „Irenę”

15. M. Kledzik, „62 dni bez porucznika Rygla”, str. 31.

16. Jak wyżej, s. 31.

(Irenę Kummant) dają czytelnikowi dodatkowy wgląd w walki i codzienne życie plutonu „Ryglowców”, bo tak do dziś dnia mówią o sobie ci którzy to codzienne życie i walki przeżyli. Czy gdyby porucznik „Rygiel” nie zginął, zostaliby również na zawsze „Ryglowcami”?

Fotografie przeplatane zapiskami łączniczki Tuli, która przez całe Powstanie prowadziła dziennik. A ta wysoka, śliczna brunetka w bryczesach to autorka fotografii, Irena Kummant!

— W tej to się chyba wszyscy podkochiwali? — pytam jednego ze znajomych „Ryglowców”.

— Ależ skądże! — odpowiada z punktu. — Ona jako siostra „Ryskiego”, zastępcy dowódcy plutonu, nie była wśród nas popularna...

Nic dziwnego, bo plutonem w takim składzie osobowym niełatwo było dowodzić po śmierci pierwszego dowódcy, który zginął oddając swego visa stojącemu obok podchorążemu i biegnąc na pomoc ślaniającemu się pod ścianą cywilowi<sup>17</sup>. Ci „Ryglowcy” bez porucznika „Rygla” próbowali do końca Powstania sami decydować o swoich akcjach. Wystarczała im legenda „Rygla” i boczyli się na kolejnych dowódców.

Jeden tylko, dużo od nich starszy i zdecydowany cywil umiał sobie świetnie z nimi radzić. Był to Józef Rybicki, „Andrzej”, który od jesieni 1943 był komendantem Kedywu Okręgu Warszawskiego AK<sup>18</sup>.

Gdy zjawił się na ówczesnej kwaterze „Ryglowców” we „Fregacie” okazało się, że wielu z nich zna osobiście z okresu konspiracji. Nie starał się tego ukrywać<sup>19</sup>.

Pan „Andrzej” był inny od poprzednich dowódców<sup>20</sup>... „chodził w szarym prochowcu z trzcinową laseczką w dłoni. Wiedział doskonale o przyjęciach jakie kolejnym, przysyłanym do nich oficerom zgotowali ‘Ryglowcy’ i zaskoczył ich. Zapytał kto dowodzi plutonem. Spojrzeli po sobie. W walkach przy ulicy Królewskiej dowodził ‘Piwnicki’. Pan ‘Andrzej’ nie miał wątpliwości, że pluton do specjalnej akcji poprowadzi ‘Piwnicki’<sup>21</sup>”. Sam jednak dołączył do akcji. Oto jego styl dowodzenia według relacji podchorążego „Lucjana”:

17. M. Kledzik, „62 dni bez porucznika Rygla”, s. 45-46.

18. Jak wyżej, s. 47.

19. Jak wyżej, s. 47.

20. Jak wyżej, s. 78.

21. Jak wyżej, s. 82.

„Przy murze pojawia się pan ‘Andrzej’. Przesuwa, popędzając trzcinową laseczką dwudziestu kilku żołnierzy plutonu ‘Rygla’... ktoś przynosi drabinę i dostawia do muru. Przez dach dostajemy się do małego domku, skąd z pierwszego pietra mamy wgląd na podwórze Komendy i dobre stanowiska. Część zostaje w domku a reszta z panem ‘Andrzejem’ na czele przeskakuje na dachy garaży przylegających do muru”<sup>22</sup>.

Oto dowódca w „ryglowskim” stylu. Czy takich cichych dowódców dałoby się odnaleźć również podczas innych polskich powstań?

Maciej Kledzik urodził się 14 maja 1950 roku (w samym rozkwicie stalinizmu) a więc należy do generacji dzieci AK-owców. W Londynie bardzo był zajęty pracami archiwalnymi nad przygotowaniem monografii IV Zgrupowania AK „Gurt”, znalazł jednak czas na rozmowę ze mną, gdy powiedziałam mu jak bardzo chcę zrozumieć dlaczego tak zaangażował się w badanie Powstania Warszawskiego. Bo nie słyszałam o żadnej historycznej książce napisanej przez kogoś z jego generacji.

— A może byłoby warto zbadać czy dzieci powstańców listopadowych i styczniowych interesowały się powstaniami, czy są autorami jakichś monografii?

— Piłsudski był przez całe życie zafascynowany Powstaniem Styczniowym, ale jego ukochaną książką aż do śmierci pozostała „Trylogia” Sienkiewicza. Opór społeczeństwa polskiego przeciw potopowi szwedzkiemu był także powstaniem. Moje zainteresowania są podobne. Mam przygotowaną do obrony doktorskiej historyczną pracę „Polscy oficerowie w armii belgijskiej 1830-52”. To byli oczywiście oficerowie Powstania Listopadowego i ma to pewien związek z moją fascynacją Powstaniem Warszawskim. Ale żeby zrozumieć moją motywację trzeba przede wszystkim coś wiedzieć o moich rodzicach. Oboje zresztą — taki zbieg okoliczności — urodzili się w Berlinie i dopiero w 1918 rodziny wróciły do Polski. Ojciec mamy był Inspektorem Ogrodów Królewskich w Berlinie. Ojciec taty, wcielony do armii pruskiej brał udział w Wojnie Bokserskiej w Chinach. Mój stryj, stary gdańszczanin, Witold Kledzik, zostawił pamiętniki, zdjęcia. Był działaczem Związku Polaków w Gdańsku.

— Tak, rozumiem, że to musiało mieć jakiś wpływ na pana szacunek dla dokumentów historycznych, w pana książkach jest jednak wyjątkowo silny nacisk również na historię

22. Jak wyżej, s. 85.



codziennosci, a więc nie tylko historyczne ale i socjologiczne podejście. Czy może pan studiował etnografię lub socjologię?

— Nie, nigdy. Ale moim marzeniem był od dawna reportaż historyczny czyli literatura faktu, a do tego konieczny jest szacunek dla detali codzienności. Ale w warunkach PRL-u pisanie takich reportaży było niemożliwe. Zdobyłem więc zawód, którego nigdy nie wykonywałem: w 1973 otrzymałem magisterium w Instytucie Ekonomicznym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Moja praca magisterska miała tytuł „Zagospodarowanie turystyczne wsi letniskowych Pojezierza Brodnickiego”. Zaraz po tym przenieśliśmy się na podyplomowe studia dziennikarskie do Warszawy. Te studia, jak pani już mówiłem, były dużo bliższe moich zainteresowań, ale nie mogłem jeszcze wówczas ze względów politycznych zajmować się historycznym reportażem z działalności Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego. Miałem znakomitego profesora Ryszarda Kapuścińskiego. Pracę dyplomową u Krzysztofa Kąkolewskiego napisałem po prostu o koniu góralskim a raczej o góralu, ale koń był prawdziwym bohaterem. Gdy góral kupił traktor, było to wyrokiem śmierci na konia.

Moja pierwsza krótkotrwała praca dziennikarska była w *Innowacjach*, tygodniku wydawanym przez Naczelną Organizację Techniczną w Warszawie. Pisywałem też do *Przekroju*, *Polityki*, *Tygodnika Solidarność*. Do dziś zresztą jestem członkiem Solidarności.

— Wróćmy do pana rodziców. Czy byli oni może powstańcami?

— Nie, ale oboje byli AK-owcami. Mój nieżyjący już od 1965 ojciec był ofiarą obu reżimów: hitlerowskiego i sowieckiego. Jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody. Ale matka też przeszła gehennę. Rodzice zresztą przez wiele lat ani mnie ani młodszej siostrze o tym nie opowiadali, bo dzieciom było niebezpiecznie opowiadać. Później jednak dowiedziałem się i nadal dowiaduję o ich losach, o tych przesiedleniach, głodzie, strachu, szantażach, donosach, ukrywaniu się, aresztowaniach, ucieczkach i pracy w ZWZ-AK. Jeszcze przed ślubem z ojcem, gdy matka mieszkała w Bydgoszczy (skończyła tam seminarium nauczycielskie) gdzie była nauczycielką, zaraz po wejściu Niemców prowadzono ją z kolumną bydgoskich nauczycieli na rozstrzelanie. Mama skoczyła wówczas w tłum i jakoś się uratowała, ale Niemcy jej szukali, rozpisali listy gończe. Ukrywała się w rurach kanalizacyjnych, żywność dostarczali jej rodzice. A po

tym wyjechała na wieś i pracowała w polu. Prowadziła też przez jakiś czas tajne nauczanie a później było też trochę AK-owskiego kurierowania: jeździła z meldunkami do Gdańska ale wkrótce nastąpiła wyspa i wszystko się rozpadło.

— A ojciec?

— Jego aresztowali Niemcy wkrótce po wstąpieniu do ZWZ w 1940. Kolportował tajne gazetki i kiedyś zaczął je czytać po prostu na stacji w Nałęczowie, czekając na pociąg. Dwa lata go trzymali w więzi w Lubelskiego. Torturowano go. Stracił wszystkie zęby, odbito mu nerki ale przeżył. AK go wykupiło. Był wówczas cieniem człowieka.

Dochodził do siebie w leśniczówce wśród partyzantów. Brat jego, Witold był tam oficerem wywiadu, oficjalnie prowadząc w Lublinie przedsiębiorstwo przewozowe. Po wyzdrowieniu ojciec do niego dołączył i działali w AK na terenie Lublina.

Gdy w 1944 wkroczyli Rosjanie, prawie wszystkich zaaresztowano. Ojciec był więziony na Majdanku. NKWD robiło tam selekcję. Oficerów wywożono na Sybir, innych rekrutowano do 2 Armii Świerczewskiego. Ojciec miał na szczęście doświadczenie kupieckie (pracował przez jakiś czas przed wojną w Delikatesach u stryja) więc udało mu się dostać do służby kwatermistrzowskiej w WOP-ie w Sopocie. Tam w tym WOP-ie, założono wkrótce organizację antysowietką i ojciec się do niej włączył. Był już wówczas żonaty z moją matką. Znali się jeszcze sprzed wojny. Najpierw zaczęły się donosy. Ojca aresztowano w kilka miesięcy po moim urodzeniu.

Najpierw siedział w UB w Gdańsku a potem wywieziono go do Warszawy, do więzienia Mokotowskiego, a stamtąd do obozu na Gęsiówce. Wyszedł dopiero w 1953 roku, po śmierci Stalina.

Moje pierwsze wspomnienia są właśnie z czasów więzienia Mokotowskiego, z zimy 1952, bo matka mnie tam zabierała, jeżdżąc z paczkami dla ojca.

Rodzice chcieli dla mnie i dla siostry innego, bezpieczniejszego życia. Ojciec marzył abym jak najprędzej zdobył jakiś zawód, a matka marzyła dla mnie o wyższych studiach.

Chociaż stosunkowo niewiele, nawet po roku 1956, rodzice mówili w domu o swoich wojennych i powojennych perypetiach, musiało to jednak na mnie jakoś wpłynąć. Od najwcześniejszego dzieciństwa zdawałem sobie sprawę, że żyjemy w kraju zniewolonym. Jestem raz na zawsze uczulony na mechanizmy obu okrutnych reżimów: hitlerowskiego i

komunistycznego. I to musiało na pewno jakoś wpłynąć na moją fascynację Powstaniem. Ale bodźcem do rozpoczęcia tych badań było co innego. Podczas stanu wojennego byłem z wizytą u mojej siostry w Belgii (wyszła za mąż za urodzonego już tam Polaka, którego matka wyładowała w Belgii po Powstaniu). Tam w brukselskich archiwach zbierałem wówczas materiały o polskich powstańcach listopadowych w armii belgijskiej i szwagier widząc, że znam się na archiwalnych poszukiwaniach, poprosił mnie abym zrekonstruował dla niego historię jego dziadka, który zginął w Powstaniu Warszawskim na Poczcie Głównej przy Placu Napoleona. Zgodziłem się i tak mnie to wciągnęło, że napisałem „Królewską 16”.

Te moje kontakty z powstańcami dają mi tak wiele. I nie tylko intelektualnie. Są dla mnie bardzo serdeczni, cieszą się, że zajmuję się ich losami. Gdy skończę monografię zgrupowania „Gurt”, będzie to trzecia z kolei książka dokumentująca walki powstańcze w Śródmieściu-Północ. A więc taka powstańcza trylogia. Może ją kiedyś wydám w jednym tomie. Prócz taśm i notatek z wywiadów z powstańcami, Kledzik ma stosy ich listów. Czytają jego artykuły i książki, nawiązują kontakt, przesyłają sprostowania i uzupełnienia.

Trudno wiedzieć obecnie czy i które pokolenie Polaków zaczytywać się będzie w trylogii Kledzika. Czy w telewizyjnej epoce ma ona szansę na taką poczytność jak tyle mniej ścisła trylogia Sienkiewicza? Może... bo przecież ten typ bezinteresacyjnych ale grottgerowsko wstrząsających kolaży jest czymś niezwykle odświeżającym po dziesiątkach lat dydaktycznej, fałszującej historii.

Ale książki Kledzika nie są na pewno lekturą dla tych, którzy są zmęczeni naszą trudną wolnością. Nie uspokajają, bo tak uczciwe poszukiwanie prawdy nie jest nigdy uspokajające.

Londyn, 17. III. 1994

Alicja IWANŃSKA

## Nadesłane nowości wydawnicze

- Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik biobibliograficzny.* Opr. zespół pod redakcją Jadwigi Czachowskiej i Alicji Szalagan. Tom pierwszy A-B. Str. 370 i 2 nb. Tom drugi C-F. Str. 367 i 1 nb. (Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1994).
- BARTOSZ (Adam). *Nie bój się Cygana.* Str. 206. (Wyd. Fundacja POGRANICZE, Sejny 1994).
- KRAMISH (Arnold). *Kulisy super-spiega.* Gryf. Przełożył Marian Leon Kalinowski. Str. 235 i 1 nb. (Wyd. BELLONA, Warszawska Oficyna Wydawnicza GRYF, Warszawa 1994).
- PODLEWSKI (Stanisław). *Przemarsz przez piekło.* Str. 621 i 1 nb, zdjęcia. (Wyd. ALFA, Warszawa 1994).
- Krasnogruda*, nr 2-3, zima-wiosna '94. Str. 230. (Wyd. Ośrodek „Pogranicze - sztuk, kultur, narodów”, Fundacja „Pogranicze”, Sejny 1994).
- Zbiory Centralnej Biblioteki Wojskowej.* Album. Str. 16 tekstu w języku polskim i angielskim i 80 z reprodukcjami ważniejszych pozycji. (Wydawnictwo „Czasopisma wojskowe”, Warszawa 1994).
- MICHALSKA (Anna). *Komitet Praw Człowieka — kompetencje, funkcjonowanie, orzecznictwo.* Biblioteka Komitetu Helsińskiego w Polsce. Str. 236 i 2 nb. (Wyd. Helsińska Fundacja Praw Człowieka i Wydawnictwo EXIT, Warszawa 1994).
- MADERA (Andrzej Józef). *Na bocznych drogach Europy. Polacy na Ukrainie.* Str. 114 i 6 nb. (Wyd. Stanmark — Grzegorz Bytnar, Rzeszów 1994).
- Żołnierze Komendy Głównej Armii Krajowej wspominają...* Opracowanie zespołowe pod redakcją Krystyny Wyczańskiej. Str. 421 i 4 nb. (Oficyna Wydawnicza POMOST, Warszawa 1994).
- Materiały-Dokumenty-Źródła-Archywa.* Zeszyt 10 — czerwiec 1994 zawiera opracowanie Witolda Leitgebera „Kwatera prasowa Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie”. Str. 93 i 1 nb. (Wyd. Instytut Polski i Muzeum im. Gen. Sikorskiego, Londyn 1994).
- KULKA (Jan). *Traktat o szarej godzinie.* Str. 80 i 4 nb. (KON-TAKTY, Łomża 1994).
- BIZUŃ (Stanisław, Ks.). *Historia Krzyżem znaczone.* Wspomnienia z życia Kościoła katolickiego na Ziemi Lwowskiej (1939-1945). Wyd. II poprawione i poszerzone. Str. 390. i 2 nb. (Wyd. Oddział Lubelski Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Lublin 1994).
- SARIUSZ-SKAPSKA (Izabella). *Polscy świadkowie Gulagu.* (Literatura łagrowa 1939-1989). Rozprawa doktorska w Instytucie Filologii Polskiej UJ. Str. 274. (Kraków 1993).
- ŁUKOSZ (Jerzy). *Był bytujący.* Esej o prozie. Str. 122. (Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1994).
- Dziennik bojowy oddziału dyspozycyjnego „A” Kedywu Okręgu Warszawa Armii Krajowej.* Warszawa 1-30 sierpnia 1944. Wprowadzenie, rekonstrukcja dokumentów i opracowanie Hanna Rybicka. Str. 144. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1994).
- Pamiętniki emigrantów. Drogi na emigrację.* Fragmenty pamiętników emigrantów nadesłanych na konkurs IGS SGH. Str. 218. (Wyd. Instytut Gospodarstwa Społecznego SGH, Warszawa 1993).
- Fundacja im. Stefana Batorego — Sprawozdanie 1993.* Str. 194.

- JAKUBOWSKI (Wincenty). *Wspomnij na Polskę*. Wiersze. Str. 72. (Wyd. Oficyna Wydawnicza „KAS-TA”, Nysa 1994).
- PUSZKAR (Oleh). *Obozowy tryptyk. Wspomnienia*. Str. 272. (Wyd. Archiwum Ukrainkie, Warszawa 1994).
- GŁOWACKI (Janusz). *Antygonia w Nowym Jorku*. Sztuka sceniczna. Ilustracje Andrzej Dudziński, wstęp Jan Kott. Str. 117. (Wyd. Bicentennial Publ. Co.Ins. – Edycja bibliofiliska 500 egz. sygnowanych i numerowanych – Nowy Jork 1994).
- GŁĘBICKA (Ewa). *Grupy Literackie w Polsce 1945–1980*. Leksykon. Str. 682 i 2 nlb. (Wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa 1993).
- Encyklopedia szkolna. Historia*. Str. 876 i 4 nlb. (Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1993).
- Encyklopedia katolicka*. Tom VI — Graal-Ignorancja. Str. 1455. (Wyd. Tow. Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1993).
- Encyklopedia katolicka. Wykaz skrótów*. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1993).
- Słownik biograficzny pracowników społecznych*. Tom I. Praca zbiorowa. Str. 224. (Wyd. Towarzystwo Wolnej Wszechnicy Polskiej, Archiwum Pracownika Społecznego, Warszawa 1993).
- Teatr i dramat polskiej emigracji 1939–1989*. Praca zbiorowa pod redakcją Izoldy Kiec, Dobrochny Ratajczakowej, Jacka Wachowskiego. Str. 292. (Wydawnictwo ACARUS, Poznań 1994).
- BOJARSKI (Jerzy Jacek), GZELLA (Alojzy Leszek). *Katalog prasy i wydawnictw katolickich*. Nr 0. Str. 192. (Wydawnictwo Kerygma, Lublin 1994).
- Przemysł w oczach pisarzy*. Antologia XX wieku. Redakcja Stanisław Józef Wiater i Przemysław Wiater. Str. 356, 4 nlb. i plan Przemysła. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1994).
- GORBANIEWSKAJA (Natalia). *Cwiet wierirska*. Wiersze. Str. 114. (Wyd. Ermitaż, Tenafly, NY – USA 1993).
- Jakiw Struchmanczyk (1884–1987)*. Bibliograficzny pokazczyk. Str. 56. (Wyd. Towarzystwo „Obieregi”, Kijów 1993).
- FOSTYN (Swiatomir M.). *Stieży-nami żitja*. Etiudy. Str. 80. (Wydano nakładem Autora. Londyn 1993).
- Wojaki – Wojakam*. Kniga III. Str. 72. (Wyd. Association of Ukrainian Former Combatants in Great Britain, Londyn 1992).
- MAGALA (Sławomir). *Aid in Trade*. Management Report Series no. 177. (Wyd. Erasmus Universiteit, Rotterdam 1994).
- MŁOSZ (Czesław). *Kort over tiden*. Przekład wierszy na język duński — Janina Katz. Str. 58 i 2 nlb. (Wyd. Husets Forlag/S.O.L. Kopenhaga 1994).
- DA SILVA (Agostinho). *Vida conversável*. Redakcja i przedmowa Henryk Siewierski. Str. 156. (Wyd. Universidade de Brasilia, Brasilia 1994).
- NORWID (Cyprian). *O Piano de Chopin*. Tłumaczenie na język portugalski: Henryk Siewierski i Marcelo Paiva de Souza. Str. 24. (Wyd. Universidade de Brasilia, Brasilia 1994).
- RYMKIEWICZ (Jarosław Marek). *The Final Station: Umschlagplatz*. Z polskiego tłumaczyła Nina Taylor. Str. 328. i 2 nlb. (Wyd. Farrar, Straus & Giroux, Nowy Jork 1994).
- DEMINET (Czesław). *War Stories from Poland*. Str. 101 i 1 nlb. (Wyd. TECHEDITIONS, C. Aves, Albuquerque, NM).

## Notatki Redaktora

Rosnąca destabilizacja w Polsce: 14 października Sejm uchwalił przyniatającą większością głosów apel do prezydenta oskarżając go, że jego działalność zagraża demokracji i narusza praworządność. Jednocześnie odbyło się, z inicjatywy Unii Wolności, spotkanie z prezydentem w sali kolumnowej Sejmu. Zebranie było bardzo burzliwe. Oskarżano Wałęsę, że wciąga wojsko w rozgrywki polityczne, ogranicza niezależność mediów i nie szanuje prawa. Prezydent na te ataki odpowiedział bardzo brutalnie, że nie wycofuje się z żadnych decyzji. Jaki był cel tej dramatycznej rozgrywki skoro już następnego dnia w sposób żalorny wycofano się z tak — zdawałoby się — zdecydowanej akcji?

Uchwalona przez Sejm ustawa o tajemnicy państwowej została niespodziewanie storpedowana przez Senat. Niestety nie było to spowodowane tym, że partia pana Kwaśniewskiego została przekonana o niesłuszności tej ustawy — chodziło jedynie o pokrzyżowanie planów prezydenta, który zamierzał tę ustawę „zawetować”, licząc, że to wzmocni jego popularność.

Wojsko zostało wciągnięte do rozgrywek politycznych. Z inicjatywy prezydenta odbyło się zebranie generałów, którzy wyrazili votum nieufności dla ministra Obrony Narodowej i sprzeciwili się, żeby osoba cywilna była ministrem Obrony Narodowej uważając, że czynnikiem decydującym winien być szef sztabu podporządkowany bezpośrednio prezydentowi. Prezydent zażądał od min. Kołodziejczyka poda-

nia się do dymisji, ale ten odmówił. W tej chwili komisja sejmowa prowadzi dochodzenia w tej sprawie. Dużą rolę w tym „buncie generałów” odegrał biskup połowy Głódź, niedawno mianowany generałem dywizji. Zaatakował on wiceministra MON-u p. Danutę Waniek i oświadczył, że nie zamierza podporządkować się jej ostatnim zarządzeniom w dziedzinie wychowawczej wojska.

Premier Pawlak, który od pół roku uniemożliwia obsadzenie stanowiska szefa policji, zdecydował nagle, że utrzymuje nadal na tym stanowisku p. Smolarka, który był oskarżony o nadużycia, uważając że te oskarżenia nie zostały udowodnione. Min. Sprawiedliwości Cimoszewicz jest innego zdania i uważa, że decyzja premiera jest zbyt pośpieszna.

Premier udał się, na zaproszenie Kongresu Polonii Amerykańskiej, do Stanów Zjednoczonych. Podróż ma charakter ściśle prywatny, ale jest ona współfinansowana przez dwie amerykańskie firmy, które są zainteresowane w prowadzeniu interesów w Polsce. Podobno już poprzednio podróż do Stanów odbył szef Urzędu Rady Ministrów Michał Strąk na zaproszenie jednej z prywatnych firm amerykańskich. Podróż jego skończyła się zresztą kompromitacją, gdyż o jego wizycie nie była poinformowana ambasada RP w Waszyngtonie i mimo usilnych zabiegów p. Strąk nie był przyjęty przez amerykańskich działaczy politycznych.

A *propos* kapelanów, to ostatnio ustalono w kolejach państwowych etaty dla 60 kapelanów. To jest znowu duże obciążenie budżetu państwa, ale niewątpliwie duża pomoc materialna dla Kościoła. A co będą robili ci kapelani?

W związku z nowym konfliktem z Irakiem, gdzie Stany Zjednoczone w sposób spektakularny stanęły w obronie zagrożonego Kuwejtu, chcielibyśmy wiedzieć jak wygląda sprawa odszkodowań za poniesione przez nas straty, spowodowane poprzednią kampanią w Iraku. A przecież to są ogromne pieniądze.

Rozpoczęły się obecnie prace nad Konstytucją. Sprawa ta jest jak dotąd nie dostrzegana, a mianowicie jak włączyć

do pracy w Polsce emigrację. Jedynym rozwiązaniem byłoby utrzymanie tak jak w konstytucji marcowej instytucji wiryliściów w Senacie. Ponieważ przeprowadzenie wyborów na emigracji byłoby praktycznie niemożliwe, w rachubę wchodziłoby mianowanie przez prezydenta kilku wybitniejszych działaczy emigracyjnych z większych skupisk polskich na świecie.

Inauguracja w Opolu — W strukturze nowo powstałego Uniwersytetu Opolskiego mieści się też Wydział Teologiczny (UO powstał z Wyższej Szkoły Pedagogicznej i filii KUL-u). Na inauguracji przemawiał biskup Alfons Nossol. „Jestem synem tej ziemi, i chcę, by teraz w domach rdzennie śląskich częściej wołano: 'Jo chcę studiować doma', a także: 'Ich möchte zu Hause studieren'. Tylko ten uniwersytet jest w stanie temu sprostać”. O powstaniu Uniwersytetu w Opolu w polskich *mass mediach* — z wyjątkiem *Donosów* — ani słowa.

Ze Śląskiem jest bardzo niedobrze i obawiam się, że ten problem przegrywamy. Proszę zwrócić uwagę na artykuł Ryszarda Surmacza w bieżącym numerze *Kultury*. Jego bardzo wyczerpująca książka na ten temat nie może znaleźć wydawcy. Jeszcze jaskrawsza jest rozmowa Krzysztofa Różyckiego z Gustavem Kayka, zamieszczona 12 bm w nowojorskim *Nowym Dzienniku*. Gustav Kayka jest wnukiem Michała Kajki, wybitnego mazurskiego poety, który prowadził walkę z germanizacyjną akcją władz niemieckich i odegrał wielką rolę w budzeniu świadomości narodowej ludności mazurskiej i krzewieniu języka polskiego. Jego wnuk Gustav Kayka był przez władze polskie szykanowany. Od 1956 roku starał się o emigrację do Niemiec i dopiero w 1966 roku mógł wyjechać. Obecnie mieszka w Nadrenii-Westfalii, gdzie ulokowało się wiele osób z dawnego powiatu elckiego. Utrzymują oni ze sobą bardzo bliski kontakt urządzając od czasu do czasu zjazdy. Kayka pisze: „Oni bardziej nienawidzą Polaków niż Niemców. Za bardzo się do Polski rozczarowali”. On sam stwierdza, że gdyby nie szykany nigdy by z Polski nie wyjechał.

14-go października odleciała na Haiti 50-osobowa jednostka komandosów. Jej zadaniem ma być udział w przeszko-

leniu miejscowej policji. Jak podaje *European* z 14-go października, koszty wyprawy wynoszące 5 mln dolarów zapłacone są przez polskie ministerstwo obrony narodowej. O bezsensowności tej decyzji pisaliśmy już poprzednio. Prezydent Wałęsa ma nadzieję, że to przyspieszy przyjęcie Polski do NATO. Jeśli tak, to czy myślał, jakie wrażenie zrobiło mianowanie p. Zacharskiego szefem wywiadu, czy też organizowanie „buntu generałów”. Trzeba dodać, że w skład polskiej jednostki wysłanej do Haiti wchodzi kapelan.

●  
Głupota czy nadużycie. Puszcza Białowieska jest systematycznie niszczone. Na 90% jej powierzchni są wycinane drzewa, w tym 150- czy 300-letnie dęby. Rocznie wycina się 130 tysięcy m<sup>3</sup> drewna. Te zniszczenia są nieodwracalne. Jedynym rozwiązaniem jest jak najszybsze rozszerzenie na całą puszcę parku narodowego, który w tej chwili obejmuje 47 km<sup>2</sup> jej powierzchni. Należy wziąć przykład z Białorusi, która swój odcinek puszczy już dawno ogłosiła parkiem narodowym.

REDAKTOR

---



---

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

---



---

## Polemiki

### Uwagi do artykułu Stanisława Polaczka

W numerze 7/8 *Kultury* z br. ukazał się artykuł Stanisława Polaczka pt. „Komentarze do czarno-białej historii”. Autor artykułu zajmuje się w nim m.in. sprawą dostaw polskiego węgla do ZSSR w okresie powojennym. Czyni to w oparciu o pracę Henryka Różańskiego „Śladem wspomnień i dokumentów”, wydaną w Warszawie przez PWN w 1988 r. Pan Polaczek stwierdza, że w dwóch niewielkich, a ciekawych fragmentach autor pracy pisze o interesującym nas problemie węgla.

Henryk Różański był członkiem polskiej delegacji rządowej, która w sierpniu 1945 r. prowadziła w Moskwie rozmowy z rządem ZSSR, dotyczące również dostaw polskiego węgla. Sam w pierwszej części rozmów nie uczestniczył, znał jednak ich przebieg z relacji wicepremiera H. Minca. Relacjonując całość rozmów przytacza wiele ciekawych danych oraz opisuje dyskusje wokół tej sprawy i pisze o niezwyklej propozycji Stalina, której strona polska nie przyjęła. Nie mówi jednak wszystkiego o przetargach i argumentach strony sowieckiej, które doprowadziły do tak niekorzystnego dla Polski końcowego wyniku rozmów, zawartego w między państwowym układzie z 16.8.45 r. Należy sądzić, że postąpił tak świadomie. Jako członek polskiej delegacji rządowej na pewno znał dokładnie cały przebieg rokowań, o czym zresztą sam pisze i jeśli pewne ich — bardzo ważne — fragmenty nie zostały przez niego ujawnione, to chyba dlatego, że praca jego ukazała się w roku 1988. Działała jeszcze wtedy cenzura, która by te fragmenty zakwestionowała. Ale chyba i dlatego, że — jak pisze Stanisław Polaczek — obie strony — tj. zarówno sowiecka jak i polska — nie były zainteresowane w nagłośnieniu tej sprawy i zasada nienagłośnienia widocznie nie straciła jeszcze wtedy mocy obowiązującej.

Należy sądzić, że tekst umowy — zgodnie z tradycją sowiecką — został po jej podpisaniu opublikowany w jakiejś formie w moskiewskiej *Prawdzie* i że jakieś jej omówienie znalazło się na łamach prasy polskiej. Trudno to dzisiaj ustalić, ale w latach późniejszych w krajowych publikacjach do tej umowy nie powracano. Mimo to dla nikogo nie stanowił tajemnicy fakt, że Polska dostarcza swojemu sojusznikowi duże ilości węgla, za który ten nie płaci, a więc za darmo; choć nie brak było i rozsądnie myślących ludzi-niedowiarków, którzy pogłoski te uważali za zwykły chwyt antysowieckiej propagandy.

A jaka jest prawda o dostawach, skoro praca H. Różańskiego pozostawia niedosyt i nie przedstawia jej całokształtu?

W 1950 r. moskiewskie wydawnictwo GOSPOLITIZDAT wydało dwutomowy Słownik Dyplomatyczny. W tomie 2, w rozdziale poświęconym umowom sowiecko-polskim, podane jest omówienie układu z dn. 16.8.1945 r., w którym strona polska zobowiązała się dostarczać ZSSR węgiel. W przekładzie na język polski omówienie brzmi następująco:

„Na podstawie układu polsko-sowieckiego (z dn. 16.8.45. — uwaga moja) o pokryciu szkód spowodowanych przez niemiecką okupację rząd sowiecki — zgodnie ze swoim oświadczeniem złożonym na Konferencji Poczdamskiej — zrzekł się wszelkich roszczeń do niemieckiego majątku oraz innych aktywów, jak również do akcji niemieckich przedsiębiorstw przemysłowych i transportowych *na terenie całej Polski* (podkreślenie moje), włącznie z tą częścią terytorium Niemiec, która zostaje włączona do Polski. Poza tym rząd sowiecki odstępuje Polsce część swoich odszkodowań. Ze swej strony rząd Polski zobowiązał się — począwszy od 1946 roku — dostarczać ZSSR węgiel przez cały okres trwania okupacji Niemiec\*\*.

Jak z powyższego wynika powody do obustronnej zмовy milczenia na temat tego układu były aż nadto wymowne. Można sobie wyobrazić jaka byłaby reakcja społeczeństwa polskiego, gdyby podano do publicznej wiadomości treść tej haniebnej umowy. Ujawniłaby ona na samym początku narodzin „przyjaźni wielkiego sąsiada” grabieżczy charakter imperialistycznej polityki ZSSR wobec Polski, ukrywanej pod szyldem bratniej, bezinteresownej pomocy. Rosjanie musieli dodatkowo brać pod uwagę, że ujawnienie prawdy o układzie wywołałoby wrogie reakcje na Zachodzie, z opinią którego wtedy jeszcze się musieli liczyć. Bo w przetargach poprzedzających podpisanie umowy mowa była nie tylko — jak pisze H. Różański — o sowieckich roszczeniach do niemieckiej własności na terenach

\* *Diplomaticzeskij Słowar*, tom 2, szpalta 720. Gosudarstwennoje Izdatelstwo Politiczeskoj Literatury. Moskwa 1950.

niemieckich przyłączonych do Polski, lecz o roszczeniach do wszelkiej własności niemieckiej również na terenie państwa polskiego w granicach z 1939 r. Przekładając to na język bardziej zrozumiały oznaczało to ni mniej ni więcej, że Stalin wyciągnął rękę do każdej fabryki czy kopalni na terenie Polski, jeśli ich właścicielami byli obywatele polscy narodowości niemieckiej.

Nie ulega wątpliwości, że „omówienie” ze Słownika oddaje wiernie linię polityczną ZSSR wobec swojego nowego sojusznika-Polski, która z pewnymi modyfikacjami przetrwała do chwili upadku systemu komunistycznego w Europie Wschodniej. Słownik został wydany przez najważniejsze sowieckie wydawnictwo zajmujące się publikacją poważnej literatury politycznej w ZSSR. Komitet redakcyjny Słownika składał się z najwybitniejszych autorytetów naukowych. Głównym redaktorem Słownika był znany oskarżyciel z procesów moskiewskich w latach trzydziestych, późniejszy wiceminister, a następnie minister spraw zagranicznych ZSSR i w latach pięćdziesiątych stały przedstawiciel ZSSR w ONZ, członek Akademii Nauk ZSSR, A. Wyszyński. W skład Komitetu Redakcyjnego wchodziło 11 profesorów, połowa których była członkami rzeczywistymi albo członkami-korespondentami Akademii Nauk ZSSR. Należy sądzić, że „omówienie” znalazło się w Słowniku przez zwykłe ludzkie przeoczenie. W późniejszych jego wydaniach o tej umowie jest tylko zwykła, krótka wzmianka. Stało się tak zapewne po tym, jak właściwe władze w Moskwie dały komuś po nosie za tak poważne przeoczenie i przywrócono w ten sposób czujność rewolucyjną w Komitecie Redakcyjnym Słownika.

Na zakończenie jeszcze kilka słów na ten sam temat, ale w innym kontekście. Podczas Konferencji Poczdamskiej W. Churchill, zwrócił się do Stalina o przekazanie pewnych ilości węgla z polskich kopalń na terenach odzyskanych angielskim władzom w zarządzanej przez nie strefie okupacyjnej Niemiec. Na terenie angielskiej strefy okupacyjnej Niemiec było dużo kopalń węgla, ale ze sporej ich części nie można było węgla wydobywać ze względu na zniszczenia spowodowane działaniami wojennymi; terenom tym groził więc poważny kryzys paliwowy. Stalin tę propozycję odrzucił stwierdzając: węgiel jest nasz i nikomu go nie damy\*\* (cytuje z pamięci). Dalsze komentarze na ten temat są chyba zbędne.

Józef LIPSKI

\*\* Dokładny opis dialogu Stalin-Churchill w sprawie węgla można znaleźć w protokole z Konferencji Poczdamskiej.

## POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

09. 94

Zmarł w Morągu w wieku 65 lat Zbigniew Nienacki, pisarz, autor popularnej powieści „Raz w roku w Skiroławkach” oraz cyklu powieści dla młodzieży.

22. 09. 94

Minister Andrzej Olechowski wręczył nagrody przyznawane corocznie przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych za wybitne zasługi dla kultury polskiej w świecie. W tym roku laureatami zostali: Elżbieta Bortkiewicz z Hiszpanii (tłumaczka literatury polskiej), Roman Cieślewicz z Francji (artysta grafik współpracujący z francuskimi wydawnictwami), Lucyna Mięka z USA (dziennikarka, założycielka i kierowniczką zespołu śpiewaczego „Lira Singers”), Tomasz Niewodniczański z Niemiec (kolekcjoner dokumentów i pamiątek związanych z Polską), Kazimierz F. i Halszka Vincenzowie ze Szwajcarii (twórcy Kiermaszu Książki Polskiej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów), Kazimierz i Zofia Romanowiczowie z Francji (od 1946 do 1993 r. prowadzący w Paryżu księgarnię i wydawnictwo „Libella” oraz „Galerię Lambert”), Bożena Żaboklicka z Hiszpanii (tłumaczka literatury polskiej), Chór „Polskie Sokoly” z Żytomierza, Scena Polska w Czeskim Cieszynie (przez 43 lata wystawiła blisko 120 polskich utworów klasycznych i współczesnych) oraz Teatr Towarzystwa Wierszalin (na festiwalach w Szwajcarii, Tokio, Berlinie i Budapeszcie wystawiał z powodzeniem spektakl „Turlajgroszek”).

29. 09. 94

Centrum Badań Wschodnich Uniwersytetu Warszawskiego zorganizowało konferencję naukową na temat „Stosunki polsko-rosyjskie w okresie transformacji systemowej”.

4. 10. 94

Na Powązkach złożono urnę z prochami Jerzego Stempowskiego do grobu rodzinnego. Urnę przewiózł z Berna p. Jan Zieliński, a cała uroczystość była zorganizowana przez p. Irenę Pucilo z Ministerstwa Kultury i Sztuki i p. Jerzego Timoszewicza. Obecnie są starania by do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego przenieść archiwum Jerzego Stempowskiego znajdujące się w berneńskiej bibliotece i jednocześnie skupić różne rozproszone jego archiwa.

7. 10. 94

Urząd Rady Ministrów przygotował projekt przekształcenia Polskiej Agencji Prasowej (PAP), która ma być całkowicie uzależniona od rządu. Jeśli to zestawienie z uchwałą o tajemnicy państwowej oraz zamiarami odkupienia od koncernu Hersant jego udziałów w dzienniku *Rzeczpospolita*, to mamy wyraźny obraz próby całkowitej kontroli społeczeństwa.

14. 10. 94

Sejm litewski ratyfikował traktat polsko-litewski podpisany 26 kwietnia br. w Wilnie przez prezydentów Polski i Litwy, 91 głosami za, przy 19 — przeciw i 8 wstrzymujących się. W polskim sejmie ustawa ratyfikacyjna przeszła jednogłośnie. Na Litwie traktat wchodzi w życie, gdyż to się znajduje wyłącznie w gestii parlamentu. W Polsce nastąpi to z chwilą podpisania ratyfikacji przez prezydenta RP. Należy mieć nadzieję, że prezydent Wałęsa nie będzie z tym zwlekał. ■ Po czterech latach urzędowania Maciej Kozłowski, który był zastępcą ambasadora RP w Waszyngtonie, powrócił do ministerstwa, gdzie objął stanowisko kierownika departamentu d/s Ameryki Północnej i Południowej. Jego następcą został dotychczasowy wicekonsul w Chicago, prof. Andrzej Jaroszyński. Do ambasady RP przybyli też: jako radca Jakub Wolski, jako *attaché* prasowy — Jarosław Kurek, jako pierwszy sekretarz — Mariusz Handzlik.

16. 10. 94

W Starej Wsi koło Węgrowa odbył się zjazd rodziny Dzierżykraj-Morawskich, gdzie obecnie mieści się ośrodek wypoczynkowy Narodowego Banku Polskiego. W zjeździe wzięło udział 150 osób reprezentujących cztery linie rodziny i trzy pokolenia. Zjazd postanowił opracować rodzinne materiały pamiątkowe, biograficzne i bibliograficzne. Zapowiedziano powołanie do życia Związku Rodziny Dzierżykraj-Morawskich. Następnym zjazdem ma się odbyć za trzy lata.

15. 11. 94

Instytut Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie organizuje międzynarodową konferencję na temat „Samoidentyfikacja narodowa i religijna a sprawa mniejszości narodowych i religijnych w Europie Środkowo-Wschodniej”. Obrady konferencji będą toczyły się w sześciu sekcjach problemowych: Atlasowo-Statystycznej, Historycznej, Prawniczej, Politologicznej, Psychosocjologicznej, Dialogu Filozoficzno-Teologicznego.

## ZACHÓD

1. 07. 94

W Berlinie powstała polsko-niemiecka grupa literacka „Wir” (czyli po polsku „My”). Utworzyło ją sześcioro pisarzy i tłumaczy, a mianowicie: Maria Aniśkiewicz — poetka, Henryk Berezka — poeta i tłumacz literatury polskiej, Iwona Mickiewicz — tłumaczka literatury niemieckiej, Wanja Ronge — socjolog i zarazem tłumacz polskiej poezji, Ewa Maria Ślaska — pisarka.

26. 08. 94

Zmarła w Szwecji w wieku 87 lat Kazimiera Lenkiewicz. W czasie wojny pracowała w Radzie Głównej Opiekuńczej, której prezesem był arcybiskup metropolita krakowski, Adam Sapieha. W 1984 r. stworzyła Fundusz im. Alfreda Lenkiewicza przy Polskim Towarzystwie Naukowym

na Obczyźnie, przeznaczając na ten cel 10.000 funtów szterlingów. PTNO z odsetek ma wypłacać nagrody za twórczość w obronie prawdy historycznej.

14.09.94

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbyło się kolokwium na temat „Mieczysław Golberg (1869-1907), anarchista i pisarz. Od Płocka do Paryża”. Kolokwium zostało zorganizowane z inicjatywy pp. Elżbiety Grabskiej i Catherine Coquio przy współpracy z Centre d'Etudes Juives de l'Université Paris-Sorbonne z okazji ukazania się zbiorowej książki pt. „Mécislas Golberg, une anthropologie politique et poétique au début du siècle”.

17.09.94

Gustaw Holoubek został nagrodzony Prix Italia za rolę w telewizyjnym przedstawieniu „Księżę Homburg” Heinricha von Kleista.

24.09.94

Zakończyła się konferencja demograficzna ONZ w Kairze. Ustaliła ona „Plan Działań”: *Rodzina* — rodzina jest podstawową jednostką społeczną, ale w różnych krajach istnieją różne jej formy; *Obowiązek poddania się dokumentowi* — zawarte w dokumencie zalecenia nie są obligatoryjne — są poddane lokalnym prawom, obyczajom i wierzeniom religijnym; *Zdrowie reprodukcyjne* — państwa powinny zapewnić swoim obywatelom jak najszerszy dostęp do podstawowej opieki zdrowotnej, zdrowia reprodukcyjnego, metod i usług planowania rodziny; *Prawa reprodukcyjne* — ludzie mają prawa reprodukcyjne, do których należy swobodne decydowanie o czasie przyjścia na świat dzieci i ich liczbie; *Przerywanie ciąży* — rządy powinny pomagać kobietom unikać aborcji, która nie może być promowana jako metoda planowania rodziny, we wszystkich przypadkach winny zapewnić humanitarne traktowanie i porady dla tych kobiet, które uciekły się do aborcji. Rządy winny też podchodzić do problemu niebezpiecznych aborcji jako do jednego z głównych problemów zdrowia społecznego. W państwach, w których przerywanie ciąży nie jest sprzeczne z prawem, zabiegi aborcji powinny być bezpieczne. Aborcji należy unikać poprzez szerokie promowanie metod i usług planowania rodziny; *Nastolatki* — powinny mieć dostęp do poufnych porad dotyczących spraw związanych z seksem; *Imigranci* — łączenie rodzin jest ważnym problemem, którym powinny zająć się państwa rozwinięte; *Koszty* — dwie trzecie nakładów na wprowadzenie w życie „Planu Działań” ponoszą kraje rozwijające się, jedna trzecia pochodzić będzie z krajów rozwiniętych; *Efekty* — jeżeli „Plan Działań” zostanie wcielony w życie, za 20 lat liczba ludności Ziemi powinna wynosić około 7,5 miliarda (obecnie jest nas 5,7 mld).

25.09.94

Zmarła w Londynie w wieku 71 lat Teresa Helena z Lechickich Affeltowicz, żołnierz AK, wieloletnia działaczka polityczna i społeczna na emigracji.

1.10.94

W Pradze ukazała się, nakładem wydawnictwa *Stredni Evropa*, książka Gustawa Herlinga-Grudzińskiego *Inny Świat* w czeskim przekładzie

Heleny Stachovej. Na początku przyszłego roku ukaże się także *Dziennik pisany nocą* w przekładzie tejże tłumaczki.

2.10.94

28-30 września 1994 miała miejsce w Nancy międzynarodowa sesja na temat „Europa Środkowa we Francji. Konfrontacja paradygmatów kulturowych”. Dotyczyła kontaktów między kulturami Europy środkowo-wschodniej i Francji, jak ich wzajemnego obrazu. Wzięli w niej udział naukowcy z siedmiu krajów, m.in. prof. prof. Grzegorzyczkowa, Puzyńska, Bartmiński i Kalebka z Polski, G. Cwengrosz i R. Świerszczuk z Ukrainy, R. Marti z Niemiec, Bernard Michel i Antoine Mares z Paryża, Jean-Marie Delmaire z Lille, o. Bonnet, jak i organizatorzy, D. Bartol-Jarosińska i M. Masłowski z Nancy... Jest czwartą z kolei, zorganizowaną przez Instytut Polski i Grupę Badań nad Europą Środkową Uniwersytetu w Nancy.

10.10.94.

W Galerii Instytutu Polskiego w Düsseldorfie została otwarta wystawa obrazów Jana Cybisa, Józefa Czapskiego i Artura Nachta-Samborskiego.

14.10.94

W Polskim Instytucie Naukowym w Ameryce odbył się odczyt dr Roberta Szymczaka z Pennsylvania State University pt. „Polish Americans, President Roosevelt and the Warsaw Uprising of 1944”.

## KRONIKA KANADYJSKA

Prezydent Wałęsa przybył do Kanady 10-go września br. na zaproszenie Kongresu Polonii Kanadyjskiej oraz rządu federalnego. Towarzyszyła mu 50-osobowa delegacja w skład której wchodził minister A. Olechowski, minister A. Żelichowski i A. Zakrzewski, szef Biura Obsługi Politycznej oraz przedstawiciele firm i instytucji gospodarczych. Prezydent spotykał się z przedstawicielami Polonii kanadyjskiej oraz przeprowadził rozmowy z premierem w sprawie zacieśnienia stosunków gospodarczych między Polską i Kanadą. Rozmawiał również z gubernatorem generalnym i przewodniczącymi obu izb. Minister Olechowski podpisał umowę międzynarodową o wzajemnej pomocy prawnej w sprawach prawnych, a minister ochrony środowiska, Żelichowski, zawarł porozumienie w sprawie konwersji zadłużenia Polski na ochronę środowiska. Rokowania w tej sprawie będą kontynuowane w Warszawie w listopadzie br. Niestety wizyta prezydenta Wałęsy była zaledwie odnotowana w kanadyjskich środkach masowego przekazu, gdyż były one pochłonięte wyborami w Quebecu. ■ Separatystyczna Partia Quebecu zdobyła w ostatnich wyborach 77 mandatów na ogólną liczbę 125, a liberatowie 47 mandatów. Sukces separatystów był niepełny. Przywódca partii separatystycznej Pariseau zapowiadał referendum 10 miesięcy po wyborach, ale obecnie nie potwierdza tego terminu. ■ Fundacja im. Władysława Reymonta rozdzieliła 15 dorocznych stypendiów w wysokości od 200 do 1000 dolarów studentom polskim, obywatelom kanadyjskim lub mającym prawo stałego pobytu.



Vitry-sur-Seine, 23.IX.1994

Szanowny Panie Redaktorze,

We wrześniowej *Kulturze* (nr 564/1994) p. Herling-Grudziński w „Drugiej podróży do Polski...” cytuje p. Adolfa Juzwenkę, dyrektora wrocławskiego Ossolineum: „Dlaczego — pyta dyrektor Juzwenko — Lwów nie chce nam oddać kompletów międzywojennych gazet i czasopism polskich?” Otóż być może dlatego, że we Lwowie znają i kierują się zasadą terytorializmu, która stanowi część prawa międzynarodowego i według której zbiory biblieczne są *glebae adscripti*: jeśli przesuwa się granice państwowe — fenomen nieprzyjemny, ale banalny — zbiory te stają się własnością nowo przybyłego na dany teren państwa. Nie od rzeczy będzie tu dodać, że Wrocław posiada przedwojenne zbiory niemieckie i, o ile mi wiadomo, nie ma zamiaru się z nimi rozstawiać, nie słyszałem też, by Niemcy się o nie dopominali. Może im również nieobca jest zasada terytorializmu.

Nie musimy uważać tej zasady za szczyt myśli prawniczej, a pragnienie p. Juzwenki skupienia we Wrocławiu zbiorów Ossolineum jest zupełnie zrozumiałe, wszelako w świecie naznaczonym ruchliwością granic państwowych być może właśnie księgozbiorem przystoi dawać przykład stabilności. Oczywiście pod warunkiem, że niezależnie od granic mają właściwą opiekę.

Łączę wyrazy poważania

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętać, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawatu pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.*

E.B., Polska — Wybraliśmy do druku *Znaki czułości*.J.K.-M., USA — *Przekład* jest ładnym wierszem, wydrukujemy.J.R., Polska — Wybraliśmy do druku *Pochód*.

T.L.M., Szwajcaria — Wiersze Pana katowickiego znajomego są dość miłe, ale do druku się nie nadają. Nie zwracamy rękopisów nie zamówionych, nawet po otrzymaniu znaczków pocztowych.

A.L., USA — Poezja amerykańska w doskonałych przekładach Barańczaka zalewa polskie pisma, możemy więc podarować sobie Sandburga.

J.K., Polska; W.J.M., Polska, B.K., Szwecja — Z wierszy nie skorzystamy.

S.D., Polska — Recenzję zamieścimy.

L.B., Polska — Pierwsze opowiadanie było już drukowane (jak Pan sam pisze), drugie jest słabe.

G.M., Polska — Ma Pani skromny talent (widać to w *Krótkim życiorysie*), ale oba opowiadania są jeszcze niedojrzałe.Mariola Bochenek, Niemcy — Pani artykułik *Wprost* przestaliśmy Smeczowi.Listy do Redakcji

Ingelheim, 28.09.1994

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W „Notatkach Redaktora” w numerze wrześniowym *Kultury* (9/564) opisuje Pan sprawę nominacji p. Mariana Zacharskiego na szefa polskiego wywiadu.

Pozwolę sobie do Pana uwag dorzucić kilka informacji.

Strona rządowa opisywała p. Zacharskiego jako znakomitego oficera polskiego wywiadu, fachowca, prawie że polskiego Jamesa Bonda.

John Barron w książce pod tytułem „KGB Today — The Hidden Hand” wydanej po angielsku w 1983 roku nie ma najmniejszych wątpliwości, że Zacharski był agentem KGB (lub człowiekiem działającym na usługach lub zleceniu KGB). Załączam fragmenty dotyczące p. Zacharskiego z wydania niemieckiego tej książki, bowiem tylko to tłumaczenie jest mi dostępne (wyd. niemieckie 1984). Barron pisze, że władze sowieckie wielokrotnie próbowały wymienić Zacharskiego na zachodnich szpiegów; chyba nie z pobudek dobroczynnych.

Po powrocie do Polski Zacharski otrzymał z rąk specjalnej delegacji KGB w ambasadzie sowieckiej w Warszawie jakieś wysokie odznaczenie sowieckie za specjalne zasługi.

Wedle moich informacji mianowanie na szefa Pewexu nie miało miejsca, jak Pan pisze, zaraz po powrocie Zacharskiego do Polski. Nastąpiło ono już za czasów działalności rządów solidarnościowych. O tym fakcie dyskutowali na falach RWE pp. Ptacek i Rozwadowski. Dokładnej daty niestety nie pamiętam. W argumentacji obecnych władz polskich brak jest logiki. Jaki sens miałyby dla ówczesnych polskich władz komunistycznych wystanie polskiego agenta do Kalifornii dla wyszpiewowania amerykańskich systemów raketowych; może po to, żeby przygotować zbombardowanie Silicon Valley przez bombowce polskie? Może trzeba by przetłumaczyć książkę Barrona na polski, tak aby obecni decydenci dowiedzieli się, kogo mianowali na jedno z najbardziej odpowiedzialnych stanowisk w polskim wywiadzie.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Dr W.S. ADAMUS

JOANNA POLLAKÓWNA  
CZAPSKI

Wyd. Krupski i Ska. Warszawa 1993. In-4°. Twarda oprawa z obwolutą, s.150; 73 reprodukcje w pełnych kolorach. Dzieło dwujęzyczne, w języku polskim i francuskim. W albumie: Esej o malarstwie i życiu Józefa Czapskiego; Biografia i bibliografia; Przypisy; Katalogi wystaw; Recenzje; Artykuły. Przy opisie ponad 90 reprodukowanych prac podano aktualnych właścicieli. Ponadto fragmenty pism J. Czapskiego.

Cena egzemplarza wraz z przesyłką:  
(pocztą zwykłą) FF 195,00; (pocztą lotniczą) FF 270,00

Zamówienia prosimy kierować na adres:

MacWire Diffusion, 41, rue Saint-Augustin  
75002 Paris; fax 33(1) 34 87 80 19

Należność prosimy przekazywać czekiem bankowym wystawionym we frankach francuskich na MacWire Diffusion (przy wpłacie w innej walucie prosimy dodać równowartość 40,00 FF na koszt bankowe), przelewem bankowym, lub mandatem pocztowym na konto CCP la Source 36 747 30 M, lub za pośrednictwem CB Visa, MasterCard.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 4<sup>e</sup> trimestre 1994.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.  
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04  
FAX: 33-1-39-62-57-52

| PRZEDSTAWICIELSTWA   | Egz. poj.     | Prenumerata   |                |
|--|---------------|---------------|----------------|
|  |               | 1/2-roczna    | roczna         |
| <b>Ceny na rok 1994</b>  |               |               |                |
| AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....   | F. 55,00      | F. 320,00     | F. 600,00      |
| ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....  | F. 55,00      | F. 320,00     | F. 600,00      |
| AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 .....   | F. 55,00      | F. 320,00     | F. 600,00      |
| BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....   | F. 55,00      | F. 320,00     | F. 600,00      |
| BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....   | F. 55,00      | F. 320,00     | F. 600,00      |
| DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd .....  | F. 55,00      | F. 320,00     | F. 600,00      |
| FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu .....  | F. 55,00      | F. 320,00     | F. 600,00      |
| HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 .....   | F. 1h 20,00   | F. 1h 110,00  | F. 1h 210,00   |
| IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311 .....   | F. 55,00      | F. 320,00     | F. 600,00      |
| KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63 .....   | \$ can. 13,00 | \$ can. 75,00 | \$ can. 140,00 |
| NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstrasse 39/41, Postfach 3401 08, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60 .....   | DM 17,00      | DM 100,00     | DM 185,00      |
| NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55 .....   | F. 55,00      | F. 320,00     | F. 600,00      |
| SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84 .....   | F.S. 15,00    | F.S. 90,00    | F.S. 160,00    |
| SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej .....  | F. 55,00      | F. 320,00     | F. 600,00      |
| U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386 ..... | \$ US 11,00   | \$ US 60,00   | \$ US 116,00   |
| WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 .....  | F. 55,00      | F. 320,00     | F. 600,00      |
| WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58 .....   | F. 55,00      | F. 320,00     | F. 600,00      |

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 485 — WACŁAW IWANIUK

### MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



TOM 486 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT STO DZIEWIĄTY

zawiera opracowania: Tadeusz Wyrwa: *Powstańcza „Burza” i jej skutki*; Hanna Świdorska: *Angielskie usiłowania „zjednoczenia wszystkich Polaków” na tle Powstania Warszawskiego*; Andrzej Kobos: *Kanały w Powstaniu Warszawskim*; Jan Rossman: *W kanałach*; Maria Podhorska: *Co wiesz o Powstaniu Warszawskim?*; Stanisław Likiernik: *Powstanie Warszawskie. Kedyw „Kolegium A” na Okręg Warszawski — Grupa A: Stanisława Sosabowskiego*; Gen. Kazimierz Sosnkowski: *Do żołnierzy Armii Krajowej — Rozkaz nr 19*; Gen. Ludomir Rayski: *Raport o sytuacji i pomocy dla powstania w Warszawie, przedstawiony gen. Andersowi w obecności gen. Szyszko-Bohusza i płk. Wiśniowskiego w dniu 4 września 1944 r. o godz. 15.00*; Władysław Bartoszewski: *Słowo powstańczej Warszawy: organizacja i znaczenie środków masowego przekazu*; Jan Wojtowicz: *Relacja Jana Wojtowicza, pseudonim „Wojtek” spisana przez Henryka Kozłowskiego 11.11.1985 r. w Ottawie*; *Związek Sowiecki a Powstanie*; Zbigniew Jasiński: *Pieśń o Powstaniu*; Jerzy Giedroyc: *Ze wspomnień nienapisanych*; Andrzej Friszke: *Polscy historycy o Powstaniu Warszawskim*

Str. 240.

Cena F. 90,00.